

- **Akcja strajkowa mleczarzy** — str. 7
- **Kara za uczciwość** — str. 6
- **Na szczęśliwej wyspie komunizmu** — str. 10
- **Wojna fińska na dalekiej północy** — str. 1 i 4

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 48 (1600)

ROK XXXI

27 LISTOPADA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Lódź: Na ulicy Kałowskiej nr 5.

Dom szczęśliwej starości

RYSZARD BINKOWSKI

Któregoś zimowego dnia o czwartej rano pędził środkiem ulicy Aleksandrowskiej facet w piżamie i od razu zrobiła się straszna psychoza. Kobiety do dziś boją się wychodzić wieczorem z domu, a niektóre wnoszą modły na intencję zachowania cnoty i czci własnej, aby nigdy żaden pacjent nie wymknął się z pobliskiego szpitala im. dr J. Babińskiego. W sąsiedztwie szpitala, niemal na wprost krańcówki tramwajów linii „2” i „25”, stoi przy ul. Chochola piękny, w starym stylu architektonicznym, parafialny kościół Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Duszpasterstwo pod tym wezwaniem jest nieodzowne, chociaż okoliczni parafianie nie wymagają li tylko pomocy boskiej, lecz przede wszystkim pomocy dzielnicowych władz na Bałutach. I tak naprawdę, jeśli kobiety modlą się, to nie tyle ze strachu przed złodziejami ze szpitala psychiatrycznego, co z obawy przed elementem, który grasuje wieczorami po ciemnych, zapomnianych przez urzędy uliczkach, gdzie nie może trafić śmieciarz ani milicjant.

Ze środków komunikacji dociera tu jeszcze tramwaj linii „44”. Więcej luksusów nie trzeba, albowiem ten fragment ul. Aleksandrowskiej stanowi południowy kraniec dawnej wsi Kuły. O tym, że mamy do czynienia ze wsią w mieście, świadczą wymyślone przez chiropomana z urzędu nazwy uliczek oraz rozciągające się widoki: na przykład zabłąkane w sznurze samochodów konie ciągnące fury z obornikiem.

Za ulicą Chochola stoi pusty zieleniak, bo w miejskiej wsi lud pracujący może sobie sam uprawiać warzywa, a dalej jest ul. Uprawnia i usytuowany w głębi przemysłowy sklep Gminnej Spółdzielni. Potem mamy ul. Hektarową, ozdobioną na rogu czarnym drewnianym bez dachu z napisem „Blacharstwo”. Jest i poczta z dwiema skrzynkami, czerwoną i zieloną, bo to przecież miasto, obok zaś zakład przewijający silniki, a potem od ruchliwej Aleksandrowskiej odchodzi cicha, seenna

ulica Kałowska.

Z lewej widać dwie otynkowane kamieniczki, obie w granicy rzeczy dwupiętrowe, bo ta druga oficyna ma jakieś mieszkanie na strychu. Ludziom żyłoby się tam jako tako, gdyby obejścia nie opanowały szczury i myszy, i gdyby nie zepsuł się hydrant na froncie. W związku z tym trzeba chodzić po wodę do hydrantu postawionego w



Collage: Grzegorz Galasiński

Wojna fińsko-radziecka w latach 1939—1940 i 1941—1945.

Starcie na dalekiej północy

MARIAN KUBACKI



Rosja pokonała Szwecję w wojnie 1808—1809 i Finlandia stała się autonomicznym Wielkim Księstwem związanym z Rosją unią personalną. Ówczesny car — Aleksander II — na fińskim organizmie przeprowadził swój liberalny eksperyment. Finlandia miała własny parlament, pocztę, monetę oraz własnego ministra w Petersburgu. Po dość długim okresie względnego spokoju i dobrobytu w latach 1899—1905 nastąpił pierwszy okres ucisku a krótko po nim w 1908 r. — drugi. Gdy więc I wojna światowa stała się faktem, fińscy patrioci pełni byli nadziei na przywrócenie autonomii w ramach imperium rosyjskiego, a przy sprzyjających okolicznościach nawet na niezależność.

Parlament fiński — 6 grudnia 1917 r. — proklamował niepodległość Finlandii. Jednak bliskość Petersburga — kolebki rewolucji socjalistycznej — musiała oddziaływać na nastroje klasy robotniczej. W Finlandii rozpoczęła się wojna domowa. W styczniu 1918 r. Helsinki zostały zajęte przez „czerwonych”, a senat reprezentujący władzę „białych” zmuszony został do przeniesienia się do Vaasa, na zachodnim brzegu Finlandii. Do decydującej i rozstrzygającej bitwy doszło na początku kwietnia 1918 r. pod Tampere — na północ od Helsinek — gdzie „białi” odnieśli zwycięstwo przy pomocy niemieckiej Dywizji Eełyckiej.

W przededniu drugiej wojny światowej ZSRR

23 sierpnia 1939 r. podpisał pakt o nieagresji z hitlerowskimi Niemcami. Układ ten ograniczał „strefę interesów” obu państw w Europie wschodniej.

23 września 1939 r. zawarto estońsko-radziecki, 5 października lotewsko-radziecki, a 10 litewsko-radziecki układ o pomocy wzajemnej i nieagresji. W ramach tych układów Estonia udostępniła Armii Czerwonej bazy morskie na wyspach Dagö, Ozylia oraz w porcie Bałtyckim, natomiast Lotwa — bazy morskie w Windawie i Lipawie. We wszystkich tych trzech państwach od 17 do 21 czerwca 1940 r. utworzono rządy ludowe, a w dniach 21 i 22 lipca ustanowiono władzę radziecką, tworząc Litewską, Lotewską i Estońską Socjalistyczną Republikę Radziecką.

Leningrad leżał 32 km od granicy fińskiej.

5 października 1939 r. zaproszono rządowi fińskiemu rozpoczęcie „rozkowań w konkretnych sprawach w świetle zmienionej przez wojnę sytuacji międzynarodowej”. Dla polepszenia obrony Leningradu, Józef Stalin wysunął postulat zmian terytorialnych, z których najważniejsze obejmowały: oddanie przez Finlandię niewielkiego, lecz o strategicznym znaczeniu obszaru na Przesmyku Karelskim w zamian za kompensatę na północy w radzieckiej wschodniej Karelii. Ponadto pewne przesunięcia na północy (Półwysep Rybacki) miały wzmocnić bezpieczeństwo niesłuchanie ważnej murmańskiej linii kolejowej. Żądano także oddania w dzierżawę na określony czas półwyspu Hanko z okolicznymi wysepkami w celu utworzenia radzieckiej bazy

Lódzki festiwal filmów powinien mieć ogólnopolską rangę!

Film telewizyjny trzeba robić dla widza

Rozmowa z MICHAŁEM FAJBUSIEWICZEM, autorem filmów i programu „997”.

— Poprzez swój program „997” stał się pan osobą publiczną. Co prawda różni emulkiery mają do niego zastrzeżenia, to jednak cieszy się on dużą popularnością, a zatem spełnia oczekiwania widzów. Wydawać by się więc mogło, że pańskiemu temperamentowi dziennikarskiemu, spontaniczności ten program wystarczy, tymczasem...

— Przyznam się, że moim programem „997” jestem bardzo zmęczony. Stałem się jego niewolnikiem. Jednakże głupota byłoby zostawić go komuś innemu. Wypełnia on pewne luki informacyjne w telewizji, w które „wstrzeliłem się”, stąd jego sukces. Sprawy poruszane w programie mają swoją wagę, coś z sobą niosą, jednakże w kraju dzieją się rzeczy dużo ważniejsze i jako dziennikarz nie czuję się do końca fair w stosunku do widzów. Zresztą boję się, że któregoś dnia, jak to już nieraz bywało, zapadnie jakas decyzja, że ma go nie być. Poza tym nie mogę tracić kontaktu z zawodem. Nierobienie reportaży filmowych, niebycie na planie filmowym, nierozmawianie z ludźmi, czyli nierozbieranie rzeczywistości na cząsteczki — grozi dziennikarzowi wtórnym analfabetyzmem. Tego się obawiam. Dla zachowania sprawności zawodowej, doskonalenia warsztatu podejmuję różne tematy, aby sprawdzić się. Takim sprawdzianem jest m.in. festiwal. Jeśli moje prace zakwalifikowały się na festiwal oznacza to, że były godne zauważenia. Podobnie jak emitowany w TV reportaż, gdy jest zauważony przez widzów, recenzentów. Jest to sprawdzian, że coś potrafię zrobić, co jest ważne, co egzemplifikuje naszą rzeczywistość, oczywiście w moim zwierciadle. Zarządca mi się często, że ukazuję ją w sposób ostry, krytyczny. A dlaczego by nie? Nie lubię uładzonej rzeczywistości. Taka rzeczywistość mnie nie interesuje. A robię to, co mnie interesuje, co odpowiada mojemu temperamentowi, umiejętnościom i... telewizzom, skoro spotyka się z dobrym przyjęciem. A że od czasu do czasu wzbudza kontrowersję, cóż! W góle jestem za twórczością kontrowersyjną...

— Czy lódzki Festiwal Filmów Społeczno-Politycznych jest pierwszym festiwalem, w którym pan startował?

— Nie. Na krakowskim festiwalu przedstawiłem film pt. „Jest miasteczko”. Ten film uważam za najcenniejszą pozycję w moim dorobku reportażysty telewizyjnego. Na przykładzie niewielkiego miasteczka — Rejowca

4

6

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicysty: 36-77-70,
32-89-70.
Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.
Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.
Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł
Tomaszewski, Marian
Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadowski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempka, Wasył
Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5
tel. 32-89-11.
Organizacja reklam: Andrzej
Bartolczak tel. 36-80-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5.
DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wieda.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewód-
zkich i pozostałych miastach, w
których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — insty-
tucje i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych
i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumera-
tów — osoby fizyczne zamieszka-
łe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych
i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzędach
pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratora.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje
RSW „Prasa Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie nr
1638 201045 139 11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
począztyk jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenu-
meratów na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na 1
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następnego —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 3564. S-10.

Przegląd prasy

Charakter narodowy zmienia
się pod wpływem systemu spo-
łeczno-ekonomicznego i związa-
nego z nim sposobu życia ludzi.
Najlepiej świadczy o tym przy-
kład Hiszpanów, którzy mieli
podobne do nas cechy. Wiele
lat temu Józef Łobodowski na-
pisał znaną frazję:
„Niewyparzeni w gębie i do
bitki skłonni, niesłowni, nie-
zdarni, hardzi, nieporadni, gdy
trzeba się postawić, własne
portki sprzedają, a u góry bała-
gan, a w komorze bieda, pięk-
ne gesty na wynos i miny ko-
gucie. Był tu kiedyś dobrobyt,
ale szybko uciekł, więc nikogo
na świecie nie szacują taniej.
Czy to frazja na Polskę? Nie,
to na Hiszpanię...”

Takie motto wybrała do
swego artykułu w miesięczniku
„WEKTORY GOSPODARKI”
(nr 10) Maria Anna Karwowa-
ska. Opisuje ona hiszpański
cud gospodarczy, który zaczął
się wprowadzaniem swobód ek-
onomicznych pod koniec lat
pięćdziesiątych. Siła wodząca
była grupa technokratów zwią-
zana z organizacją Opus Dei
(Kapłańskie Stowarzyszenie
Świętego Krzyża i Dzieła Bo-
że).

„Kraj ten w dość krótkim
czasie przeszedł szok ekono-
miczny. W ciągu lat 1955 do 1979
dochód narodowy wzrósł ponad
czterokrotnie. Był to drugi po
Japonii kraj na świecie o tak
szybkim wzroście dochodu na-
rodowego. Złoty jest po-
przednie dwadzieścia lat dochód
utrzymywał się na poziomie 50
— 60 proc. dochodu z 1929 r.
Koniec lat siedemdziesiątych
i początek lat osiemdziesiątych
był dla hiszpańskiej gospodarki
okresem kryzysu. Poprzedzała
go ponad dwudziestoprocentowa
inflacja, potem nastąpiło obni-
żenie stopy wzrostu dochodu
narodowego i podwojenie liczby
bezrobotnych. Ale ostatnie czte-
ry lata znów cechuje stały roz-
wój gospodarczy.”

W tworzeniu dochodu naro-
dowego największy udział mają
usługi — 58 proc., a następnie:
przemysł — 30 proc., budowni-
ctwo — 7 proc. i rolnictwo —
5 proc. Niepokojącym zjawis-
kiem jest bezrobocie przekrac-
zające 20 proc., a w rolni-
ctwie — 13 proc. Wśród ogółu
zatrudnionych kobiety stanowią
31 proc. (w Polsce 45 proc.).
Trudno uwierzyć, że Hiszpania
wydaje trzy razy więcej tytu-
łów książek i broszur niż Pol-
ska, ma dwa razy więcej stu-
dentów i aż dziesięć razy wię-
cej uczniów szkół średnich. No-
tabene oba kraje mają podob-
ną liczbę ludności.

„W 1970 roku mieszkańcy
miast stanowili 54,9 proc. ogółu
ludności, a w 1985 r. 91,4 proc.,
tzn. tylko ok. 3,5 mln ludności
nie zamieszkuje terenów miejs-
kich. Ten duży błąd co bądź
kraj jest w wielu miejscach po-
 prostu pusty. Wiele wsi jest na
wprost opustoszałych...”

Przemieszczenie się ludności
w latach siedemdziesiątych i
osiemdziesiątych było spowodowa-
ne szybkim rozwojem prze-
mysłu, infrastruktury itd. W
tym okresie około 10 mln ludzi
ze skromnej egzystencji wiejskiej
przeszło do miast wypełnia-
jąc hale fabryczne, szkoły,
uniwersytety, urzędy, stając się
klientami bardziej lub mniej
eleganckich domów towaro-
wych.”

W cotygodniowym felietonie
na łamach „TYGODNIKA KUL-
TURALNEGO” (nr 46) Aleksan-
der J. Wierczkowski podaje, że
w 1976 roku Hiszpania i Pol-
ska miały identyczny dochód
narodowy na jednego miesz-
kańca — 2900 dolarów. Nato-
miast obecnie produkt narodo-
wy Hiszpanii przekroczył 4500
dolarów na głowę, a w Polsce
nie sięga 2200 dolarów.

Jeśli nie udało nam się stwo-
żyć drugiej Polski, a nie ma-
my szans być drugą Japonią,
to może warto wykorzystać do-
świadczenia Hiszpanów, którzy
mieli kiedyś podobny do Pola-
ków charakter narodowy? W
każdym razie niewiele zrobimy
bez wyraźnego związku między
pracą a płacą.

W omawianym wyżej mie-
sięczniku PTE Mieczysław Star-
kowski oblicza, że przeciętny
Polak zarabia 246 złotych na
godzinie pracy. Co może za to
kupić? Ile czasu musi pracowa-
wać na niektóre towary? Z li-
sty 100 wyrobów i usług wybra-
łem najbardziej charakterysty-
czne: kilogram chleba zwy-
kłego wymaga 14 minut pracy,
kilogram szynki wędzonej —

6 godzin i 6 minut, „mleko u
chłopa” — 17 min., „jajko u
chłopa” — 10 min., pół litra
wódki „Stołowej” — 6 godz.,
40 min., pralka automatyczna
BIO PS 663 — 398 godz., 22
min., odkurzacz typ 451 —
64 godz., 38 min., telewizor
czarno-biały „Uran” — 261
godz., 23 min., jazda 300 km
pociągami ekspresowymi z mie-
jskowską — 5 godz., 55 min., bi-
let na autobus miejski — 4
min., nocleg w pokoju jedno-
osobowym z łazienką w hotelu
„Metropol” w Warszawie — 13
godz., 3 min., trumna sosnowa
bez dodatków — 123 godz., 29
min., ceremonia pogrzebowa —
264 godz., 14 min., samochód
„Fiat 126 FL” — 4065 godzin i
4 minuty.

WRAŻENIA Z POLSKI

Niedawno odwiedził Polskę
wybitny filozof, dominikanin,
prof. Innocenty Józef Maria
Bocheński. W wywiadzie udzie-
lonym tygodnikowi „LAD” (nr
46) mówi o trzech swoich wra-
żeniach:

„Podziwu godny jest dyna-
mizm naszego narodu, jego mło-
dzieży. Po tylu stratach można
się było obawiać apatii — tym-
czasem wydaje mi się, że jest
wzręcz przeciwnie, wiele woli
przezwycięstwa i walki. Tak wiele,
że obawiam się jakiejś awan-
tury, która byłaby głupstwem.

Znacznie mniej podziwu god-
ne są kompleksy niższości u
Polaków. Jestem szczególnie
zaskoczony przejawami takich
kompleksów w filozofii i teo-
logii polskiej. Zamiast tworzyć
własną myśl polską, przejmują
się byle gadacem cudzoziem-
skim. Jeśli chodzi o teologię,
Polska jest jednym z rzadkich
krajów naprawdę katolickich w
świecie. Kościół dysponuje w
niej ogromną kadrą i wielkimi
środkami; no i Polska ma swo-
ją, wspaniałą tradycję własnej
logiki i filozofii. Tymczasem,
wszystko co polskie, jest nie-
ważne — biega się za byle
protestantem czy Żydem, byle
cudzoziemcem.”

„Ale najbardziej martwi ojca
Bocheńskiego to, że mamy
wschodnie, nieeuropejskie oby-
czaje. Pod wpływem różnych
wyowiedzi i doświadczeń za-
czyna wątpić, czy jesteśmy
krajem zachodnioeuropejskim.”

„Stąd, gdybym miał coś do
powiedzenia, skierowałbym do
Polaków dobrej woli trzy ape-
le: nie robcie awantur, stara-
cie się pozbyć kompleksów niż-
szości i broncie duszy polskiej
przed zalewem obczyjności
Wschodu. To ostatnie jest bod-
aj najważniejsze.”

W tym samym tygodniku po-
lecam wywiad z Normanem
Daviesem, wykładowcą historii
w Uniwersytecie Londyńskim,
autorem książki i wielu arty-
kułów o Polsce. Jego żona jest
Polką. Na zachodzie atakują go
endecy, historycy rusycyści i
zawodowi sowietolodzy. Wyra-
żają niechęć do Polski odczuwa-
jąc wśród Żydów, szczególnie ame-
rykańskich.

„Najśmieszniej występuje ona
chyba wśród Żydów — syjoni-
stów, którzy przynajmniej od
dwudziestu lat zdecydowanie
gorąco nad żydowskimi środo-
wiskami liberalnymi, Bundem
oraz elementem żydowskim w
amerykańskiej Partii Demokra-
tycznej. Co ciekawie, podczas
spotkań z Żydami w Izraelu
odczuwałem znacznie większe i
zdrowsze różnicowanie opinii o
Polsce niż wśród Żydów ame-
rykańskich. Odkąd trochę po-
znałem Amerykę, zacząłem za-
uważać, że żydowskie elementy
zjadliwie nacjonalistyczne stale
atakują Polaków, jako kozła
ofiarnego, na którego zwała się
winę za wszystkie nieszcześcia
w historii Europy.”

Norman Davies poprzednio
był w Polsce przed rokiem. O-
biecnie przyjechał z żoną poka-
zać babci nowego wnuka. I
przekonał się, że nie jest tu
tak strasznie, jak opowiadali
mu niektórzy przed wyjazdem.

ZAMACHY NA BIERUTĘ

Od pewnego czasu nowym
zjawiskiem w Polsce jest wy-
pełnianie tzw. białych plam.
Można teraz przeczytać w dwu-
tygodniku „WARMIA I MA-
ZURY” (nr 22), że były cze-
tery zamachy na życie Bolesława
Bieruty. Pierwszy w połowie
1951 roku. Niecieny strzał w
kierunku prezydenta oddał żoł-
nierz KBW stojący na warcie
koło Belwederu. Ryszard Dzie-
ziński pisze:

„Zrobiło się zamieszanie. Bier-
uta został osłonięty. Ale ochro-
na nie zdążyła obezwładnić żoł-
nierza. Strzelił sobie w skroń i
padł trupem na miejscu. Śledz-
two nie wyjaśniło ani motywów
zamachu, ani też powiązań za-

machowca. Ot, młody człowiek
z biednej rodziny.”

Drugi zamach nastąpił w
1952 roku, kiedy oddawano do
użytku budynek Rady Państwa
w rejonie ulicy Wilejskiej. Ktoś
włożył do pieca ładunek wybu-
chowy i piec wyleciał w powie-
trze. Publicznie nie ujawniono
osób podejrzanych.

„Mógł to zrobić ktoś, kto miał
dostęp do tych pomieszczeń i
poruszał się w nich bez żadnych
kłopotów i komplikacji, zlw-
asza bez wzbudzenia podejrzeń.
Był to więc ktoś z pracow-
ników albo osobnik wprowadzony
przez niego.”

W tym samym roku była
trzecia próba zamachu. Bierut
przechodził ulicą Frascati i
nagle zaczął do niego strzelać
z broni automatycznej jakiś
młody człowiek. Prezydenta za-
strzelił własnym ciałem poruc-
nik Julian Doskoczński. A in-
ni członkowie ochrony zastrze-
lił zamachowca, który podobno
należał do tzw. podziemia po-
akowskiego.

„Ostatnia znana nam próba
zamachu na Bolesława Bierutę
nastąpiła w 1953 roku, zna-
miennym śmiercią Józefa Sta-
lina. Przed gmachem Belwe-
deru, gdzie mieszkał Bolesław
Bierut, zjawił się osobnik o po-
wierzchności robotnika.
Wkroczył na dziedziniec Belwe-
deru pewnym krokiem, zmierz-
ając ku drzwiom. Drogę zastąpił
mu oficer z ochrony. Usiłował
go zatrzymać i wylegitymować.
Wówczas zamachowiec wyrwał
z pasa siekiere. Zaskoczony
oficer usiłował sięgnąć po broń,
ale zamachowiec okazał się
szybszy. Kilкома ciosami sie-
kiery rozplątał głowę oficerowi
i pobiegł ku drzwiom pro-
wadzącym do wnętrza Belwe-
deru. Drzwi były zamknięte. Za-
machowiec tłukł w nie siekie-
rą, ale bez skutku. Nie wie-
dział, że drzwi są zamknięte i
otwierane automatycznie. Gdy
tak rąbał w nie aż drzazgi le-
ciały, dosięgły go kule żołnie-
rzy z ochrony, którzy dobiegli
z wartowni i strzelali do nie-
go.”

Zamachowiec zginął. Nie miał
przy sobie żadnych dokumen-
tów. Najprawdopodobniej był to
szalelec.

Bolesław Bierut zmarł 11
marca 1956 roku o godzinie
23.35. Już w drodze do Moskwy
miał stan podgorączkowy, a po-
tem zapadł na gripę i zapale-
nie płuc. Podobno dobiła go
informacja o krytyce staliniz-
mu podczas narady aktywów par-
tyjnych w Warszawie. Szczegól-
nie ostre wystąpienie miał Ste-
fan Staszewski, były i sekre-
tary Komitetu Warszawskiego
PZPR. Nikita Chruszczow po-
wiedział mu: „Eto wy ubili
towarzysza Bierutę.”

WSPOMNIENIA ROMANA POLAŃSKIEGO

Wbrew pozorom od śmierci
blisko jest do miłości. Dlatego
na zakończenie slegam do cieka-
wej autobiografii Romana
Polańskiego, która w końcu
przyszłego roku ukaże się w
wydawnictwie „Polonia”. Wy-
brane fragmenty publikuje ty-
godnik „FILM” (nr 46). W
pierwszym odcinku reżyser pi-
sze o swej pierwszej żonie, zna-
nej aktorce Barbarze Kwiat-
kowskiej.

„Pochodziła ze wsi i miała
solidne, chłopskie zasady. Mi-
mo uderzającej piękności, w
jej zachowaniu było coś dziw-
nego, niepojęnego, niezręcznego,
miała na przykład typowo wie-
jski zwyczaj zakrywania dłoni
ust, kiedy wybuchła śmie-
chem, jakby skonsternowana
własną śmiałością. Jak na o-
siemnastoletnią piękność była
wstydlawa, zamknięta w sobie
i początkowo nie uznała mnie
za poważnego kandydata do
swech uczuci...”

W akcie miłosnym chyba ni-
gdy nie oddawała się całkowi-
cie, a już na pewno nie mnie,
w czasie naszej pierwszej nocy.
Wciąż pamiętam nagły skurek
serca, kiedy o świcie wyliznę-
ła się z łóżka i stanęła przy
oknie, żeby wyjrzeć na ulicę.
Była naga. Nigdy nie widziałem
takiej doskonałości, ale
dumę posiadacza maciła świa-
domość leku, że nigdy już nie
zaznam podobnie szarpającej
namietności, że smutek przyzy-
wania odzierać żywota reak-
cji, a ta dziedziczna przesłania
mnie fascynowała.”

Na jednym z reprodukowa-
nych zdjęć można zobaczyć
młodszą Barbarę Kwiatkow-
ską podpisującą akt ślubu cy-
wilnego. Przegląda się temu z
uwagą Roman Polański.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

ELŻBIETA GAŚSIOROWSKA — sekretarz Zarządu
Łódzkiego Ligi Kobiet Polskich.

W poniedziałek i wtorek odbywało się spotkanie ze wszystki-
mi przewodniczącymi kół LKP. W Łodzi mamy obecnie 349 kół
w tym 162 zakładowe — zrzeszających ponad 24 tys. członkiń.
Było więc nas sporo. Odbyło się spotkanie z przedstawicielami
władz politycznych i administracyjnych, a także omawiane by-
ły tematy ważne i interesujące dla naszych działaczek — i jak
sądzę — także innych kobiet. Doc dr hab. Tadeusz Górski mó-
wił o promocji zdrowia w roku 2000. Ideą przewodnią tego
spotkania było przypomnienie kobietom o konieczności dbania
samemu o własne zdrowie i o zdrowie członków rodziny —
właściwe odżywianie, higienę, racjonalny wypoczynek. Pozwoli
to uniknąć wielu chorób i wizyt u lekarzy.

Drugim tematem były wybrane zagadnienia z zakresu prawa
rodzinnego. Zapoznanie naszych przewodniczących z tym tem-
tem jest bardzo ważne, bowiem właśnie do nich często zwr-
cają się kobiety z prośbą o pomoc. Przy okazji chciałabym przy-
pomnieć, że oprócz poradni prawnospołecznej, czynnej codzien-
nie w godzinach 14—15 działa przy ZŁ LKP, ul. Piotrkowska 12a
Poradnia Rodzinna, czynna w poniedziałki i środy od godz.
15 do 18. Zachęcamy wszystkie panie, które mają kłopoty z
dziećmi lub z mężem do jej odwiedzenia. Psycholog pomoże, do-
radzi jak rozwiązać problemy zanim konflikty staną się bardzo
poważne.

I jeszcze jedno — może przyda się przed świętami: codzien-
ny dyżur pełni nasze telefoniczne pogotowie kulinarne, tel.
36-27-46. Można tu dowiedzieć się wszystkiego, co dotyczy ku-
chini i gotowania.

TADEUSZ ZARĘBSKI — zastępca dyrektora
Łódzkiego Przedsiębiorstwa Produkcji Leśnej
„Las”.

— Nie zdarzyło się nic szczególnego. Skupowaliśmy dziczyznę
drobną i grubą, przeznaczoną częściowo na eksport, częściowo
na rynek krajowy, do sklepów firmowych. W tym roku jest
trochę mniejszy skup, mimo to można w naszych sklepach kupić
kurapatki, bażanty, zające. Przygotowujemy zapasy i nie bra-
knie ich z pewnością do świątecznego pasztetu. Mamy również
spore zapasy miodu w różnych asortymentach — na pierniki
i z różnymi dodatkami jak propolis, pyłek kwiatowy itp. W
ubiegłym tygodniu rozpoczęliśmy produkcję artykułów typowo
przedświątecznych — ewikty i chrzanu. Tego również nie będzie
brakować.

STANISŁAW MASTALERZ — zastępca dyrektora
Łódzkich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa”.

— Nie był to żaden nadzwyczajny tydzień. Trudności mieli-
śmy nie większe i nie mniejsze niż zwykle, poprawiła się trochę
sytuacja z importem. Dostawy surowców do produkcji są w
miarę rytmiczne, ale to jeszcze nie znaczy, że jest idealnie.
Produkcję przekazywaliśmy na bieżąco do Cefarmu i do innych
producentów, korzystających z naszych półproduktów, opóźnień
nie było. Obawiam się jednak, że trudności z transportem mo-
gą pojawić się lada chwila. Zaczęła się zima, a my co prawda
mamy trochę własnych samochodów, ale w dużej mierze korzy-
stamy z usług PKS. Doświadczenie uczy, że zimą różnie z tym
bywa.

MAŁGOSIA WAWRZYŃIAK — uczennica
VI klasy SP.

— W sobotę byłam z rodzicami na wystawie kotów perskich.
Czekaliśmy prawie godzinę w kolejce po bilet. W niedzielę po-
szłam jeszcze raz — sama. Bardzo lubię zwierzęta i mamia, któ-
ra nie zgadza się na psa, bo mamy za ciasne mieszkanie, powie-
działa, że jeśli w szkole będzie wszystko dobrze — to chyba
kupi mi kota. Może już na gwiazdkę?

Notowała: TERESA JERZYKOWSKA

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Katastrofa nastąpiła w siódmej godzinie lekcyjnej. Z wa-
lącego się budynku w pośpiechu wyprowadzono uczniów. Pod
gruzami szkoły znalazły się meble, ławki i torniasty — reportaż
ANDRZEJA GĘBAROWSKIEGO.

— Huk wysadzanych mostów na Dnieprze budzi mieszkań-
ców Kijowa. Z początku nie bardzo rozumieją, co się stało. Sytu-
acja powoli wyjaśnia się. Polska armia gen. Śmigłego wyco-
fuje się. Idą jakby cichcem, zawstyżeni — fragment książki
CEZAREGO LEŻEŃSKIEGO pt. „Kwatera 139”.

— Płynięmy setki mil od brzegów Afryki. Wieczorem, kiedy
człowiek stoi na mostku, czuje prawdziwą samotność. Od wielu
dni nie pojawił się na widnokręgu żaden statek. Nie bliźnie w
ciemnościach latarnia morska — korespondencja ANDRZEJA
MAKOWIECKIEGO.

— Jan Duch i Georgia otrzymali w końcu azyl. Kilka tygodni
przedtem nawiązali stosunki z ambasadą kanadyjską. Przedsta-
wiciel tego wielkiego kraju ze zdumieniem słuchał opowieści o
oparach dymu zrywających, o problemach ze zweryfikowaniem
licznych donosów i anonimów — najnowsza książka ANDRZEJA
BRYCHTA.

— Niektórzy mężczyźni odnoszą wrażenie, że każda kobieta
ma skłonności lesbijskie. Jest to oczywiście nieprawda. Ale
faktem jest, że urok ciała kobiecego pociąga nie tylko mężczyzn.
Nierazko działa podniecająco również na kobiety. Mają ochotę
dotknąć, przylgnąć się, pocałować — artykuł MIROSLAWY
SARBINSKIEJ pt. „Smutek miłości lesbijskiej”.

— Nikita Chruszczow zszalał z wściekłości, wszyscy skulili się
i zamarli, a na niebie tymczasem zjawily się chmury, zagrzmił
grom, popłynęły strugi deszczu. Widać sam Pan Bóg postanowił
wziąć udział w rozgrywanej się tragedii — kolejny odcinek
opowiadania WŁODZIMIERZA TIENDRIAKOWA „Na szczęśli-
wej wyspie komunizmu”.

— Najgorsza sytuacja to taka, w której dwie strony znają się
świetnie, wiedzą czego po przeciwniku można się spodziewać i
nie chcą już rozmawiać — pisze TOMASZ A. WŁODKOWSKI.

1.

Punktualny przylot samolotu był zapowiedzią precyzyjnej realizacji programu pobytu pani Margaret Thatcher. Zdawało się, że wizytę zdominuje angielski chłód i wyrachowanie. Stało się jednak inaczej. W pierwszych minutach oficjalną powagę rozjaśniły uśmiechy po wypowiedzianych przez Margaret Thatcher słowach do Kompanii Reprezentacyjnej WP:

— *Czolem szolniesz:*

Następnego dnia dawano się wyczuć z obu stron sympatyczne rozluźnienie, co nie przeszkadzało w prowadzeniu rzeczowych i nienatych rozmów. Typowo polityczny charakter wizyty (nie podpisano żadnych porozumień a pani premier nie towarzyszyli członkowie rządu brytyjskiego), przejawiał się między innymi w zamiarze

pną siołka marynowanych prawdziwków przywódcy zasobnej Anglii po prostu zabrakło pieniędzy. Na twarzy pani Margaret Thatcher malowało się zakłopotanie przez kilka chwil, kiedy to ambasador drżącymi rękami odliczał brakujący tysiąc złotych. Tylko polityk-kobieta mogła wykorzystać zakup spóżywe jako wspaniały test na określenie poziomu podstawowych kosztów utrzymania.

Z okazji 50-lecia Instytutu Brytyjskiego w Polsce Margaret Thatcher odsłoniła pamiątkową tablicę. W uroczystym jubileuszu brał także udział minister edukacji narodowej Jacek Fisiak.

3.

Wizyta w parafii św. Stanisława Kostki w Warszawie by-

szewskim, poświęconą brytyjskim lotnikom, którzy zgineli niosąc pomoc powstańczej Warszawie. Obelisk z wmurowaną tablicą stoi w miejscu, gdzie 13 sierpnia 1944 r., szukając punktu zrzutu, został trafiony i runął z wysokości 100 m bombowiec RAF-u „Liberator” EV 961. Jedynym, cudem ocalałym członkiem załogi H. Lynelloyd wzruszonym głosem opowiadał o tamtych chwilach. Hold poległym pilotom oddali uczestnicy Powstania Warszawskiego oraz przedstawiciele władz miasta.

Brytyjczycy na ogół nie mają dobrej pamięci do wojennych sprzymierzeńców i nie są skory do przypominania zasług innych narodów dla ich ojczyzny. Pani premier jednak, przy nadarzających się okazjach, akcentowała udział Polaków w II wojnie światowej, a szcze-

patię do pani Margaret Thatcher, jak i hasła o charakterze politycznym. Niektóre transparenty wzbudzały wesołość części zebranych, np. „Popieramy nasz (emigracyjny) rząd w Londynie” czy „M. Thatcher — nie pozwól zlikwidować Stoczni im. Lenina”. Ostatnie sformułowanie komentowano, iż transparent byłby lepszy na wizytę Michaiła Gorbaczowa, ale władze spóźniły się z zamknięciem stoczni.

Skandowano: „Nie ma wolności bez Solidarności!” na przemian z „Niech żyje Thatcher” i „Lech Wałęsa”. W ogólnym ferworze dał się słyszeć okrzyk: „Niech żyje Anglia”. Zamiast wzmocnienia wieloma głosami ludzie stukali się w czoła, dając dobitnie do zrozumienia, iż nie zwracali i nie przeniosą sym-

Konfrontacje

Łagodne ciągnięcie krótkiej koldry

Relacjonowałam Czytelnikom „Odgłosów” przebieg niektórych spotkań przedwyborczych w kampanii wyborów do rad narodowych, a teraz postanowiłam zobaczyć, jak pracuje Rada Narodowa Miasta Łodzi. Wybrałam się więc na jej sesję. Wydawało mi się, że dyskusja nad założeniami planu gospodarczego dla województwa łódzkiego — to sprawa ważna, zasadnicza i decydująca dla nas wszystkich. Przebieg sesji może więc być niewiele interesujący. I był...

Wyobrażałam sobie, że na sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi rozpatruje się sprawy zasadnicze, ustala się kierunki rozwoju społecznego i gospodarczego Łodzi, miast, miasteczek i wsi województwa łódzkiego. Wszak jest to najwyższa władza ustawodawcza w województwie, a zatem koncentruje się ona na tym, co jest najważniejsze. Tak mi się wydawało.

Owszem, tak jest w istocie, ale nie do końca. Jeśli województwo otrzymuje dla swego budżetu 140 miliardów złotych, to musi dokonać podziału na tę część, którą przeznaczają na wydatki bieżące i tę, którą przeznaczają się na inwestycje. Rada Narodowa Miasta Łodzi zdecydowała, że 78 procent budżetu przeznaczają na wydatki bieżące. Te wydatki są i tak niewspółmierne do potrzeb. Okazało się, że zarówno podczas dyskusji nad założeniami planu, jak również przy podziale nadwyżki budżetowej, który to podział wywołał niemal awanturę. Wprawdzie jeden z radnych całą dyskusję nazwał „łagodnym ciągnięciem krótkiej koldry”, ale to niczego nie zmienia.

Inny radny — w swojej interpelacji — zapytał, kiedy autobusy w Łodzi przestaną truć powietrze. Łódź ma ponoć zamiar wstąpić do Europejskiej Sieci Zdrowych Miast, co może wydawać się zabawne. Przedstawiciel MPK odpowiedział radnemu, że łódzkie autobusy są stare, a nowe i sprawne będą dopiero w 1990 r. Z planu gospodarczego natomiast wynika, że ów przedstawiciel jest — delikatnie to nazywając — niepoprawnym optymistą. Łódź bowiem ma w 1989 roku otrzymać 65 autobusów, ale ze względu na zły stan techniczny 80 autobusów trzeba będzie... skasować. Czy coś zmieni się tak radykalnie w 1989 roku, aby można było wymienić wszystkie będące w złym stanie autobusy? Wątpię.

Władze miasta szacują, że dla zaspokojenia pilnych potrzeb mieszkańców Łodzi potrzeba 30.000 mieszkań. Gdyby budowano po 10.000 mieszkań rocznie, to te pilne potrzeby można byłoby zaspokoić w trzy i pół roku, biorąc pod uwagę nagłe potrzeby mieszkaniowe i błędy w szacunku. Ale nie nie wskazuje, aby było to realne. Plan budownictwa na rok 1989 zakłada wybudowanie 4700 mieszkań: 4000 mieszkań w blokach i 700 w domkach jednorodzinnych. Nie ma żadnych szans, aby kolejka po mieszkanie miała się szybko skrócić.

Bardzo podobala mi się wypowiedź pewnego młodego radnego, któremu nie podoba się ciągła niemoc i brak perspektyw. Stwierdził, że tak dalej być nie może, że trzeba szukać nowych, niekonwencjonalnych, śmiałych, rozwiązań, nie bać się ryzyka. Trudno było mówić o odmowie racji, choć nie potrafił dać konkretnych recept. Jego słowa wywołały wszak ironiczne uśmiechy przysłuchujących się urzędników. Dawali do zrozumienia, że oni wiedzą lepiej, że to takie, próżne gadanie...

Zaskoczył mnie w pewnym momencie widok pustych krzeseł. Andrzej F. Grabski — przewodniczący RN — zapowiedział, że diety dla radnych (po 1000 złotych) będą płacone po godzinie 12.00. Na sesji obecnych było 164 radnych, na 200 wybranych. W sprawie dodatkowych kredytów z nadwyżki budżetowej głosowało 119 radnych. Była godzina 14.10. Jak z tego wynika 45 radnych wzięło po 1000 złotych i... poszło do domu. A przecież mieli oddelęgować z pracy.

Również dyrektorzy wydziałów UML i innych instytucji, którzy — wprawdzie jako zaproszeni goście — powinni być obecni na sesji rady nie wytrzymali i poszli do swoich zajęć. Może jestem naiwna, ale wydaje mi się, że uważa przyszłościwa nie się obradom sesji RNML powinno być w tym dniu obowiążkiem urzędników. Gdy przyszło do podziału nadwyżki budżetowej i przydzielenia „Estrady Łódzkiej” 10 milionów złotych na zakup dwu autokarów, na sali nie było nikogo z Wydziału Kultury i Sztuki UML, aby mógł uzasadnić potrzebę takiej dotacji.

Mogłabym razem z radnymi zastanawiać się nad zasadnością takiego, a nie innego podziału nadwyżek budżetowych. Mogłabym zastanawiać się nad tym, czy lepiej dać potrzebującym instytucjom wyższe dotacje, aby można było rozwiązać ich zasadnicze sprawy, czy też dzielić według zasady: każdemu po trochu, aby tylko zalepić mój dziur? Zastanawiam się na przykład, czy 5 milionów złotych dla Biblioteki im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi na remont to dużo, czy mało? Czy w sytuacji, gdy stan kultury w Łodzi nie jest zachwycający, gdy przede wszystkim trzeba ratować bazę tej kultury, 10 milionów dla LKS i 15 milionów dla „Estrady Łódzkiej” na „Prezentacje artystyczne — Estrada 88” — to wydatki rozsądne i potrzebne? Na sesji radni zgłaszali swoje zastrzeżenia. A na posiedzeniach komisji? Ponoć dwie komisje w ogóle nad sprawami podziału nadwyżek nie zastanawiały się, bo ich nie zwolano.

Osobną sprawą są interpelacje radnych. Jest to okazja dla prezentacji ważnych i mniej ważnych spraw Łodzi i województwa. Gdy słucha się ich pytań, można odnieść wrażenie, że radni są pod przemożnym wpływem swoich wyborców i występują w ich imieniu w ich sprawach. To bardzo ważne, ale wiele spraw mogłoby załatwić — i powinny — odpowiednie przedsiębiorstwa i urzędy bez wciągania w to Wysokiej Rady. Na przykład: radny pyta, kiedy będą czyste przystanki autobusowe i tramwajowe w Łodzi i województwie? Przedstawiciel MPO odpowiada, że... nie ma sprzętu i ludzi. Czy to jest odpowiedź? Po się w urzędniczym żargonie nazywa: spławić faceta.

Przedstawiciel MPK podziękował radnemu za zwrócenie uwagi, że autobusy zjeżdżające do zajezdni nie zabierają z przystanków pasażerów. Radny się ucieszył z podziękowania, ale autobusy — jak stwierdził — nadal nie zabierają pasażerów. Inne pytanie: dlaczego w sklepach nie ma dostatecznej ilości odzieży na jesień i zimą. Przedstawiciel „Otexu” odpowiada, że pokrycie zamówień wynosi ledwie 21 procent. Ale to widzi każdy, kto chodzi do sklepu „Otexu”. Radny znów nie otrzymał odpowiedzi. I tak dalej, i dalej.

Gdy przysłuchiwałam się interpelacjom radnych czułam się mniej więcej tak samo, jak podczas dyżuru reporterskiego przy telefonie 36-77-70 w redakcji „Odgłosów”. Wiele pytań jest prawie identycznych. Na przykład: dlaczego do maszynowni przedsiębiorstw handlu materiałami budowlanymi trafiają materiały budowlane, na które nie ma ceny? Albo: przy ulicy Konstantego Ciołkowskiego w Łodzi do tej pory nie załadowano pralni dla 4 wieżowców, urzędnicy administracji nie reagują na skargi mieszkańców. Budowa szkoły na Olechowie przeciąga się w nieskończoność, nie się na budowie nie dzieje. Stare Złotno wygląda gorzej niż zapadła wieś, a leży w mieście, i tak dalej. Kto doczekał końca sesji, tego spotkała niespodzianka. Podjęto uchwałę o odwołaniu z funkcji ławnika R.M., który... został skazany wyrokiem sądu na pozbawienie wolności. Nikt nie zapytał, za co zapadł taki wyrok, kto desygnował R.M. na ławnika? Wszyscy śpieszyli się do domu. Odwołali i mieli wszystko „z głowy”.

BOGDA MADEJ

ODGŁOSY 3

Reporter był przy tym!

Oficjalnie i nieoficjalnie z „Żelazną Lady”

WIKTOR WYSZYWACZ

poznanie naszego kraju bez propagandowych ozdób. Życzenia strony brytyjskiej zostały spełnione, stąd w programie wizyty, oficjalnym i prywatnym, znalazły się takie punkty, jak rozmowy z prymasem Józefem Glempem, spotkanie z Lechem Wałęsą, złożenie kwiatów na grobie księdza Jerzego Popiełuszki czy zakupy w Hali Mirowskiej.

Premier Mieczysław Rakowski i generał Wojciech Jaruzelski czterokrotnie spotykali się z Margaret Thatcher. W czasie kilkugodzinnych rozmów dyskutowano o wielu problemach ważnych zarówno dla naszych krajów, jak i polityki międzynarodowej. Obie strony porównywały rozmowy do podania rąk ponad dzielącymi je sprawami.

2.

Drugi pracowity dzień rozpoczęła brytyjska premier od złożenia kwiatów na Grobie Nieznanego Żołnierza, skąd udała się do Urzędu Rady Ministrów na rozmowę z premierem Mieczysławem Rakowskim. Następnie Margaret Thatcher odwiedziła Zamek Królewski, który wywarł na niej duże wrażenie po uprzednio obejrzanym filmie ukazującym ogrom zniszczeń Warszawy.

Jak dobra gospodyni domowa w nowym miejscu udaje się na zakupy, tak pani Margaret Thatcher wybrała się do Hali Mirowskiej. Warszawiacy wiedzieli o tym i zjawili się tłumnie z nadzieją spotkania pani premier i kupna atrakcyjnych towarów. Czystość, porządek i nowe fartuszki pań sprzedawczyń nie potwierdziły superdostaw. Trzeba przyznać, że tego dnia były pomarańcze i banany, poza tym — bez zmian. Pani Margaret Thatcher kupiła pomidory, jabłka, dżem i miód, przyglądając się bacznie towarom i cenom. Na bazarze za Halą Mirowską nie zdecydowała się na suszone grzyby za 45 tys. zł, uznając je za zbyt drogie. Podczas ku-

ła krótka. Sprowadziła się do złożenia kwiatów na płycie grobu księdza Jerzego Popiełuszki, rozmowy z jego rodzicami i wejścia do kościoła na kilka minut. Wokół świątyni pojawiły się transparenty z napisem „Solidarność”, a pieśni religijne przeplatały się z okrzykami „Wiwat Thatcher”, czy „Lech Wałęsa”. Pani premier nie okazała żadnych gestów i zachowała się bardzo powściągliwie wobec zachowań tłumów.

W gmachu Sejmu odbyło się spotkanie brytyjskiego gościa z Radą Konsultacyjną. Po rozmowach z przedstawicielami rady, profesor M. Gietrych przyznał, że właściwie to pani premier regulowała czasem spotkania, bardzo zgrabnie zmieniała rozmowę, tak, aby wszyscy (12 osób) mogli się wypowiedzieć i... zamknęła rozmowę. Można odnieść wrażenie, że brytyjska premier nie potwierdziła doradczą przydatności Rady Konsultacyjnej i uznała ją za rodzaj „wolnej trybuny”.

4.

Wieczorem drugiego dnia pobytu Margaret Thatcher była gościem gen. Wojciecha Jaruzelskiego na wydanym przez niego obiedzie w Pałacu Rady Ministrów. Wygłoszono toasty, które deklarowały obopólną wolę zacieśniania współpracy i dalszego rozwoju dwustronnych stosunków. W ciągu dwóch dni mieszkańcy Warszawy zgotowali pani premier gorące przyjęcie, a stołeczne wieści mówiły nawet o zniknięciu części brytyjskich flag z tras jej przejazdu.

Charakterystyczne dla Margaret Thatcher były ciągłe zmiany jej ubioru. Opinie o elegancji brytyjskiej pani premier są podzielone, choć z pewnością mogła zaimponować ilością pokazanych kreacji.

Trzeciego dnia rano Margaret Thatcher odsłoniła pamiątkową tablicę w parku Skary-

gólnie polskich lotników w bitwie o niebo nad Anglią.

5.

Gdańsk był widownią bogatej, oficjalnej i prywatnej części wizyty. Złożenie wieńców przez Margaret Thatcher i Wojciecha Jaruzelskiego na Westerplatte, półgodzinny rejs kutrem Marynarki Wojennej, spacer po gdańskiej Starówce i spotkanie w ratuszu z władzami miasta — stanowiły oficjalną część programu. Spotkanie Margaret Thatcher z Lechem Wałęsą, wspólne złożenie kwiatów pod Pomnikiem Poległych Stoczników oraz obiad na plebanii kościoła św. Brygidy z ordynariuszem diecezji gdańskiej biskupem T. Gocławskim wypełniły prywatną część wizyty.

Poza najważniejszymi doniesieniami w środkach masowego przekazu, miały miejsce zdarzenia zabawne, dziwne czy irytujące, często dostrzegane jedynie przez osoby z najbliższego otoczenia brytyjskiego gościa.

W uroczystościach na Westerplatte pani premier zamiast kombatantowi uściśnięła dłoń członkowi ochrony, dziękując mu za odwagę i męstwo.

— *O my Lord — ona nigdy takich rzeczy nie robi, co się dzieje?* — wykrzyknął jeden z sekretarzy pani Margaret Thatcher. Jego ogromne zdziwienie wywołało nieprotokolarne zachowanie pani premier. Pomimo wyraźnej niechęci członków ochrony, zbliżyła się do barierki i podawała rękę kilku osobom, gdy dotarli do niej podniesiony głos z tłumów. Nieodłączny tłumacz wyjaśnił, że ktoś z dalszego rzędu też chciałby uściśnąć dłoń „Żelaznej Lady”. Pani Margaret Thatcher dostrzegła stojącą tuż obok drewnianą ławkę, weszła na nią i spełniła życzenie autora głośnej prośby.

Pod Pomnikiem Stoczników oraz na placu przed kościołem św. Brygidy zebrane tłumy demonstrowały zarówno sym-

patii do Margaret Thatcher na kraj jej pochodzenia.

Pani premier nie reagowała na aktywność tłumów żadnymi gestami, choć kilka osób z dalszych rzędów wizyty brytyjskiego gościa wznosiło dźwięki z palcami w symbolu V.

6.

Po wizycie w Gdańsku Margaret Thatcher powróciła na krótko do Warszawy. W wywiadzie udzielonym TVP na pytanie o uproszczenie uciążliwej brytyjskiej procedury wizyjowej dla Polaków odpowiedziała:

— *Sprawy wizowe są niezadowolające i macie panowie pełne prawo do ich krytykowania, to powinno być krytykowane.*

Następnie padła obietnica rychłych zmian.

W czasie konferencji prasowej Margaret Thatcher powiedziała:

— *Chciałam podziękować generałowi Jaruzelskiemu i premierowi Rakowskiemu za ich gościnność i stworzenie mi możliwości spotkania się z każdym, z kim chciałam rozmawiać.*

W swoich wypowiedziach podkreślała silną zależność sukcesu gospodarczego od swobod osobistych i politycznych obywateli. Pozytywnie oceniła kierunki reform w naszym kraju oraz życzyła powodzenia w porozumieniu narodowym.

Pobyt premier Margaret Thatcher w Polsce od samego początku nosił cechy silnej osobowości brytyjskiego polityka. Dominowały rzeczowość i realizm polityczny. Trzeba zaakcentować ze strony polskiej szczerść i otwartość w prezentowaniu poglądów, jak i realiów dnia codziennego, ze strony brytyjskiej autentyczność, czasem kłopotliwie zainteresowanie Polską i jej problemami. Czas pokaze, czy ta znacząca wizyta zaowocuje konkretnymi dokonaniem dla obu krajów i Europy.



smorskiej. Za radzieckie 5529 km kwadratowych, Finlandia miałyby oddać 2761 km kwadratowych. Były także i inne propozycje: remilitaryzacja Wysp Alandzkich przez samą Finlandię, wzajemne zobowiązanie się do niewłączenia się do żadnych koalicji skierowanych przeciwko partnerowi, zlikwidowanie fińskich fortyfikacji pogranicznych oraz zapewnienie o nieudostępnieniu swojego terytorium nikomu, jako bazy wypadowej przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Delegacja fińska, z kazakem czynnikiem jakimkolwiek ustępstw, 12 października 1939 r. wyjechała do Moskwy. Jak można było się spodziewać przy takiej determinacji obu stron, trwające cztery tygodnie (12 października — 13 listopada) rokowania zostały zerwane przez delegację fińską.

26 listopada 1939 r. nastąpiło gwałtowne pogorszenie napięcia sytuacji w stosunkach między obu państwami. Moskwa ostro zaprottestowała przeciwko ostrzelaniu przez artylerię fińską miejscowości Maimaka, co pociągnęło za sobą śmierć czterech oraz zranienie dwudziestu osób (niektórzy twierdzą, że była to prowokacja). Odpowiedź Finlandii uznano za niezadowalającą. 28 października rząd radziecki podjął decyzję o wypowiedzeniu paktu o nieagresji z 1932 r. oraz odwołaniu przedstawicieli dyplomatycznych i konsularnych z dniem 29. Dalsze incydenty graniczne spowodowały wojnę.

30 listopada 1939 r. — wojska radzieckie wtargnęły do Finlandii.

Startujące z baz estońskich bombowce rozpoczęły naloty na Helsinki i inne miasta fińskie, a flota bałtycka wysadziła desanty zdobywając trzy niewielkie wyspy należące do Finlandii, położone w odległości 40—30 mil od Kronsztautu: Setskari, Penisari, Lavansaari. Rozpoczęła się dla Finlandii pierwsza z trzech wojen — wojna zimowa.

Dysproporcja sił była olbrzymia. Po stronie radzieckiej znajdowało się sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy, 9000 czołgów i 10000 samolotów. Z drugiej zaś — trzy tysięcy i jedna brygada kawalerii, w sumie 33000 żołnierzy i żołnierzy, niewielka liczba czołgów, 60 samolotów zdolnych do walki i 250 dział łącznie z artylerią obrony wybrzeża. Tą małą armią dowodził generał Carl Gustav Mannerheim.

Plan naczelnego dowódcy Armii Czerwonej polegał na bombardowaniu i działaniach demonstracyjnych, oczekując powstania fińskich robotników i obalenia przez nich rządu. Siły radzieckie posuwały się w fatalnych warunkach terenowych i atmosferycznych (mroz do -30 st. C. pokrywa śnieżna ponad 1 m). Sześć tysięcy skierowano przeciwko linii Mannerheima — umocnionemu rozciągającemu się w poprzek Przesmyku Karelskiego, pomiędzy Zatoką Fińską a jeziorem Ladoga.

Działania wojenne prowadziło kolejno na Przesmyku Karelskim, za Kolem Podbiegunym, w Karelii oraz na północno-wschód od jeziora Ladoga we współdziałaniu z Flotą Bałtycką — ogółem na froncie długości około 1500 km. W tej pierwszej fazie Finowie odnieśli wspaniałe sukcesy, między innymi dzięki znakomitej znajomości terenu i umiejętności prowadzenia działań bojowych w warunkach zimowych. Ku

swemu zdziwieniu Rosjanie spotkali się z zacietym oporem. Czołgi radzieckie musiały posuwać się leśnymi drogami, setki ich ugrzęzły w zaspach śnieżnych, wiele z nich spalili Finowie, których patroli narciarskie w ochronnych kombinacjach, krążyły wokół wroga. Znajdowały się one wszędzie — przemykając przez lasy zatrzymywały kolumny, likwidowały maruderów, ostrzeliwały konwoje, kuchnie i obozowiska, a często tak skutecznie izolowały całe związki taktyczne, że zmuszało to Rosjan do zaopatrywania się z powietrza, z niewielkim przy tym skutkiem, gdyż większość zrzutów lotniczych dostawała się w ręce Finów. Rosjanie zdobili bombardowanie ludności cywilnej sądząc, że w ten sposób złamią ich morale.

Norwegii, które nie wyraziły zgody na tranzyt obcych wojsk. Oddziały fińskie zostały zmuszone do oddania Vilpuri (Wyborga), atakowanego przez radzieckich żołnierzy od strony zamrożonej zatoki morskiej. Wobec postępu radzieckiej ofensywy, nie mogąc sprostać w otwartym polu czołgom i masom wojsk oraz perspektywom klęski, Finowie zwrócili się o zawieszenie broni i określenie warunków pokoju. Zarazem, w momencie rysowania się możliwości zawarcia pokoju rząd O. V. Kuusinen rozwiązał się nie chcąc być jakiegokolwiek przeszkodą w przywróceniu pokoju. Wielka Brytania, USA i Francja żądały od rządu fińskiego kontynuowania działań wojennych oferując pomoc zbrojną. Delegacja Finlandii, na rokowania pokojowe, pod przewod-

zowaniem z dowództwem niemieckim, dzięki któremu wojska niemieckie mogły lądować w portach Zatoki Botnickiej i stamtąd przejeżdżać przez północną Finlandię do Narviku. Porozumienie to utrzymywane w tajemnicy, pozwoliło rządowi fińskiemu na dokonanie pewnego manewru. Mianowicie, 6 września 1940 r. Finlandia udzieliła Związkowi Radzieckiemu prawa tranzytu wojskowego do bazy Hanko, a 20 września pierwsze oddziały niemieckie wyładowały w Vaasa. Określono to jako wyraz równowagi — za tranzyt dla ZSRR, tranzyt dla Niemiec. W istocie porozumienie to zostało zawarte przed porozumieniem z ZSRR. Pierwszy radziecki pociąg wojskowy przybył do bazy Hanko dopiero 25 września.

Dalsze porozumienia z Niem-

na „wojną kontynuacyjną”, ponieważ oficjalnym jej celem było odzyskanie terenów, jakie Finlandia utraciła na rzecz Związku Radzieckiego, w wyniku traktatu pokojowego z 13 marca 1940 r. Co dziwnejsze, według interpretacji Finlandii, nie była ona sojusznikiem Adolfa Hitlera, lecz prowadziła własną wojnę, choć wydarzenia potwierdzały, że znajdowała się całkowicie po stronie III Rzeszy.

2 lutego 1943 r. skapitulowały ostatnie oddziały wojsk hitlerowskich pod Stalingradem. Na wieść o tej katastrofie nad Wołgą Finowie nie pozostali obojętni. Następnego dnia odbyło się posiedzenie gabinetu ministrów, na którym podjęto decyzję o wycofaniu się z wojny. Zaczęto czynić zabiegi dyplomatyczne, aby decyzję wprowadzić

ti ustąpił, a na prezydenta Finlandii został wybrany cztery dni później baron Carl Gustav von Mannerheim.

Klęska wojsk fińskich na Przesmyku Karelskim i w Południowej Karelii zmieniła w sposób istotny sytuację militarno-polityczną na północnym odcinku frontu niemiecko-radzieckiego, gdzie powstały sprzyjające warunki do kontynuowania ofensywy w republikach nadbałtyckich. Rozpoczęły się zerwane rokowania fińsko-radzieckie w sprawie zawieszenia broni. Ułatwił je osobisty list gen. Carla G. von Mannerheima do Józefa Stalina i ogłoszenie 15 września 1944 r., że Finlandia znajduje się w stanie wojny z Niemcami. Zawieszenie broni zostało podpisane w Moskwie 19 września 1944 r. W wyniku tego, Finlandia musiała ponownie oddać Związkowi Radzieckiemu terytoria, które straciła w wyniku „wojny zimowej” i zdobyła ponownie w trakcie „wojny kontynuacyjnej”. Na północy utraciono dostęp do Morza Barentsa, a w zamian bazy na półwyspie Hanko, Finlandia wydzierżawiła ZSRR bazę w Porkkala — Udd w pobliżu Helsinek. Ponadto, zgodziła się zapłacić odszkodowanie w wysokości 300 milionów dolarów, według wartości z 1937 r. Ze strony aliantów układ o zawieszeniu broni podpisywały ZSRR i Wielka Brytania. Stany Zjednoczone, które nigdy nie znajdowały się w stanie wojny z Finlandią, przyleżały go do wiadomości i uznały, że jego warunki są rozsądne.

Jednym z tych warunków było zobowiązanie się Finlandii do usunięcia wojsk niemieckich z Laponii, stosujących tam taktykę „spalonej ziemi”. W rzeczywistości więc, Finlandia przeszła przez trzy wojny: zimową (1939—1940), kontynuacyjną (1941—1944) i laponijską (1944—1945).

Koniec wojny zapoczątkował nową erę w stosunkach pomiędzy ZSRR a Finlandią, a najważniejszą ich podstawą stał się Układ o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy podpisany w Moskwie 6 kwietnia 1948 r. Artykuł wstępnego tekstu układu głosił, że sygnatariusze zamierzają polepszyć stan wzajemnych stosunków oraz popierać współpracę zgodnie z żywymi interesami obydwu krajów i w sytuacji, gdy Finlandia będzie starała nie angażować się w konflikty pomiędzy wielkimi mocarstwami.

W maju 1948 r. specjalne grupy komunistyczne zamierzają dokonać przewrotu (podobnego jak w Czechosłowacji) w Helsinkach. Zamiar okrzykował jeden z komunistów fińskich przekazując plany zamachu rządowi, który opowiadał sytuację.

Dzięki rozumnej i dalekosiężnej polityce Urcho Kekkonena stosunki między obu sąsiadami stawały się coraz lepsze. Jesienią 1955 r. Układ o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej został przedłużony do 1975 r., a 19 września podpisano układ, w wyniku którego Związek Radziecki zrezygnował ze swych praw do dzierżawy bazy w Porkkala — Udd, które uzyskał na okres pięćdziesięciu lat na mocy Rozejmu Moskiewskiego. Niedługo potem — 26 stycznia 1956 r. — ZSRR przekazał ja Finlandii wraz ze znajdującymi się w niej urządzeniami.

MARIAN KUBACKI

Starcie na dalekiej północy

Wobec agresji radzieckiej, fiński rząd Risto Rytiego zwrócił się 3 grudnia 1939 r. do Ligi Narodów o mediację. Przedstawiciel radziecki nie wziął udziału w posiedzeniu na ten temat, twierdząc, że ZSRR nie znajduje się w stanie wojny z Finlandią, gdyż podpisał układ o przyjaźni i pomocy wzajemnej z rządem „Fińskiej Republiki Ludowej”. Otto Kuusinen powstał w pierwszej zajętej przez Armię Czerwoną wiosce Terijoki. Spowodowało to ostrą reakcję Wielkiej Brytanii i Francji i doprowadziło do wykluczenia ZSRR z Ligi Narodów i zapowiedziano pomoc dla Finlandii. Jej skandynawscy sąsiedzi — Szwecja, Norwegia i Dania — byli przeciwni udziałowi w wojnie i na propozycje Finlandii odpowiedzieli odmownie.

Zgodnie z rezolucją Ligi Narodów rządy Wielkiej Brytanii i Francji 19 grudnia 1939 r. podjęły uchwałę o przygotowaniu wojny przeciwko Związkowi Radzieckiemu, postanawiając 5 lutego 1940 r. skierować angielsko-francuski korpus ekspedycyjny w liczbie około 150 tys. ludzi do Finlandii. Rząd francuski, w uzgodnieniu z rządem angielskim, powierzył gen. Maurice-Gustave Gammelinowi i admirałowi Francois-Jean Darianowi opracowanie planu „bezpośredniego wtargnięcia na Kaukaz”. Przewidywano, że do wojny przeciwko ZSRR powinni przystąpić Jugosławia, Rumunia i Turcja. Ofensywa na Baku miała na celu zdobycie głównych ośrodków wydobycia ropy naftowej. Rząd gen. Władysława Sikorskiego zgodził się na udział wojsk polskich (Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich) w korpusie interwencyjnym, który miał być wysłany do Finlandii.

Opór Finów stał się coraz bardziej zdecydowany. Rozpoczął się drugi etap wojny, trwający od 11 lutego do 12 marca 1940 r. Działania bojowe na Przesmyku Karelskim prowadził nowo utworzony Front Północno-Zachodni pod dowództwem komandarma pierwszej rangi Siemiona Timoszenki. Przez dziesięć dni Finowie utrzymywali swoje pozycje, jednak 13 lutego wojska radzieckie przełamały umocnienia „linii Mannerheima” a w dwa dni później wojska fińskie rozpoczęły odwrot. Zapowiedziany aliancki korpus ekspedycyjny nie przybywał. Na przeszkodzie stał opór rządu Szwecji i

niemcem R. Rytiego nie przyjęła tej propozycji. Korpus ekspedycyjny użyczyto w kwietniu 1940 r. w Norwegii.

Wojna trwała 100 dni.

Radziecko-fiński układ pokojowy został podpisany po stu dniach wojny, 12 marca 1940 r. w Moskwie. W dniu następnym zakończyły się działania wojenne między ZSRR a Finlandią. Traktat pokojowy został ratyfikowany przez fiński parlament 140 głosami, przeciw głosowało 3, a 9 posłów wstrzymało się od głosu.

Układ zapewniał bezpieczeństwo Murmańskowi, murmańskiej linii kolejowej i Leninogradowi. Związek Radziecki uzyskał przesunięcie granicy na zachodzie i północy — do ZSRR przyłączony został Przesmyk Karelski z Wyborgiem, zachodnie i północne wybrzeża jeziora Ladoga z rejonami Kakisalmi i Sotavala, wyspy w Zatoce Fińskiej na północy odsunęły granicę od kolekcji murmańskiej. W ręce radzieckie na trzydzieści lat przeszły półwysp Hanko, zamykający wyjście z Zatoki Fińskiej, wydzierżawiony za osiem milionów marek fińskich rocznie. Wojska radzieckie opuściły port Petsamo, uzyskany przez Finlandię w 1920 r., pozostawiając go na stronie fińskiej. Tranzyt radziecki przez Petsamo miał być zwolniony od opłat celnych.

Na początku 1940 r. — powstała nowa Radziecka Republika Związkowa — Karele — Fińska. Ponadto: „Obie układające się strony zobowiązały się do wzajemnego powstrzymywania się od wszelkiej napadzie jednej na drugą i zawierania jakiegokolwiek sojuszu albo też uczestniczenia w koalicjach skierowanych przeciwko jednej z Układających się Stron”.

Wojna spowodowała śmierć 25 tys. Finów a 45 tys. odniosła rany. Straty radzieckie nie są znane.

U boku Trzeciej Rzeszy.

Konsekwencją „wojny zimowej” było zbliżenie Finlandii do Niemiec.

W maju 1940 r. w pięciu grupach odechłał potajemnie do Rzeszy batalion Finów (1400 żołnierzy) wcielonych do „Waffen-SS”. 19 sierpnia tegoż roku, naczelny dowódca fińskich sił zbrojnych — gen. Carl Gustav Mannerheim, zawarł poro-

zumiem z dowództwem niemieckim, dzięki któremu wojska niemieckie mogły lądować w portach Zatoki Botnickiej i stamtąd przejeżdżać przez północną Finlandię do Narviku.

Porozumienie to utrzymywane w tajemnicy, pozwoliło rządowi fińskiemu na dokonanie pewnego manewru. Mianowicie, 6 września 1940 r. Finlandia udzieliła Związkowi Radzieckiemu prawa tranzytu wojskowego do bazy Hanko, a 20 września pierwsze oddziały niemieckie wyładowały w Vaasa. Określono to jako wyraz równowagi — za tranzyt dla ZSRR, tranzyt dla Niemiec. W istocie porozumienie to zostało zawarte przed porozumieniem z ZSRR. Pierwszy radziecki pociąg wojskowy przybył do bazy Hanko dopiero 25 września.

W grudniu 1940 r. ze względu na chorobę prezydenta Kaarlo, nowym prezydentem został dołychczasowy premier — Risto Rytel, reprezentujący orientację proniemiecką. 31 stycznia 1941 r. rozpoczęły się w Berlinie nieoficjalne rokowania między szefem sztabu gen. Carla G. Mannerheima — gen. Brikiem Ienrichsem, a szefem niemieckiego Sztabu Wojsk Lądowych gen. Fritzem Halderem. Halder ujawnił Henrichsowi plany napadzi na Związek Radziecki (bez nazwy „Barbarossa”) dotyczące odcinka północnego. Brak tenichs przekazał plan mobilizacyjny Finlandii i jej plany obronne.

W styczniu 1941 roku między Finlandią a ZSRR wybuchł spor o kopalnię niklu, znajdującą się na północy Finlandii w Petsamo, a które należały do kapitału kanadyjskiego Owczewa. W tym czasie w Moskwie Juho K. Paasikivi (późniejszy premier i prezydent) proponował iść Związkowi Radzieckiemu na rękę i zgodzić się na wymianę tego terytorium na inne radzieckie, lecz gwałtowny sprzeciw gen. Carla G. Mannerheima, grożącego rezygnacją ze stanowiska głównodowodzącego armią fińską, powstrzymał rząd Finlandii przed tym krokiem.

22 czerwca 1941 roku — Niemcy hitlerowskie zaatakowały Związek Radziecki. W trzy dni później Finlandia wypowiedziała wojnę ZSRR. Rozpoczęły się walki fińsko-radzieckie na Przesmyku Karelskim. Od 26 czerwca aż do 2 grudnia 1941 r. trwała bohaterska obrona bazy Floty Bałtyckiej na półwyspie Hanko. 29 czerwca 1941 r. wojska niemieckie i fińskie (armia „Norwegia”) dowodzone przez gen. Edwarda Dietla przeszły do działań zaczepnych z terytorium Finlandii w kierunku Murmańska. Uchty i Kandalakszy przeciwko 14 armii dowodzonej przez gen. Rodiona Panina.

W ocenie polityków fińskich wojna z ZSRR była tak zwa-

żym, 13 lutego 1943 r. fiński ambasador w Ankarze spotkał się z przedstawicielem premiera brytyjskiego — Winstoną Churchillą. W tym samym miesiącu fiński minister skarbu pisemnie zapytał pierwszego lorda admiralacji Harolda Alexandra o warunki kapitulacji. Próby te spełziły na niczym. Latem 1943 r. dyplomaci fińscy ponawiali działalność, ale tym razem szukali kontaktów ze Związkiem Radzieckim, za pośrednictwem Anglików. Nawiazane zostały rozmowy, lecz strony nie mogły dojść do porozumienia a pertraktacje są wielokrotnie zrywane.

Po okresie lokalnych walk na froncie północnym 10 czerwca 1943 r. rozpoczęła się wybojsko-pietrozawodzka operacja — zaczepna wojsk Frontu Leningradzkiego (dowódca gen. Leonid Górow), Frontu Karelskiego (dowódca gen. Kiril Miereckow) i Floty Bałtyckiej z zadaniem rozbicia wojsk fińskich, zlikwidowania zagrożenia Leningradu od strony północnej, zdobycia Wyborga, Pietrozawodzka i Południowej Karelii oraz wyeliminowanie z wojny walczącej ze strony Niemiec — Finlandii. Jej naczelnym dowódcą two otrzymało od rządu zgodę na zwrocie się do Niemiec z prośbą o bezpośrednie wsparcie militarne. Niemcy zgodzili się stawiając jednak warunek — Finowie muszą zawrzeć z nimi formalny sojusz. Finlandia musiała więc podjąć decyzję — skończyły się czasy, gdy mogła twierdzić, iż prowadzi własną wojnę i nie jest formalnie sojusznikiem III Rzeszy.

Wojska radzieckie parły naprzód. Ogółem w składzie wojsk lądowych znajdowało się 450 tys. żołnierzy, około 40 tys. dział i moździerzy, ponad 800 czołgów i dział pancernych. Lotnictwo wspierające działania wojsk lądowych posiadało w swoim składzie 1547 samolotów bombowych, a Flota Bałtycka i Flotyle Wojenne Ładogi i Onegii wydzieliły około 300 okrętów, kutrów i statków oraz 500 samolotów. Finowie natomiast zaangażowali ogółem w operację 286 tys. żołnierzy, 1930 dział i moździerzy, 110 czołgów i 248 samolotów. W wyniku operacji wojska radzieckie rozbiły jednostki fińskie. Grupy „Przesmyk Karelski” przełamały silnie umocnioną obronę nieprzyjaciela i przesuwały się w kierunku północno-zachodnim od 100 do 270 km.

4 września 1944 r. Risto Ry-

Z tej ziemi

Kto wyeliminował wytwórcę?

Każdy z nas może przedstawić kilka przykładów nonsensów, jakich nie mało w naszym życiu. Oto powiada ktoś, że gdyby urzędnikom w różnych zakładach energetycznych odebrać telefony i wyłączyć telefony, to oni wprawdzie nie miałiby co robić, a prąd elektryczny nadal płynąłby po przewodach. Pośredników bowiem się u nas namnożyło i każdy z nich musi codziennie dowodzić wszystkim w koło, że jest... niezbędny, więc wymyśla co tylko może, aby innym życie utrudniać. Kilka dni temu na spotkaniu w KŁ PZPR premier Mieczysław F. Rakowski zapowiedział likwidację struktur pośrednich — jak to się teraz modnie mówi — a która z nich ze-

chce się uchwycić, będzie musiała udowodnić, że faktycznie jest niezbędna. Będzie to taki test prawdy, na który czekam z niecierpliwością.

Możemy nazywać to, jak tylko się nam podoba, mogą to być „struktury pośrednie”, ale przecież każdy łatwo dostrzeże, że przede wszystkim chodzi o biurokrację. Biurokracja wprowadza nie jest w myślenie socjalizmu, była na długo przed jego powstaniem, ale w socjalizmie — trzeba to przyznać — rozpięła się do nieprawdopodobnych rozmiarów. Wprawdzie wszyscy deklarują, że są za reformą, że służą człowiekowi i tylko człowiekowi, mają przede wszystkim na względzie jego dobro, ale istota biurokracji tkwi w tym, że obraca się ona w zaklętym kręgu przepisów i spoza nich świata realnego nie widzi. Gdy dochodzi do zetknięcia tych dwóch światów: realnego i wymyślnego przez biurokrację — następuje konflikt.

Ktoregós dnia w „Sygnałach Dnia” — program i Polskiego Radia — opowiedziano historię pewnej Polki, która osiedliła się w Kanadzie, a w Bydgoszczy odwiedziła dom. Postanowiła przekazać go miastu na dom dziecka, zebrała wśród Polonii kanadyjskiej pieniądze na wyposażenie i cała w szczęściu przyleciała samolotem do Polski. W Bydgoszczy spot-

kalo ją rozczarowanie. Odmówiono przyjęcia, natomiast zażądano zapłacenia kilku milionów podatku od spadku. Kobieta zapłaciła i wróciła rozgorączkowaną do Kanady. Co się Polsce bardziej opłaciło: kilka milionów złotych podatku spadkowego, czy zła reputacja wśród kanadyjskiej Polonii oraz stracony dom dziecka z pełnym wyposażeniem?

Socjalizm ma być dla człowieka, ale nie dzięki biurokracji. Socjalizm wynosi na wierzch wytwórcę, który ma decydować o sprawiedliwym podziale dóbr, który sam ma się rzadzić, wybierając w sposób demokratyczny swoich przedstawicieli. Tak miało być, ale biurokrata wyeliminował wytwórcę, pozbawił go należnych mu praw i zaczął rządzić w imieniu wytwórcy. Teraz wytwórcą musi odebrać biurokracie stracone prawa — a to nie jest łatwe. Biurokrata zrobi wszystko, aby wmówić ludziom, że jest im potrzebny.

Mieczysław F. Rakowski zapewnił, że rząd będzie robił wszystko, aby stworzyć warunki dla działania i pracy ludzi utalentowanych, z inicjatywą, przedsiębiorczą. Powiedział też, że tylko poprzez prawa ekonomiczne, ich niezakłócone działanie można zmienić sposób myślenia ludzi i zreformować instytucje. Apele, wezwa-

nia, uchwały niczego nie zmieniają. To zapewnienie cieszy, ale nie wolno zapominać o tym, że każdy aparat administracyjny ma „wrodzoną” niechęć do jakiegokolwiek zmian. W deklaracjach może być niebawyma postępowy, ale w działaniu będzie konsekwentnie konserwatywny. Rząd musi zatem otrzymać poparcie społeczne w tym działaniu. Trzeba przeciwstawiać się i zwalczać wszelkie przejawy konserwatyzmu, biurokracji, uchylenia się od odpowiedzialności, hamowania przedsiębiorczości. Niech ludzie pracują i nich zarabiają, jeśli dobrze pracują. Kto nie potrafi, nie umie, nie chce, ten musi mało zarabiać! Wszelkie równanie do średniej jest przyczyną zastój i cofania się, zamiast marszu w przyszłość.

Nie dajmy się zepchnąć z gospodarczej mapy Europy. Złotliwi twierdzą, że gdyby nie Albania, byłobyśmy na końcu europejskich statystyk. I być może byśmy z nich wypadli. W dużej mierze dzięki rodzimej biurokracji.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

połowie Kalowskiej, po czym dźwigać wiadra na drugie piętro, co dla emerytów jest ćwiczeniem gwarantującym zaliczenie fakultetu na Uniwersytecie Przemysłu, ale przez starszych lekarzy nie zalecane.

Z prawej Kalowska zaczyna się od wielkiego szarego kamienia w czarne pęgi, który jakby wytęczał rząd drzew ozdobnych, elegancko zniszczonych przez meliorantów i elektryków. W głębi zapuszczonego ogrodu polyskuje tunel fonowy i ukrywa się w cieniu kolorowa antena. Po przeciwnej stronie ciągnie się szereg niskich komórek zakończonych gołębnikami ze stadem ptaków różnej maści na dachu.

Im dalej, tym dostatniej i nowocześniej. Owszem, trafiają się zmurszałe sztachetki, przysięgnięte zmęczeniem racjonalne krzewy, jakaś drewniana buda ukryta wstydliwie za jabłonią, jakiś wiejski drewniak i mrowina oficynka, ale wszystko to przytłoczone blachem nowych domków jednorodzinnych i willi z solidnymi, lecz bez przepychu, ogrodzeniami, ze świerkami, tujami, jałowcami w ogrodach. Ulicą maszeruje człowiek z dwoma czarnymi wilczurami na łańcuchach. Warczą na nie podobne wilczury za bramami, toteż złodziej nie ma tu nic do roboty. Nikt tu niczego nie ukradnie, ani samochodu z szeregu parkowanego na ulicy, ani tego wspaniałego jachtu JF 1217, co stoi na kółkach między autami. Nikt się z nikim nie zderzy na chodniku, nawet po pijanemu, bo chodzi się całą ulicą.

Ulica Kalowska kończy się wielkim dołem z wodą, gdzie mogą spływać swobodnie ścieki, i zwałami ziemi zamykającymi skutecznie wjazd na prawą część ulicy Kompostowej. Chłopotoman z urzędu, który to wymyślił, miał wyobrazić i znakomicie oddał charakterzniki terenu, lecz w sposób nader delikatny. Bo na wsi kompost nazywa się często gnojem, a na kał mówi się gównem. Faktem natomiast jest, że zgodnie z jedynym chłopskim językiem na Kalowskiej miejscami śmierdzi.

Mają za to mieszkańcy miejsce do rekreacji, bo za Kompostową ciągnie się właściwie niczyja, pełna kretowisk łąka. Wyżej opowiadała już drobna brzoza samosiejka, która wróciła wyrósł w las. Dalej, za ogromnym słupem linii wysokiego napięcia, za sadami i zagajami, leży miejska wieś Kały, o której, jak Bóg da i na czelny przyzwoli, a reporter dożyje, jeszcze się kiedyś napisze.

Na Kalowskiej na szczególną uwagę zasługują

dom pod numerem piątym.

Z daleka niby nie specjalnego, brama, furtka i siatka też jakie takie, ale te blaszane pojemniki, z których wywalają się śmieci, mogą nasuwać przypuszczenie, że mieszkańcy tam same flejtuchy. Ano, w urzędzie zawsze ci powiedzą, że lokatorzy to są często brudasy i wandalę, ale całą winę zwalają na administrację. No pewnie, lokatorzy też nie są bez winy, ale kiedy mieszkają w miescie, to za wywóz śmieci placą takiej firmie, co się nazywa MPO. Inna sprawa, że w Łodzi MPO nie ma już co robić ze zwałami śmieci, bo w Pałczewie stoi sołtyś z ludzmi i zwraca cię żarówkami jadące do wysypiska, bo dotąd nie została uregulowana sprawa drogi biegnącej przez chłopskie pola.

Na podwórzu kładzie się od południa głęboki cień drzew, które gubią już liście. Zielona studnia z rączką do pompowania, laweczka, stolik z blatem obitym ceratą. W głębi komórki, żółte kwiaty na wysokich lodygach, smutka brzoza, kury gdaćce w zagrodzie, trzepak z rozwieszonym wzorzystym dywanem. Czysta, stelskość, atmosfera istic rodzinna.

Jednopiętrowy dom nie przypomina typowej kamienicy czynszowej. Jest jakiś nietofremny, ciężki i przysadzisty, jakby się chciał zapasać w ziemię. Nie ma piwnicy, a fundamenty sterczą z ziemi za ledwie na parę centymetrów; pod niskim dwuspadowym dachem mieści się jeszcze niższy strych.

W korytarzu tynki w takim stanie, jakby wewnątrz toczyły się walki z ostrzałem ceka-mów i rozrywaniem się granatów. Wspinasz się po stromych drewnianych schodach i myślisz, jak przyjemnie tachać tu wiadra z wodą i z węglem. Drzwi są wszędzie jednakowe,



Collage: Grzegorz Gałasiński

Dom szczęśliwej starości

pociągnięte brązową farbą, podobne do drzwi ubikacji w pijalni piwa. Na niektórych jak po koleżce namazano coś kredą, tylko zamiast imion królów i roku pańskiego widać same numery, ale nie wszędzie. Jest szesnaście numerów i szesnaście mieszkań, a w każdym same ludzkie kłopoty.

Pukasz do drzwi, które winny być oznaczone numerem 11, odpowiada ci cisza. Otwierają się drzwi na drugim końcu korytarza, wysuwa się drobna kobieta ze ściągniętymi w warkoczki siwymi włosami i pyta:

— Do kogo, he?

— Do Kołodziejczyków.

— Nie ma! Są w pracy.

— To może pani by mnie

zaprosiła i powiedziała, jak wam się tu żyje?

Drzwi zatrząskują się gwałtownie, ale słychać jeszcze głos przyjazny jak płacz drucianej szczytki na dnie zardzewiałego garnka:

— A co mi tam, panie! Ja zaraz idę do pracy...

Schodzisz więc po tych stromych schodach, przytrzymując się kurczowo poręczy, żeby nie zlecieć na pysk, zagłębiając się w złotozielonym cieniu podwórza, gdy zatrzymuje cię inny głos, przyjemniejszy:

— Pan może z „Głosu”?

— Nie, z tygodnika „Odgłosy”.

— Aaa, z „Odgłosu”? Ludzie, chodźcie, można powiedzieć, co trzeba! To jest ten pan z „Odgłosu”? E tam, żadna komisja!

Wokół siwówłosej kobiety w bordowym swetrze i żółtym fartusku gromadzą się mieszkańcy i robi się mały sejmik szlachecki. Trzeba przekazać spokojnie ten wybuch, uspokoić, że na każdego przyjdzie kolej, i skoncentrować się na tym, co najbardziej bulwersujące. Chodzi o

remont za trzy miliony

Przewodnikiem będzie Franciszek Ziomek, emeryt lat 68, były pracownik „Stomilu”, który mieszka w tym ponurym, ciemnym domu od lat, najpierw na 53 m kw., z całą rodziną, a jak 20 lat temu jedna lokatorka wyjechała do RFN, to dostał swoje pod „14”, jedną z córek, Zofia Ciechowicz, mężatka, zamieszkała obok, pod „15”. Fertyczny i gadatliwy, w berecie, który co rusz zsuka na czubek głowy, w bierzera, i wypływających drelchowych spodniach, Ziomek pieśni się i kurwuje. Na PGM Bałuty, na ROM z Wielkopolskiej, przy czym kierownika ROM, pana Twardowskiego, też nie oszczędzi.

— Panie, w 1980 r. była mowa, że dom pójdzie do rozbioru, więc niektórzy nie wpłacali nawet do spółdzielni. A potem nagle administratora bierze się do remontu czegoś, co należałoby rozebrać. Jakby tego trupa rozwałić, to byłby zysk, bo miasto miałoby trzy działki budowlane.

— To może wam chodzi tylko o to, żeby ten dom rozebrać?

— A idź pan w diabły! Chodzi o to, żeby nie marnować milionów. Spójrz pan na dach!

Najpierw założyli papę, posmarowali, a wtedy strasznie nakazali tynkowanie kominiów. Rozdeptali świeżą papę, kuli, tynkowali, kawaty gruzu podzwierawili papę i po remoncie, leje się na tby, kurwamać!

Zapalamy po całym, jak stare chłopy, i Franciszek Ziomek ciągnie reporterów wokół domu. Pokazuje wschodnią ścianę, z której nie tylko odpada przedwojenny tynk, ale i mur pęka, na przykład przy oknie na piętrze. Franciszek kopie w kawałek skruszonego betonu z wyłożonym rowkiem pod rynną i zlorzczy:

— Widział pan? W kosztorysie nazwano się to odwodnienie. A fundament odłazi nad samą ziemią, wszystko zmurzało. Jak diabła szpikulem w cegłę, to wchodzi jak w piasek. Zobacz pan, mur od północy jeszcze gorszy. Przekonasz się pan, jakie są te skutki w środku. Ja bym, panie, takich fachowców, w kibinimatrji! O! choćby za te antry, co to mają spinać mur w narożniku. To są takie kawalki drutu, palcami odgnie i wyciągnie. Słowo daję, te ściany się rozjeżdżają...

Ściany jeszcze się trzymają, więc panna Malgosia, smutna czarunka w dzinsach, ucinając sobie randkę z reporterem przy kibelku pod brzoza. Przybytek jak latryna na targowisku, dziura zakryta jakąś brytfanną.

— Komieć dwudziestego wieku — mówi Malgosia. — Teraz opróżniają szambo, ale było już tak, że po deszczu fekalia płynęły podwórzem. Przed miesiącem byłem w ROM na Wielkopolskiej, aby zapytać pana Twardowskiego, jak będzie z tym rowem przed domem. Odpowiedział, że jak było, tak będzie.

Ulicę Kalowską poddano modernizacji.

I z powodu tego dobrodziejstwa pani Leokadia Naze, przysadzista brunetka z meszkiem na górnej wardze, schorowana, poruszająca się o lasce, stała się jeszcze bardziej nerwowa. Nie należy naciągać jej na zwierzenia, bo nie lubi plotek, tylko nagie fakty ją interesują. Kiedy wymieniano stopy z drewnianych na betonowe, wyciągnęła korony drzew.

— Chyba po to, żeby było widniej — powiada Leokadia Naze — bo wieczorem światło się nie pali. Potem doprowadzono gaz do tych nowych domów, row zasypano, wyrównano, ale...

— Dla prywatnych i bogatych gaz jest — przerywa Franciszek Ziomek — a dla nas kopcece piece, kurwamać!

— Daj pan skonczyć! — Leokadia Naze stukła łaską w ziemię. — Chodzi o to, że przy samych drzewach wykopano drugi row, uszkadzając korzenie. To miała być taka melioracja, niby odwodnienie, i na 22 lipca, ale dwa lata temu miały być położone rury i zasypane. Jak pan widzi, row zarósł, pod oknami leżą zwaliny ziemi. W roztopy albo po ulewie tyle wody, że parę razy małe dzieci omal się nie potopiły. I przez to robi się wilgoć, a na dodatek leje się

przez dach. Od Kołodziejczyków — wskazuje łaską okno z kwiatnikiem z zielonych sztachetek — przecieka do mnie. No i pełno much i komarów, bo woda zmieszana z fekaliami i śmieciami przelewa się przez niski mosiek, pewnie rura zatkana...

— Ee, w kibinimatrji! — kinie Franciszek Ziomek, szarpając sterczący z ziemi dwumetrowy stalowy pręt. — Pewnie zostawili część uziemienia, co idzie od stupa do stupa. A gówna to tu pływają, bo ci z willi muszą po cieńu wypompuwać ze swoich szambów do rowu. Szczęście, że u nas opróżnia szambo prywatnie. A jak wcześniej chciałem zatrudnić śmieciarke z MPO, to facet się tylko zaśmiał i poparł dalej...

Przyjeżdża małym fiacikiem listonosz, jak na wsi, przywozi komus rentę. Można by pogadzać w cieniu drzew, powspominać lepsze czasy, ale gdzie tam, za dużo nerwów, krzywdy i żalu. Nie napijesz się nawet z podwórzowej studni, bo wody w niej nie ma. Wraca z roboty w drukarni szczipy brunet w granatowej wiatrówce, Szymański spod „8”, najmłodszy z lokatorów, lat 26. Zajmuje za to jedno z większych mieszkań wraz z małżonką, filigranową blondynką o trójkątnej twarzy, pracownicą ZOZ na Bałutach, i z 3-letnim dzieckiem, które ciągle choruje, a trzeba by wozid dwa przystanki do przedszkola. Szymański izolował ściany, pozakładał nawet boazerię, ale gdy wyciąga z szafy granatowe spodnie, to one są siwe. I zaraz się okaże, że gdzie by nie wstąpić, wszędzie widać

purchase i grzyby.

U Szymańskich okna od południa, a z futryny się syple. I te zacieki pod sufitem od nieszczelnego muru. A w jednym małym pokoju graty porostawiane, bo podłoga zarwana. Widać, że ligary leżą niemał w ziemi, więc gniją. Szymański wydał 10 tys. zł na deski i sam naprawia podłogę.

— Trzy miesiące temu założyli nam dopiero II fazę — wspomina. — Przedtem wszyscy byli na jednej linii i jak ktoś włączył energochłonne urządzenie, u wszystkich gasło światło. Nieraz strzelał bezpiecznik na słupie i trzeba było czekać na elektryka. Przeciągali się w mokrych ścianach, więc może kogoś kopnęli. Dzieci wdechają ten gnój, to i chorują — konkluduje Szymański.

Cecylia Nagiecka spod „6”, wdowa, ma 67 lat i po 39 latach roboty na kłalni w Obrońcach Pokoju doczekała się emerytury w wysokości 23 tys. złotych. Ma chore ręce, palce powykrecane reumatyzmem, chorobę wieńcową, leczy się w rejonie na Rydzowej. Musi płacić za coraz droższy węgiel, płacić za drzewo i za rabanie drzewa. Pan kierownik Twardowski z ROM kazał jej kupić deski i załatwić stolarza, to ROM zwrócił pieniądze, ba, da nawet zaliczkę. Coż z tego, kiedy desek nie można kupić. Bo u pani Nagieckiej kuchnia wyłożona linoleum,

ktoś się rusza. Zaraz za progiem wpadasz jak w bagno, żeby można wybić lub złamać nogę.

— Jak ja mam nosić węgiel i wodę? — mówi przez lzy Cecylia Nagiecka. — Przy kuchence też dół, wszystko się chwytaje. Proszę zobaczyć pokój. Szafa mi się przewróciła, piec tak samo...

Wszędzie dziury w podłodze, kobieta zatyka je kawałkami desek. Na ścianach grzyby, a w okiennych futrynach wybrzuszenia. Nagiecka mówi, że to bacharyna albo purchawa, tylko poknąć palcem i wszystko się syple. Remont był półtora roku temu, założyli łogi i wszystko gnije. Na dowód pokazują ci mieszkanie pod „4”, u Pisarkiewiczowej, która ma 76 lat i chwilowo przebywa w szpitalu. Grzyby rosną jak po deszczu, nawet ścianka działowa w wodzie.

— Myślisz pan, że na górze jest lepiej? — wścieka się Franciszek Ziomek.

I pokazuje, jak zalepił nastrożniki w pokoju, a i tak wszystko odchodzi i sufit pęka. U córki obok ściany wyglądają jak urwane od sufitu i wszędzie zacieki. W kuchni widać najświeższe, szczególnie gdy lało się po kominie.

— Kiedyś zięć przyszedł z Politechniki, rzucił w kącie przybory i mówi, że koniec ze studiami — wspomina Ziomek.

Ano, bo on się kształcił na inżyniera konstruktora, a tu ciasto, że rysować musiał na ścianie. Kupiło się płytę pilśniową i rysował na podłodze.

Coraz weselej, bo już słyszysz, jak to pod „5” u Wacławki

żona wpadła pod podłogę.

Wacławkiowa — to małutka kobietka, do górnej półki w kredensie trudno jej sięgnąć. Jest na rencie, ręce ma powykrecane reumatyzmem, właśnie wróciła z apteki i przywoziła także leki dla sąsiadki, Nazowej, ale nie wszystkim. Mówi, że ten dom jest dowodem, iż na wsi mieszka się lepiej niż w mieście.

— Na górze też stało długo puste mieszkanie — odniera od tematu — i nikt nie chciał. Tego po panu Sławku też nie brali. Ludzie weszli, zobaczyli korytarz i jak tych spod „1” grząz komary, i uciekali. A u mnie to od dwóch miesięcy nie ma obiecanej komisji. Trochę desek, żemmy pożyczyl, trochę kupił, jakoś się postukowało i zamalowało podłogę, ale co to daje? Za wysokim kredensem siedzi grzyb, a pod szafą grzyby jak talerze.

— A co z tym wypadkiem? — Podłoga się pod kredensem zalamala, ale nie było widać pod dywanikiem. Wlazłam na taboret, żeby coś wyjąć z kredensu, i wpadłam do środka...

U Leokadii Naze wisi na honorowym miejscu portret ślubny. Mąż nie doczekał renty, zmarł w wieku 59 lat. Mówił, że nie ma co wpłacać na mieszkanie, bo dom pójdzie do rozbioru. Dom jeszcze stoi, a jego już wywieźli.

Leokadia Naze mieszka tu od 40 lat. Ma 62 lata i skromną rentę po 20 latach pracy

w „Ecie”. I jest tak schorowana, że doktorka mówi, że jak nie postara się o zdrowsze mieszkanie, to nie będzie jej leczyć. Paskudny reumatyzm, ledwie porusza się o lasce.

— U mnie tak się porobiło, że trzeba było chodzić po rędnej desce. Pojechałam do administracji, dostałam deski, ale podłogi założyłam na koszt własny. Tu jest taka wilgoć, że nawet Ziomek z górą choruje na reumatyzm. Zobacz pan od samego progu, drzwi wylatują z futryny.

— Pani zajmuje mieszkanie „2” i „3”.

— Aa, bo tu córki mieszkają i moja mama. Mama, powiedz, jak żeś w nocy uciekała z łóżka!

W pościeli siedzi siwutka jak gołąb staruszka w okularach. Ma 93 lata, żółte wychudzone dłonie drżą na pierzynie.

— A uciekałam — mówi trzęsącym się głosem — bo jak załaził Kołodziejczyk na górę, to na mnie też się łało... A jak nie pada, to posciel też wilgotna...

Nazowa trąca końcem łaski leżącą na parapecie drewnianą łyżkę. Jest cała spleśniała. Pokazuje nowiutki segment.

— Po czterech latach musiałam wyrzucić wszystkie szlafki — mówi ze złością, — napęczniały i zgniły...

Wyciąga z szafy brązową torebkę. Torebka jest siwa od pleśni.

— Cztery dni temu byłam z tą torebką w kościele. Włożyłam do szafy i tak wygląda...

Wilgoć sprzyja życiu owadów, insektów, ale nie ludzi. Nie wywożone śmieci są pokarmem dla myszy i szczurów, które grasują na strychu i w komórkach. Dom staje się arką Noego, toteż spod podłogi i z dżur w suficie wylazą też karaluchy.

Niekiedy z lokatorów, tak młodzi jak i starzy, czekają po kilka lub kilkanaście lat na spółdzielcze mieszkanie. Chcieliby się tam przenieść z jakimiś takimi meblami, o które dziś tak trudno, nie mówiąc już o cenach, toteż nie dziwota, że w tych zaplesniałych pokojach stoją nowe meble i też się psują. Stan i atmosfera tego domu są w jakimś sensie odbiciem sytuacji, w jakiej znalazł się kraj. Ale u niej chodzi jeszcze o coś innego.

Większość lokatorów to ludzie starzy i schorowani.

Jeśli powymierzają, będzie to korzystne, bo nie trzeba dla nich szkować mieszkań spółdzielczych i zastępczych. Może więc opłaca się przeznaczyć trzy miliony na partacki remont tego domu szczęśliwej starości?

Krystyna Kołodziejczyk spod „1” ma już tak stargane nerwy, że woli się nie wypowiadać na ten temat. Nie stac jej na spółdzielcze mieszkanie. Dziecko trzeba wozid do zerówki za lasem przy Szczecińskiej, blisko cmentarza, zdążyć do pracy w ZPP „Zenit”, zrobić zakupy, bo tu jest tylko jeden kłopsko zaopatrzony sklepik przy Aleksandrowskiej, gdzie mleko można dostać tylko rano. Przy domu dziecko może się bawić na ulicy, jak na wsi, ale za to często choruje. Trzeba dużo prac, dźwigać wiadra z wodą, ale jakby się uparł, to byłaby woda w mieszkaniu, wystarczy tylko miski postawić na podłodze, gdy deszcz pada.

Krystyna Kołodziejczyk, wiotka, szarooka, zadbaną, w granatowej sukience z białymi koralami, prezentuje się na tle zagrzonej izebki jak imieninowy gość we własnym mieszkaniu. W tej wilgoci nabawiła się schorzenia kregostupa. Zeby w tej ciasnocie nie było tak ponuro, w małym akwarium pływa rybką, a w klatce przekomarzają się papuzki.

— A jeśli pan nie jest brzydliwy — zwierza się szepem — to powiem, że one wylazły wieczorem lub w nocy. Raz aż mnie zatrząsło, bo dziecko się tym bawiło.

Otwiera pudełko po rapałkach, w którym leży martwy karaluch.

Słońce zachodzi za Romanowem, błyszczą dachy szklarni i tuneli foliowych, pomiędzy drzewami snuje się białe lato. Podwórce jednak puste, ludzie pozamykali się w domu. Łeże jeszcze przetrwają tę jesień i zimą. A jak komus puszczą nerwy, to dusze można wyleczyć, bo w pobliżu jest szpital dr J. Babińskiego.

RYSZARD BINKOWSKI

Fabrycznego, udało mi się pokazać wszystko to, co jest wynaturzeniem naszej rzeczywistości, ekstremą, nie tylko w znaczeniu patologicznym. Pokazałem w nim niby normalne miasteczko, niby normalne życie rejestrowane przez wiele dni, i to akurat wtedy, gdy obchodzono 20-lecie nadania mu praw miejskich. Wszystko czego dotknąłem, co pokazywałem — służbę zdrowia, handel, oświatę, kulturę, to tzw. zwyczajne, szare życie — było nienormalne. Świadczyło o tym, że w ciągu tych 20 lat nie było zrobiono, aby tym ludziom żyło się dobrze, bodaj przyswoicie. Właściwie stworzono tylko otoczkę do istnienia miasta: nadano prawa, powołano władze, powstały pewne struktury. Tylko ludziom żyło się pewnie jeszcze gorzej, skoro tak podstawowe artykuły jak chleb, przywozili z odległości kilkudziesięciu kilometrów. Bo nikt nie był w stanie zbudować piekarni. Bo nie było masarni, której dach spalił się i przez lata nie zdołano pokryć jej nowym dachem, ba, nawet podjąć takiej decyzji. Był dom kultury, który się zawalił i nikt nie zadbał, by go odbudować...

— Wracam pan do tego tematu bardzo emocjonalnie. Reporter telewizyjny powinien rejestrować tego typu sytuacje, zdarzenia, aby unocznąć ludziom odpowiedzialnym, że niewiele robią, aby było inaczej. Każdego tygodnia bywam w innym zakątku kraju i wiem, że jest ciężko, trudno itd., lecz taki sposób usprawiedliwiania — to slogany. Nie mogę się pogodzić, kiedy ludzie nie robią, nawet minimum czegoś, co mogą zrobić, zaś to, co robią, objawia się głupotą, niegospodarnością, niechęcią czy bezmyślnością. A przecież wystarczyłoby, aby na ich miejscu znaleźli się inni — mądrzy, zdrowo myślący, gospodarni — sytuacja byłaby zupełnie odmienna. Pytam naczelnika miasta: „co zrobiono, żeby ludziom żyło się lepiej?”, ten mi odpowiada: „przecież wybudowaliśmy nową... restaurację”. Jakby restauracja była w tym wszystkim najważniejsza. A ta restauracja to najgorsza speluna... Film ten chciałem pokazać na łódzkim festiwalu, gdyż wydawało mi się, że to będzie najważniejsza płaszczyzna do prezentacji filmów nieobojętnych. Niestety, my, reporterzy z ośrodków terenowych mamy to nieszczęście, że nie posiadamy kopii. Oryginał filmu, o którym mówię, zaginął gdzieś po krakowskim festiwalu!

Film telewizyjny trzeba robić dla widza



— W czym pan upatruje różnice między krakowskim a łódzkim festiwalem?

— Krakowski festiwal to wydarzenie, rozmach, zderzenie filmów i wszystkich, co się dzieje w krótkich formach. Tam leży się poziom filmu, a nie tematyka. Poziom artystyczny jest jak gdyby podstawowym problemem tego, co bywa dopuszczane do konkursu. Łódzki festiwal spełnia zupełnie inną rolę...

— Posiada inną formę.

— Właśnie. Tu mogą startować publicyści TV, gdyż — w przeciwieństwie do kolegów z filmu dokumentalnego — mamy większe możliwości szybszego, bogatszego rejestrowania i ukazywania rzeczywistości, w różnym kontekście, supozycji. Zaliczam się do reporterów, którzy nie uprawiają filmu artystycznego. Dlaczego? Może nie potrafię, może czas mi na to nie pozwala. Jestem na etapie rejestrowania rzeczywistości, a nie kreowania. Oczywiście robiąc film nie unikam ocen, wyrażania swojego stosunku do tego, co pokazuje. Zawsze jest to obraz subiektywny. Jednakże uważam, że niewystrzeżone pokazywanie problemów pozostaje nie zauważone...

— Z czym pan przybył na łódzki festiwal?

— Znalazły się tu dwie pozycje. Jedną robiłem sam, drugą z naszą młodą koleżanką, Małgorzatą Kałużynską. Pierwszy wynik z moich zainteresowań, powiedziałbym: kryminalistycznych. To bardzo szokująca historia. 19-letnia dziewczyna, której przeskądza w pijackiej libacji płaczące niemowlę, bierze je za nożki, uderza kilka razy o stół i w ten sposób małeństwo traci życie. Opowieść o tym zdarzeniu była jedynie pretekstem do pokazania czegoś ważniejszego. Zdarzyło się to w (Częstochowie) miejscu, które można nazwać slumsami: na przestrzeni 150 m. zespół starych domów zlokalizowanych na jednej uliczce, gdzie funkcjonuje ze sto melin, kilkanaście prostytutek, gdzie nie ma żadnego normalnego małżeństwa, rodziny, a dzieci żyją bez rodziców, choć mieszkają z rodzicami... Gdy wchodziłem z kamerą do jakiegokolwiek mieszkania wszędzie spotykałem jedynie alkoholików, brud, wymiociny, fekalia... Niczego nie wybierałem, nie szukałem — wchodziłem i spotykałem to samo... Tym filmem chciałem pokazać, że w naszym ustroju, który jest przecież, co tu gadać, ustrojem socjalnym, zdarzają się i takie obrazki. Chciałem zapytać: dlaczego? Oczywiście nie wprost. W tej opowieści nie obwiniam dziewczyny, której już jedno dziecko zabrano, gdyż urodziła je mając 16 lat. To tragiczne zdarzenie stało się jedynie kanwą, wystrzało sytuację. Zresztą w tej rodzinie stało się to, a w innej może stać się co innego. Starałem się pokazać dzieci pozbawione opieki, wzorców. I zapytać: dlaczego nikt nie, albo niewiele robi, by to zmienić? Dziennikarz nie jest od recept, więc ich nie podaje. Od tego są specjaliści, znawcy przedmiotu. Szło mi o przyjrzenie się temu problemowi z boku, ukazanie wagi problemu, wypełnienie pewnej luki w naszej wiedzy o rzeczywistości, w której żyjemy...

— A drugi?

— Trudno ten drugi nazwać reportażem. Z moją młodą koleżanką wcieliśmy się w rolę młodego małżeństwa, które nie ma żadnych perspektyw na mieszkanie. Postanawiamy więc zebrać środki, wziąć pożyczkę z banku i wybudować sobie dom rodzinny. Zabawiliśmy się w interesantów, petentów różnych instytucji. Przewędrowaliśmy przez miasto, przez ten cały konglomerat wydziałów, urzędów, instytucji, a jest ich bardzo dużo, które, jak się okazuje, nie zajmują się tym z czym przychodziliśmy. Gdzieśmy się pojawili, opowiadaliśmy nam o czymś, co miało nie wspólnego z istotą sprawy. Nikt nam nie był w stanie pomóc w jej sfinalizowaniu. Wszystko było śmieszne, paranoideal-

ne. Ten reportaż, który właściwie jest obrazkiem publicystycznym, wywołuje śmiechu, ponieważ każdy z występujących urzędników, dyrektorów okazuje się śmieszny. Bo wszystko, co w tym zakresie obowiązuje — te przepisy, przydziały, rozdziały to istna paranoja...

Oto człowiek, który opowiada mi przed kamerą, że przez pięć lat budowy domu nie dostał z przydziału żadnego materiału, że nie może dostać kredytu, a stoi przed... wybudowanym już domkiem, który tynkuje, w którym instaluje już kaloryfery... Niczego nie dostał oficjalnie, ale wszystko... „zdobył”! Świadczy to o podwójnym obiegu, jaki istnieje we wszystkich sferach naszego życia. Wniosek? Znieść te przydziały, przepisy, reglamentację, a wszystko będzie funkcjonowało tak samo, za to bez szarpaniny, nerwów...

Albo pełnomocnik prezydenta do spraw budownictwa jednorodzinnego. Gdy go pytam: „W czym pan nam może pomóc?”, odpowiada: że on jest od koordynacji, od planowania i od czegoś tam jeszcze. Coż z tej koordynacji, planowania wynika, skoro nie mogę otrzymać nawet worka cementu? (Nie mówiąc już o działce, którą można zdobyć tylko na... lewo. Okazało się bowiem, że dopiero po jakiejś aferze, którą wywołała kontrola nikowska, powołano komisję, która przydziela działki. Wcześniej zależało to od widzimisie kierownika. A skoro coś zależy od czyjegoś widzimisie, to do tego można sobie dopisać różne rzeczy. Widz wszystkich sam się domyśla).

Na krakowskim festiwalu ten film nie mógł być pokazany. Jednakże na łódzkim winno się konfrontować dwuletni dorobek w sferze twórczości, tej przez duże „T”, a z tej małej, za to traktującej o problematyce społeczno-politycznej. Na tym festiwalu brakuje mi, niestety, filmów najważniejszych — o władzy, sprawowaniu władzy, o opozycji. Filmów politycznych. Owszem, są, ale takie, które prawą ręką sięgają do lewej kieszeni, choć rzekomo mówią o tych sprawach. Wolę filmy, które ukazują temat wprost, inaczej jest to wzajemne oszukiwanie się. W tym wyraża się bojaźń. Jeśli robimy film atakujący władzę, to sięgamy najwyżej gminy. Wyżej boimy się. Boją się autorzy, boją się zleceniodawcy. A przecież zio, jeśli istnieje, nie musi tkwić tylko w gminie, małym miasteczku...

Jako członek partii mogę powiedzieć, że często niezręcznie mi jest, z różnych powodów, pokazywać krytycznie np. pracę niektórych dygnitarzy szczebla wojewódzkiego, nie akurat tego miasta — przecież jeżdżę po całym kraju. Dla własnego bezpieczeństwa nie podejmuję tego rodzaju tematów, choć spotykam sytuacje absurdu, karykaturalne...

Dlaczego boimy się pokazać czegoś, co chcemy opozycją? Czy pojawia się taki film? A przecież jest to bardzo ważny temat. Przy formułce festiwalu społeczno-politycznego. Zawsze próbujemy wyszukiwać tematy-symbole, w których można by doszukiwać się czegoś w podtekstach, czegoś, co jest krytyką aktualnej sytuacji, a już najlepiej, jak to można przymierzyć do władzy na najwyższym szczeblu...

Gdy przeglądam katalog festiwalowy widzę w nim mnóstwo znakomitych tematów, znakomitych przykładów, ale większość z nich, moim zdaniem, stanowi ucieczkę od spraw najważniejszych. W symbolu, podtekście dotykają jedynie spraw ważnych. Jest bardzo mało filmów o tym, co jakby trzęsie krajem. Myślę tu o młodej klasie robotniczej, o studentach — ciou dziśszych spraw...

— Rozumiem, że to, co pan robi w filmie jest próbą odejścia od dziennikarskiej dorozności, na rzecz dokumentowania rzeczywistości, zaś pojęcia „artystyczne”, bądź nie...

— Staram się po prostu robić telewizję dla telewizji, film dla wizu. Głazę i omerze się co reżyżuję, kiedy się chce, program telewizyjny już tak nie można — emitowany jest o określonej porze, mniej lub bardziej dogodnej. Dlatego to, co robię staram się tak budować, aby w tym momencie gospodyni zakręciła kran w kuchni, bo to co mam jej do powiedzenia jest ważne. Ci, którzy robią telewizję dla widzów mają rezultaty. Mnie się zarzuca, że używam tanich chwytów. Że złapałem się za coś, co jest prymitywne. Więc pytam: dlaczego ci, którzy to mówią nie robią czegoś lepszego? Poza tym, czy to, co robię jest szkodliwe społecznie, czy to nie, poza sensacją, że sobą nie niesie? Czy nie ma na to zapotrzebowania? Gdyby nie było, nie mógłbym tego robić! Nie wierzę w to, że — robiąc jakiś materiał, np. na polecenie dysponenta politycznego — nie gęde w stanie usatysfakcjonować telewizji. Rzecz w tym, że to autorzy zwykle chcą satysfakcjonować dysponenta i to jest przerażające...

— Wróćmy do łódzkiego festiwalu, który ma znakomitą formę.

— Oczywiście. Od paru lat jest to znakomity pomysł. Jedyna miejsce konfrontacji twórczych dokonań. Także w TV. Jesteśmy największym kanałem, w którym zapisuje się rzeczywistość, a nie mamy żadnej możliwości konfrontowania swoich dokonań. Kiedyś był taki festiwal, ale już go nie ma. Łódzki stwarza takie możliwości. Szkoda, że nie spopularyzowano wśród twórców możliwości prezentowania materiałów zapisanych elektronicznie. Szkoda, że 90 proc. naszych prac zakodowanych jest tą techniką. W dziesięciu poprzednich edycjach festiwalu nie przyjmowano takich prac, więc nikomu nawet do głowy nie przyszło, że będzie taka możliwość na dzisiejszym...

— Niestety, niedomagan było wiele.

— Przecież jest, że taki festiwal, będący doskonałą okazją do rozeznania spraw, którymi dzisiaj ludzie żyją, ma taką małą nośność, bo tak mało został spopularyzowany. Z podziwem i zaskoczeniem patrzę, jak tabuny ludzi nie mogą się dostać na przeglądy festiwalu krakowskiego, gdy tymczasem w naszych salach świecą pustki. Nie wiem dlaczego w Łodzi wprowadzono zasadę uczestniczenia w festiwalu tylko zaproszonych gości, którzy mają akredytację, że nie uczestniczy w nim normalna publiczność! To dobrze, że ma ogromną pracę propagandową, obraz jest doskonałym składnikiem pracy propagandowej. Jednakże nie powinno to wykluczać szerszej widowni. Pożytek byłby znacznie większy. Dla mnie np. nie miało znaczenia, czy na otwarciu festiwalu był prezydent miasta, lecz osoby, które przyjeżdżają tu z całej Polski, widzą jaką festiwal ma „oprawę”. Widzą i zdziwiają się, że nie ma nawet instruktorów wydziału kultury UML, nie mówiąc już o dyrektorze. Świadczy to o randze imprezy w oczach osób najbardziej zainteresowanych. Owszem, był sekretarz KW PZPR — Grzegorz Misiewicz, ale był jako przewodniczący Komitetu Organizacyjnego...

A już to, co działo się na pokazach, ten stan urzędów, określone zostało w ośmiu uczestników jednym słowem — skandal. Skandaliczne są także pokazy odbywające się od lat w sali nieprzystosowanej i nie stwarzającej atmosfery kina, ze złą techniczną projekcją. Co więcej, filmy TV pokazywane są w małej sali, na telewizorze. W konkurencji z filmem pokazywanym na ekranie, film TV natychmiast przegrywa. Dla siedzących 10 m od odbiornika jest to już tylko słuchowisko... Nie rozumiem tego wszystkiego! Nie rozumiem, aby w takim mieście, jak Łódź, nie można było stworzyć lepszych warunków!

Albo to, że uczestniczący w pokazach muszą przerwać dyskusję w kawiarni tylko dlatego, że godzinę jest otwarcia są nieprzystosowane do potrzeb festiwalu! To jest żenujące. Ten festiwal powinien być wydarzeniem ogólnopolskim, wydarzeniem kreującym twórców i ich dzieła. Dzieła społeczno-polityczne...

— Jak stąd wniosek?

— Nikt z uczestników i gości nie kwestionował formuły festiwalu, trzeba ją tylko właściwie spopularyzować, wykorzystać i uczynić festiwal prawdziwym wydarzeniem. Komitet organizacyjny wywiązał się z przyjętej formuły dobrze, za to wykonawcy nie spełnili oczekiwań i roli, jaka im przypadła w udziale. Jak tak dalej pójdzie, twórcy nie będą chcieli zgłaszać swoich prac i przyjeżdżać na ten festiwal. A przecież chodzi o to, aby on przyciągał wszystkich, którzy mają w tej formule coś do powiedzenia...

20.10.1988 r.

Rozmawiał: MARIAN ZDROJEWSKI

Ja tych pieniędzy nie wyłudziłem — broni się były rencista.

Za uczciwość

Mylić się — rzecz ludzka. Mylił się więc wszyscy: petenci i urzędnicy, z tą jednak drobną różnicą, że w obu przypadkach konsekwencje ponosi zwykle tylko petent. Przekonał się o tym niedawno Sławomir G., którego Zakład Ubezpieczeń Społecznych obarczył odpowiedzialnością za to, że któryś z jego pracowników popełnił błąd, a nie poczuwa się do winy. Zdaniem ZUS, cena tej odpowiedzialności wynosiła dokładnie 68 150 złotych i tyle też żąda od Sławomira G. z tytułu poniesionych strat. Jeśli nie zapłaci, sprawa trafi do sądu.

Trzydziestodwuletni Sławomir G. z wyglądu nie wyróżnia się niczym szczególnym. Zdawałoby się — silny, zdrowy, młody mężczyzna. Pozory jednak mylą. Sławomir G. od drugiego roku życia choruje na astmę. Przez cały ten czas jest pod stałą opieką lekarzy. Ile czasu przeleżał w szpitalach, trudno zliczyć. Przeżył wiele kuracji i zabiegów, dzięki którym zdołał uzyskać świadectwo dojrzałości, podjąć pracę i rozpocząć w miarę normalne życie. W miarę — gdyż mimo wyraźnej poprawy stanu zdrowia, o całkowitym ustąpieniu choroby nie może być mowy.

Pierwszym miejscem pracy Sławomira G. był pabianicki „Pamotex”, gdzie od 1976 roku był najpierw goncem, a następnie — magazynierem. Drugim — Spółdzielnia Inwalidów im. A. Suwary, w której do 1982 roku prowadził wypoczynalnie narzędzi. Pracując tam, ukończył zaocznie liceum ogólnokształcące. Później ze względu na wyższe zarobki, przeniósł się z powrotem do „Pamotexu”. Dzięki staraniom lekarza zakładowego posadzano go w najmniej ruchliwej portierni. Wydawał i przyjmował klucze. Inne zajęcia nie wchodziły raczej w rachubę. Astma raz po raz dawała znać o sobie. Często przebywał na zwolnieniach lekarskich. Zdarzało się, że po ataku z fabryki zabierało go pogotowie ratunkowe.

W 1978 roku Sławomir G. przynależał do trzeciej grupy inwalidztwa, ale bez prawa do pobierania renty. Zdaniem członków komisji lekarskiej, która go wówczas badała, nie kwalifikował się, bo „za zdrowy”. Po sześciu latach, mimo intensywnego leczenia w Poradni Przewodzącej przy łódzkim Szpitalu im. N. Barlickiego, zmieniono zdanie: będzie otrzymywał rentę. ZUS wyliczył, że 5430 złotych. Za dużo, żeby umrzeć; za mało, żeby żyć. Choć z dłuższymi przerwami, pracował więc nadal, tyle że, aby nie stracić wypłacanych przez ZUS pieniędzy, już w niepełnym wymiarze godzin. W Międzywojewódzkiej Usługowej Spółdzielni Inwalidów „Światowid”, która powierzyła mu pilnowanie jednego z pabianickich parkingów, miał tak zwane dziesięć dziesiątych etatu za około 9 tysięcy. Razem z rentą stanowiło to już dla niego sumę nie do pogardzenia.

3 marca 1988 roku Sławomir G. kolejny raz stanął przed Obwodową Komisją Lekarską ds. Inwalidztwa i Zatrudnienia w Łodzi, a ta orzekła, że „brak podstaw do zaliczenia Obywatela do jednej z grup inwalidów”.

Werydykt ten zdumiał go wielce, bo choć istotnie nastąpiła w niedawnym czasie wyraźna poprawa, to przecież opiekujący się nim lekarze nie twierdzili wcale, że jest już całkiem zdrowy. Ale jeszcze bardziej zdumiewające dla Sławomira G. było to, że w ciągu zaledwie kilku minut widzący go pierwszy raz na oczy medycy z tak niezachwianą pewnością siebie orzekli, iż w pełni jest już zdolny do pracy. Na jakiej podstawie — zastanawiał się — skoro nie kryli nawet, że nie słyszeli nigdy o specjalnej szpecie, która ostatnio brał, i która rzeczywiście bardzo mu pomogła? Wydało mu się to trochę podejrzane. Dlatego postanowił odwołać się do komisji wojewódzkiej. Że jednak, nie czekając, co ta powie, rentę od razu mu odebrano, przeszedł w pracy na cały etat, by zarobić tam chociaż trochę złotych więcej. W sumie przecież i tak sporo stracił. Było to zatem zupełnie zrozumiałe.

(Oczywiście nie widział powodu, żeby informować o tym fakcie ZUS, skoro skreślono go już — jak sądził — z ewidencji). Wojewódzka komisja utrzymała werydykt w mocy. Było to w czerwcu 1988 r. Ale wcześniej, w kwietniu Sławomir G. otrzymał jeszcze ostatnią rentę. Nie wiedząc, czy ma prawo ją wziąć, poszedł zapytać o to do oddziału ZUS w Pabianicach. Powiedziano, że jednak ma, gdyż wprawdzie orzeczenie lekarskie pochodzi z marca, ale decyzji ZUS o wstrzymaniu świadczeń jeszcze nie ma, a ono przecież decyduje.

W maju i czerwcu 1988 r. listopad nie przyniósł już przekazu. Natomiast w lipcu — niespodzianka — pismo, z którego wynika, że dostanie 40890 złotych, co jest wyrównaniem za okres od 1 maja do 30 lipca, jako że ZUS na podstawie „orzeczenia Wojewódzkiej Komisji Lekarskiej z dnia 27.6.88. wznowił wypłatę renty inwalidzkiej w kwocie zł 13630 miesięcznie.

Tym razem zdumienie Sławomira G. przerodziło już całkiem jego zdolność pojmowania. Przecież orzeczenie komisji wojewódzkiej jednoznacznie potwierdzało utratę prawa do renty, a nawet — grupy inwalidzkiej, nie zaś przywracało je. Jak stwierdzano w piśmie ZUS! Ale może — pomyślał — istnieje jakiś taki przepis, że w wyjątkowych przypadkach... Kto wie? Miła sercu nadzieja. Dla pewności jednak znów wybrał się do pabianickiego oddziału z pytaniem, czy rzeczywiście należą mu się te pieniądze. Bo gdyby nie, wolałby potem nie uchodzić za oszust.

Kierowniczka oddziału też była zaskoczona. Sama nie potrafiła odpowiedzieć. W obecności Sławomira G. zatelefonowała więc do Łodzi, aby dowiedzieć się „u źródła”. Po sprawdzeniu dokumentów „źródło” powiedziało: „płacić”. I pani kierownik wypisała czek, który młody pabianiczanie nie bez zadowolenia zreflektował zaraz w banku.

Pragnąc jednakże być do końca lojalnym i uczciwym, powiadomił równocześnie ZUS, iż przez cztery miesiące pracował na pełnym etacie, co oznaczało potrącenie części świadczenia za ten okres, oraz — że od 1 sierpnia 1988 r. powraca, w związku ze wznowieniem wypłat renty, do zatrudnienia w niepełnym wymiarze godzin.

Gdyby Sławomir G. zataił to przed urzędem (a mógł tak zrobić), prawdopodobnie do obecnej chwili przysłałoby mu mu co miesiąc pieniądze, on zaś brałby je ze spokojem w przekonaniu, że nadal jest rencistą — inwalidą trzeciej grupy. List, jaki wysłał w tej sprawie, przekreślił jednak taką możliwość, gdyż przeczytawszy go, urzędnicy w łódzkim ZUS zorientowali się wreszcie, iż któryś z nich popełnił błąd.

Przyjęte jest, że kto się pomylił, powinien przynajmniej przeprosić. Ale na to w ZUS nikt jakoś nie wpadł. Zamiast przeprosin, natychmiast wezwano Sławomira G., nakręczano na niego, po czym zagrożono mu jeszcze sądem. No, bo jak mógł podejmować nie przysługujące mu pieniądze! Jak śmiał!

W oficjalnym zawiadomieniu, które po tym przykrym spotkaniu otrzymał, mógł przeczytać między innymi: „Zakład Ubezpieczeń Społecznych wstrzymuje od dnia 1.10.1988 r. wypłatę renty inwalidzkiej z powodu PRACY W PEŁNYM WYMIARZE GO-DZIN (podkr. P.T.) oraz uznania Obywatela przez Komisję Lekarską za zdolnego do pracy”.

I dalej:

„Ponieważ Obywatel był ponoszony o okolicznościach powodujących ustanie lub zawieszenie prawa do świadczeń, a mimo zajęcia tych okoliczności pobierał przysługujące świadczenia (...) jest zobowiązany do zwrotu kwoty zł 68.150, — sześćdziesiąt osiem tysięcy sto pięćdziesiąt, za okres od 1.5.88 do 30.9.1988”. „Powyższą kwotę należy zwrócić w terminie 1 m-ca”.

W odpowiedzi skierowanej do dyrektora ZUS w Łodzi, Sławomir G. napisał:

„Uważam, że pieniądze te należy spisać na konto nadzwyczajnych strat i zysków lub wyegzekwować je od osób odpowiedzialnych za błąd, który był przyczyną nieporozumienia. Ja tych pieniędzy nie wyłudziłem, do ich pobierania upoważniała mnie decyzja o wznowieniu wypłaty świadczenia, o pracy na cały etat poinformowałem. Szukajmy winnych tam, gdzie należy i nie niszczyć karze za uczciwość, lecz karzmy za niepietowanie porządku i za nieudolność w pracy. Z poważaniem i ubolewaniem Sławomir G.”.

I trudno nie zgodzić się z takim tokiem myślenia. Zwłaszcza że Sławomir G. pieniądze zdążył już wydać.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Wieczorem 16 listopada 1988 r. ziemia spowitała mleczną mgłą, ale przed portiernią takie oświetlenie, że wszystko widać jak na dłoni, nawet z okien przejeżdżających autobusów linii 1 i 3. I wtedy z tej mgły wyłoniła się nyska w barwach krainy Smurfów, wysiedli panowie sierżanci i zaczęli robić zdjęcia. Pewnie na pamiątkę, bo chyba nie spodziewali się pi-jackich ekscesów wśród kadry kierowniczej, jako że 26 lipca 1988 r. przybył tu z Olsztynskiego nowy gospodarz w osobie prezesa, i to na dodatek zielony, ludowiec, o czym świadcza m. in. ładnie przycięte krzewy róż na wypielonym skwerze przed portiernią. A może panowie sierżanci fotografowali z przejęcia i zdziwienia, bo mleczarnia zawsze była rozsądna, pokorna i nie strąkowała nawet za „Solidarność”? Kiedy półki sklepowe straszły pomańgą, liczył się każdy litr mleka i każdy kawałek sera twarogowego, choćby najgłupszego.

ŁÓDŹ, PABIANICE: akcja strajkowa mleczarzy.

Samodzielna sprzedaż serwatki

RYSZARD BINKOWSKI



Rankiem 17 listopada na ulicy Paryżanckiej w Pabianicach nie się nie zmieniło, tyle że mgła jakby zrzędała, i tym wyraźniej maluje się na tle ciężkiego, ołowianego nieba fronton zakładu Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej. Nad szarymi drzwiami portierni z napisem „Nie zatrudnionym wstęp wzbroniony” wielka żółta plansza z czerwonymi literami tworzącymi dwa słowa z wykrzyknikiem: „Akcja protestacyjna!” Bliżej ulicy dwa metalowe stojaki utkane drzewcami flag białoczerwonych, których płótna jakby zastępyły w bezwietrznym, przesyconym wilgocią powietrzu. W ich tle dwie kolejne żółte plansze, na których literami czerwonymi nieśmiało się z czarnymi. Plansze głosz: „Popieramy protest Federacji Związków Zawodowych”. „Protest w sprawie płac”.

Ponieważ szefowa organizacji związkowej jest akurat w terenie, jedna z portierek, krepka blondynka w okularach, dodzwania się do prezesa Ferdynanda Buszmaka. Gabinet jest obszerny, ale nie widać w nim mebli z epoki II Polski ani rozłożystej jak pawł wachlarz promienistej palmy. Prezes Buszmak ma twarz ascetyka i w pierwszym kontakcie sprawa wrażenie człowieka kosztownego, opryskliwego, a nawet wręczego, szczególnie do prasy. Ale w trakcie rozmowy okazuje się, iż wrażenie jest mylne. Prezes Buszmak to swój chłop, wali twarde po chłopsku, rzucając dowcipem i miedchem, określając bez retencji, co myśli o stanie naszej gospodarki i o tym iscie gorydyskim węgle biurokracji. A do gazetowych ma pretensje z przyczyny red. Andrzeja Nalecz-Jaweckiego z tygodnika „Veto”, który — według prezesa — nie mając pojęcia o specyfice surowca i warunkach produkcji, urządził wścieklą nagonkę na mleczarzy. Żeby Ferdynanda Buszmaka sprowokować, wystarczy dodać kropkę oliwy do ognia:

— Ludzie mówią, że domagacie się lepszej płacy, a produkujecie barachło, którego nie da się zjeść.

— Tak? To ja panu coś powiem! W naszym zakładzie nie ma konfliktu między załogą i kierownictwem. Protest jest słuszny, uważam, że ludzie powinni lepiej zarabiać. A jeśli ktoś kupi w jakimś sklepie kwaśny twaróg, to nie można generalizować z tej opinii o

wyrobach mleczarskich i podciągać pod to wszystkich OSM. Zła jakość w większości wypadków nie jest winą przemysłu i producentów, lecz nieprzepracowaniem handlu do przechowywania naszych wyrobów. Nie ma tzw. ciągu chłodniczego, a artykuły mleczarskie znoszą dobrze temperaturę maksimum 10 st. C. Tymczasem w lipcu mleko stoi nocą przed sklepem w temp. 20 st. C i się kwasi. Proszę spytać handlowców, ile mają ład chłodniczych...

No tak, można odbijać tę pieczę bez końca, lecz nie ulega wątpliwości, iż argumentów na obronę mleczarzy też jest sporo. Choćby te butelki, w których trafiają się etykiety, sznurki, kapsle od wódki. Butelki z zieloną obwódką po kwiatach, konwie, w których woz się zlewki ze stółków. Tego maszyn nie wymyje, ludzkie się przy tym męczą w najpodlejszych warunkach. No i sprawa surowca. Zakupuje się go w OSM z innych województw, np. w Wieluniu, i skupuje w 24 własnych punktach. Mleko z różnych wzglę-

spiesz. U nas nie produkują się „na magazyn”, tylko pod zamówienia handlu, mimo że mocą produkcyjne mamy wyższe...

Obrazowo sytuacja wygląda tak, że np. do moszczu dodaje się siarkę i przyspiesza fermentację, a jak w mleczarni da się dwa razy więcej zakwasu, to śmiesz się szybciej nie zrobi. Można szybciej machać maseliną, a masło i tak się zrobi w swoim czasie. Tutaj obowiązują wymagania higieniczne, czas i odpowiednia ilość ludzi.

— Co pan zrobi, gdy akcja protestacyjna przybierze ostrzejszą formę?

— Wierzę, że do tego nie dojdzie. Gdyby protest miał się przerodzić w strajk, byłbym przeciwny. Bo wtedy ugodziłbyśmy w najbardziej potrzebnych. Musimy sobie zdać sprawę, że 60 proc. białka pochodzi ze spożycia artykułów mleczarskich. Dzieci muszą mieć mleko, emeryci serki i twarogki, bo to w gruncie rzeczy najtańsze dziś białko. Litr oranżady kosztuje w sklepie 120 zł, a liter mleka 19 zł...

Prezes Ferdynand Buszmak

jest gigantem o posturze waznego reportera, tylko wyższy, a więc jakby cięższy pozwolił mi więcej zjeść spokojnie śniadanie. Tym bardziej, że na horyzoncie pojawia się szefowa komisji rewizyjnej związków zawodowych, Jadwiga Ostrowska, najpiękniejsza z mleczarek. Reporter w ambivalencji, bo jak tu naraz słuchać i wytrzeszczać gały?

— W kwietniu — mówi pani Jadwiga — nastąpiła u nas podwyżka płac w ramach tzw. wartościowania stanowisk pracy. I na tym koniec. Inne zakłady poszły z pensjami w górę, myśmy zostali w dolku. Ci, co produkują na eksport lub na magazyn, mają ulgi podatkowe. My, gdybyśmy dali parę groszy podwyżki, ulgi nie dostaniemy. Nam grożą sankcje związane z podatkiem od ponadnormatywnych wynagrodzeń. Taka „Półka” wypłacała po 100 tys. zł nagrody z zysku, u nas zaś wyszło po 23 tys. na osobę, i to przy wykonaniu wszystkich zadań produkcyjnych.

— Zarobki faktycznie są tak niskie?

— No, średnia może wydawać się nie najgorsza... Przy nominalnym czasie pracy w mleczarni (178 godzin) — w granicach 35 tys. A przy ponad 200 godzinach — ok. 39 tys. Ze wszystkimi dopłatami za noc, święta i stuprocentowe godziny nadliczbowe. Trzeba sobie bowiem uświadomić, że u nas pracuje się tyle, ile dni w roku. Większość ludzi przeraża półtora miesiąca w miesiącu. Niektórzy nie chcą już nadgodzin, brak kandydatów do pracy. Idą tam, gdzie więcej płacą za mniejszy wysiłek. Bywa tak, że na produkcji z różnych przyczyn brakuje 30 proc. pracowników...

Wróćmy jeszcze do tego, porównując zarobki mleczarzy ze średnią krajową. Teraz po każdym natomiast, za co się tu płaci. Za wolne soboty, gdy przegladają się maszyny i urządzenia z importu, które szlag trafia po długiej eksploatacji, a części zamiennych brak. Cała dystrybucja mleka odbywa się w nocy. W drugi dzień świąt, choćby był nie wiem jak skacowany, musisz się stawić w zakładzie. A z balu sylwestrowego też prosto do roboty.

Na 306 zatrudnionych połowę stanowią kobiety, które w soboty, niedziele i święta odcierane są od domu i od dzieci.

Kobiety, które pracują w wodzie, oparach i buty gumowe nie chronią je przed reumatyzmem. Kobiety, które ziębną na butelkowni przy chłodni, ładują palety, męczą się na „krajance”, gdzie ręce kaleczy się o zardzewiałe druciaki, które na szczęście wymieniono już na plastikowe, ale skóra i tak pęka, gdy wyjdiesz z dłońmi ociekającymi serwatką na mroz.

Ale dość tej smutnej wylizanki, bo jest już przewodnicząca zakładowej organizacji związkowej, Teresa Walczak. Smutna, zadana, z dyskretnym makijażem. No, wiedzieli kogo wybrać do łapania oporu w prezesach... Przez pewien czas należała do „Solidarności”, większość ze 120 członków nowego związku też była w „Solidarności”.

Sprawa protestu zaś wygląda tak, że od 5 maja 1988 r. Federacja Zw. Zaw. Pracowników Spółdzielczości Mleczarskiej, przy poparciu OPZZ, Centralnego Związku i Rady Nadzorczej, prowadziła rozmowy z rządem na temat płac i zawsze kończyło się na obietnicach. Federacja wnioskowała także w uchwałę Zarządu Krajowego, żeby znieść ograniczenie podatku od ponadnormatywnych wynagrodzeń, uwarunkowanego 25-procentowym zyskiem przedsiębiorstwa. Domagano się również zmiany instrukcji w sprawie dotacji, ale nic z tego nie wyszło.

— I wasza cierpliwość się wyczerpała?

— W listopadzie powinniśmy wiedzieć, jakie będą dotacje w przyszłym roku — stwierdza Teresa Walczak — a jeszcze nie wiemy, jakie będą w tym roku. Stąd też nie możemy określić wysokości zysku i czy będzie można podnieść płace. Akcja protestacyjna obejmuje cały kraj, a w naszym zakładzie poparła ją cała załoga, nie tylko związkowcy. Obecny minister rolnictwa powiedział, że by przełożył to do przyszłego roku. A jak ceny pójdą w górę i znowu zostaniemy w dolku? Postawiliśmy ultimatum, żeby sprawę załatwiono do 10 listopada, ale nic nie drgnęło...

— Tak bardzo czujecie się pokrzywdzeni?

— Za 10 miesięcy średnia płaca w przemyśle wyniosła 59 960 zł, natomiast średnia w mleczarstwie, które jest swego rodzaju białym górnictwem, wynosi 42 tys. zł. Jesteśmy więc 18 tys. do tyłu. Dlatego od 16 listopada trwać będzie przez tydzień protest, z hasłami na planszach i oflagowaniem.

Rzecz w tym, że protestujący normalnie pracują. Gdyby było inaczej, znalazłoby to odbicie wizualne na półkach sklepowych. Pani Maria Gajda, pogodna brunetka w białym fartuchu, kierownik działu handlowego, czyli mistrz marketingu, dysponuje pełnymi danymi.

Wczoraj dotarło do zakładu 170 tys. litrów mleka. Dziś poszło od nas do handlu 98,1 tys. litrów mleka spożywczego, 6,3 tys. litrów 12-procentowej śmietany, prawie dwie tony krajanki chudej i 7 ton krajanki tłustej, 8400 serków homogenizowanych w sześciu asortymentach, 2,6 tony masła. Tona sera dojrzewającego. Wystarczy?

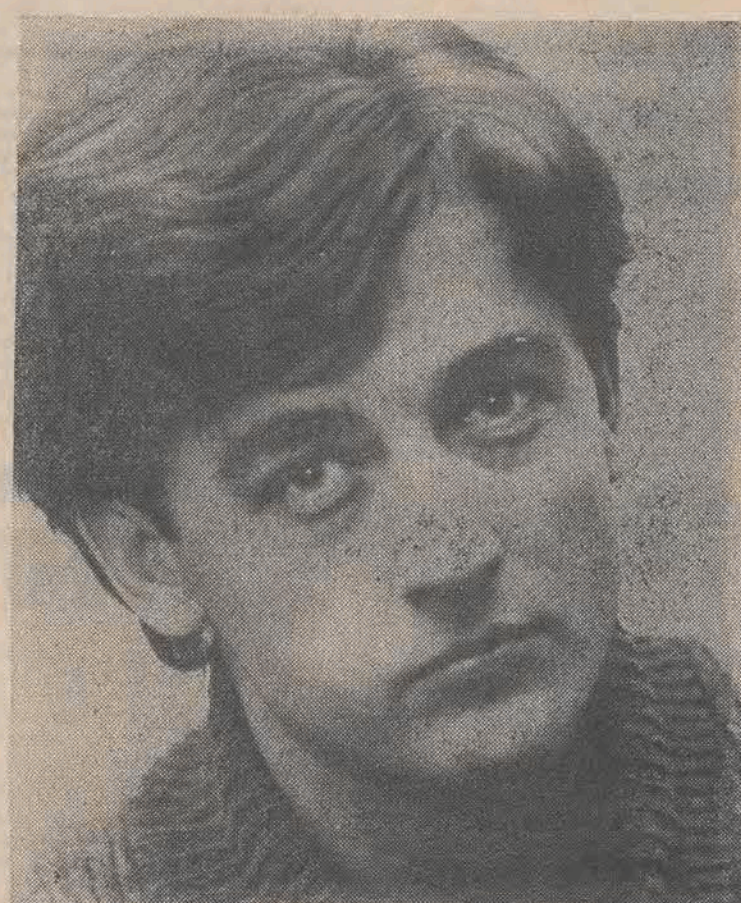
Jasne. I żeby też starczyło w sklepach. Tego kefiru, masłanki, jogurtu, tego Fromage Fine i serków topionych, które się dziś ekspeduje z pabianickiej mleczarni.

Wśród załogi nastroje zróżnicowane. Jedni mówią, jaka jest różnica między burdelem przedwojennym a dzisiejszym. Dawniej w razie plajty wymieniano się dziewczynki a dzisiaj łózka. Drugi wierzą, że w telewizji spotkają się Waleśa z Miśdowiczem, dogadają się, będzie jakaś kompromisowa fuzja i powstanie silny związek zawodowy.

Nie ma kolejek po serwatke, którą zakład sprzedaje samodzielnie. Nie ma kłótni, rolnicy wywożą spokojnie serwatke bez nadmiaru wody. Szlaban przy bramie cały czas w górze, bystrookie portierki wychytują w locie numery samochodów. Fronton pociągnięty farbą bladobłękitną, w głębi bardziej szaro i jak zwykłe kobiety dźwigają pod wiatr transporterki z flaszkami, a dokuczliwa mżawka wleciała się im za kołnierze.

W pobliskim „Polanie” zmieniające się światła żarówek wskazują godzinę z minutami i temperaturą i st. C.

A pani Walczakowa ma nadzieję, że 23 listopada 1988 r. przyjdzie teleks z poleceniem zdjęcia hasła i flag i zakończenie protestu, bo w Warszawie dogadano się w sprawie płac.



Mówi: Jan Piechociński

— Każdy aktor ma swoje pięć minut, pan ma je już za sobą? — Mam nadzieję, że jeszcze nie, bo cały czas myślę o zagranii poważnej roli w filmie, który oddawałby problemy i istotę naszych czasów. Cała polska klasa (poza Henrykiem Sienkiewiczem) jest nie wykorzystana, a więc pracy jest dużo. Szkoda tylko, że nie mamy aktualnie pieniędzy, aby to wykorzystać.

— Należy pan do aktorów, którzy postawili na film i nawet zrezygnowali z etatowej pracy w teatrze. Czy od czasu, gdy podjął taką decyzję, przekonał się, że była słuszną a kino odzwierciedlało?

— Moje losy były pokrętne, nie jestem tak odczytywany jakbym chciał. Cały czas prostuję, że to nie ja zrezygnowałem z teatru, ale teatr ze mnie. I to nie ja postawiłem na film, lecz udało mi się w nim zagrać. Nic w tym przypadku nie zależało ode mnie. Proporcje były odwrotne.

— A przecież myślał pan o zupełnie innych zawodach: łącznościowca, cybernetyka, elektronika, fizyka i polonisty?

— Planu zawodowego wciąż mi się zmieniały i nadal nie jestem pewien, czy wybrałem dla siebie dobry zawód. Często wybiera się zawód na podstawie wyobrażeń, które z założenia są idealne. Odrępną sprawą jest to, jaki ten zawód powinien być, o czym mogę mówić dziś po 15 latach pracy. Faktem jest, że ten zawód powinno się inaczej uprawiać. Aktor, czy tego chcą urzędnicy czy też nie, oprócz tego, że musi być znakomitym rzemieślnikiem, musi być przede wszystkim artystą.

— Swego czasu był pan angażowany do grania tylko pewnych ról. Czy później udało mu się tego uniknąć?

— To nie aktorzy wymyślają w Polsce swoje image, o wszystkim decyduje przypadek. To także kwestia szczęścia, trafienie na moment, na sytuację.

— A warunki zewnętrzne?

— Owszem, determinują, ale nie powinny ograniczać. U nas nie ma aktorów, dla których robiłoby się filmy. Owszem są dwa nazwiska: Tadeusz Łomnicki i Zbigniew Zapasiewicz, którzy potrafią wszystko, ale system „aktora-gwiazdy” nie istnieje. Systemem w Polsce jest teatr, film nim nie jest.

— Bywa pan zaliczany do amantów...

— Zaczynam grać czarne charaktery. Nie chciałbym być zaliczany do żadnej grupy, bo każda klasyfikacja ogranicza i krzywdzi aktora. Chyba, że ktoś ma pomysł n. samego siebie i warunki, żeby go realizować. Są u nas aktorzy, którzy przyjmują tylko określone role.

— Co decydowało, że powierzano panu takie a nie inne zadania?

— Sądzę, że przypadek, ale to pytanie należy skierować do reżyserów. Sam chętnie przeczytałbym ich uzasadnienie decyzji obsadowej. Ale to temat na oddzielną rozmowę.

— Podobno myśli pan o reżyserii?

— Tak, ale nie zdawałem na reżyserię i już nie będę. Jeżeli powstaną prywatne firmy filmowe, może będę miał szansę, ale nie sądzę, żeby ktoś ryzykował prywatne pieniądze na debiut. Mam szereg pomysłów i podświadomie dążę do ich realizacji.

— Czy dorywcza praca w filmie pozwala panu żyć wraz z rodziną na odpowiednim poziomie?

— W ogóle mi nie pozwala, więc utrzymuję się z czegoś zupełnie innego. Sama zdolność manualna i potrafię zrobić wszystko.

— Nic się nie zmieniło od czasu naszej rozmowy sprzed trzech lat?

— Zmieniło się na gorsze. Ktoś niedawno powiedział, że czterdziestoletni artyści są na utrzymaniu rodziców, żyją z ich renty lub paczek zagranicznych, ale chcą wykonywać swoje zawody.

— Obecnie kręci się jeszcze mniej filmów i aktorom grozi bezrobocie?

— Nie grozi, tylko już jest. Nie wiem, na ile te wiadomości są prawdziwe, ale słyszałem, że w tym roku ma być zrealizowanych tylko siedem filmów.

— Jaki jest pana udział w sprawach domowych?

— Zasadniczy: piore, gotuję, sprzątam.

— Kim z zawodu jest żona?

— Stewardesa.

— Jest dziecko?

— Córką Ewa-Maria, która liczy sobie 3,5 roku. Kiedy wróciła z wizyty u swoich rodziców chrzestnych w Nowym Jorku, zaśpiewała trzy koledy po angielsku. Stwierdziłem, że jest genialna. Ponadto myśli jak 8-letnie dziecko i dominuje na podwórku.

— Wróćmy do pana. W jakich rolach zobaczymy pana niebawem?

— W serialu „Śmieciarz” gram młodego człowieka dojrzewającego podczas wojny. W „Wielkim wozie” gram Polaka, w którym płynie niemiecka krew, ale odrzuca propozycję pracy w Oflagu. W „Domu nad urwiskiem” gram młodego człowieka, który wychodzi z więzienia i znajduje rodzinę w rozkładzie. W „Dekalogu” gram rolę niemą, ale za to jedną z najciekawszych w moim dorobku. W Teatrze TV zagrałem amanta w „Sasłach” i naukowca matematyka w sztuce „Czego chcesz”.

— Zastanawiam się, kiedy uwolni się pan od swojej roli do tej pory najpopularniejszej roli, czyli Karola w komedii filmowej „Och, Karol”?

— Karol rzeczywiście trochę mnie zablokował i zdawałem sobie sprawę, że tak prędko nie uwolnię się od tej roli. Zaczęłem więc przyjmować diametralnie różne zadania, jak to wypadło na ekranie okaże się niebawem, bo filmy czekają na premiery.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Chór na polach

Z EUGENIUSZA WINOKUROWA

Pieśń w armii.
Rodziła się na ustach zapiewały.
Porywała nas i my podchwytywaaliśmy refren...

To właśnie był ten rodzaj sztuki,
W którym widz i aktor zlewają się w jedno.
Śpiewaliśmy dla siebie — widzów nie było, —

To wyższy rodzaj sztuki!
Fantaści pierwszych lat rewolucji,
Marzący o wspólnotce widowisk, sceny,
O misteriach, w których jednym porwytem
Zniesiono by przepaść dzielącą
Biernych od działających, —
Oto dokonało się wasze marzenie!

Wokół pola rude —
Szliśmy do granic ziemi.
My aktorzy i widzowie,
Szliśmy oddając się pieśni.
Wkładaliśmy w nią całą swą żałość,
Całą chłopięcą tęsknotę do życia

Cały ból od czarnych onuc,
Zie w pośpiechu zawiniętych przed marszem.

Byliśmy podobni do chóru starogreckiego,
Czworobokiem, sunący przed siebie
W zapadliska pól.
Komentowaliśmy słowa wodzireja,
Jak gdyby los przepowiadając,
Cienkimi głosami,
Wyciągaliśmy szyję z kolumny.

A on swoje.
Kluczył i wierzył, spierał się i nawoływał.
Wkraczaliśmy znów, groziliśmy, ostrzegaliśmy.
A wokół tylko przestwór,
Słońce.
Bezludzie...

Półka z książkami

OPOWIEŚCI ZOHARU

Ta książka zainteresuje przede wszystkim zbieraczy żądań. „Opowieści Zoharu” to wybór tekstów ze świętej księgi Kabały liczącej parę tysięcy stron. Owa Sefer ha — Zahar powstała w XII w. jako komentarz do Pięcioksięgu i jest apokryfem, choć jej autor rabbi Mose de Leon głosi, iż jest ona dziełem samego rabiego Szimona i przez setki lat znajdowała się w ukryciu. Niestety, dzieło Mose de Leon zostało szybko uznane jako nieortodoksyjne i wręcz heretyckie.

Polecam tę książkę, jako że Kabała miała i ma nadal nieposłedni wpływ na kulturę Europy. Wybór i przekład Ireneusza Kani.

Opowieści Zoharu. WL 1988. Str. 206. Cena 450 zł.

RECEPCJA TWÓRCZOŚCI PRUSA

Cytat ze wstępu: „Nie było legendy Bolesława Prusa. Była legenda Sienkiewicza i Żeromskiego, nie było legendy Prusa”. Edward Pieśkowskiego dokonał, moim zdaniem rzeczy ważnej i potrzebnej: uzmysłowił nam, że choć czytamy „Lalkę” czy „Faraona”, to autor tych książek pozostaje gdzieś w tle, poza naszą świadomością. Wydając obszerne dzieło „Prus. Z dzieł recepcji twórczości” oparł się na dziesiątkach tekstów — autorów współczesnych Prusowi i tych obecnie żyjących — którzy pisali o Prusie i jego dziele. A — konkluzja? Trzeba sięgnąć do omawianej przez mnie książki. Warto.

Prus. Z dzieł recepcji twórczości. PWN 1988. Str. 456. Cena 840 zł.

Oprac.: E.J.W.

A jednak również młodzi lubią jubileusze! Przechybiając w tym roku 20-lecie Stowarzyszenia Polskiej Młodzieży Muzycznej, będącej sekcją Międzynarodowej Federacji „Jeunesses Musicales”, zorganizowało w ramach obchodów uroczyste koncerty i spotkania najpierw w Poznaniu (marzec) potem w Warszawie (czerwiec). Ostatnim etapem świętowania stał się doroczny XXIII Międzynarodowy Festiwal „Jeunesses Musicales” w Częstochowie.

Trwał od 10 do 13 listopada, od strony artystycznej kierowany był jak zazwyczaj, przez obecnego przewodniczącego SPM, Józefina Jarosława Siewierskiego, zgodnie z

Interesującą wypadły 2 „poirecitali” wokalne. Mezzosopranistka Ewa Podlęś z doskonałą techniką i emocjonalnym wykonaniem operowe „Rossinię” — Haendla i „Donizettiego, Szkoda, że akompaniujący jej Jerzy Marchwiński akurat nie był w formie i mylił się co do pewien czas. Baryton Adam Kruszyński śpiewał z koleżką Gounoda, Verdiego i Montuszkę. Wzbudził uznanie dla swego dźwięcznego głosu, podobną się też towarzysząca mu przy fortepianie Ella Susmanek.

Mieszane uczucia wywołały orkiestry kameralne. Zaproszony z Belgii (Liege) zespół uczniowski pod dyr. Pierre Voetsa mógłby być oc-

Kameralny koncert muzyki współczesnej zawierał mniej lub bardziej udane utwory na gitarę, skrzypce, akordeon i kontrabas w różnych zestawieniach. Wrażenia zupełnie odmienne przyniósł potem amatorzyści zespół pieśni i tańca amatorskiej przy uniwersytecie w Wilnie pod kier. Vidasa Aleksandraviciusa. Program obejmował barwne scenki pasterskie i związane z wykonywaniem zawodów miejskich oraz pokazanie litewskiego obrzędu weselnego.

Ostatni dzień festiwalu dostarczył przede wszystkim pięknych. Jako wyśmienity określić można recital Piotra Palecznego (kompozycje chopinowskie oraz

4 dni w Częstochowie

zasadą „kaleidoskopowości”, czyli przemian form gatunków i stylów muzycznych. Ideę jednoczącą stanowił udział wykonawców z instrumentu silnego dźwięku.

Odbyło się 9 koncertów o nierównym — powiedzmy to szczerze — poziomie. Podczas inauguracji zasiedli na estradzie nowoczesnego, aczkolwiek nie posiadającego najlepszej akustyki gmachu koncertowego filharmonii częstochowscy. Zespołowi temu w dalszym ciągu nie udało się jakoś wejść do „i li” orkiestr krajowych. Gra poszczególnych grup instrumentalnych, głównie zaś smyczkowego kwintetu, odznaczała się często małą precyzją, interpretacja pozostawała była wielu niuansów niedokładnie nie widzieliśmy się nawet wyrażniejszych reakcji na wskazania dyrygenta. Zza kapelmistrzowskiego pulpitu wieczorową porządku Zbigniew Frieman. W Raspoli o-moll Rachmaninowa nt. Paganinię solistyczną partię „zabijała” (może trochę za mało drapieżnie) Anna Wesolowska. Koncert podwójny a-moll Brahmsa odzwierciedlał, współdziałając wzorowo, skrzypce Konstanty Andrzej Kulka i wiolonczeliści Roman Jabłoński.

niemy jedynie w oparciu o niskie kryteria szkolne. Solista Eric Mathot — kontrabas, nie potrafił w Koncercie szostakowskiego wydobyc z instrumentu silnego dźwięku. Grał anemicznie w ogóle bez zróżnicowań dynamicznych. Wyższy poziom reprezentowała poznańska młodzieżowa orkiestra kameralna „Musica Via” pod dyr. Mirosława Trzeciaka, ale ją też trudno było by zaliczyć do ansamblu znakomitych. Satisfakcję sprawił natomiast, grający z nią koncert Vivaldiego („Szczygieł”, „Noc”, „Burza morską”) utalentowany flecista Grzegorz Olkiewicz.

Młodzi fletu z zainteresowaniem słuchali również występu Antoniego Wierzbickiego który wspólnie z klawiszystą Leszkiem Kędrakim, stylowo odzwierciedlał kompozycję włoskiego i niemieckiego baroku.

Nie po raz pierwszy produkował się w Częstochowie Warszawski Kwintet Akordeonowy. Nawet ci, co nie lubią parwy akordeonu, a nawet ten instrument lekceważą, nie mogą nie cenić wirtuozostwa i umiejętności ansamblu włączającego do swego repertuaru m. in. transkrypcje dzieł Bacha Albiniego i Mozarta.

pełne dramaturgi. „Obrazki z wy-staw” Musorgskiego. Lecz prawdziwą kulminacją i ukoronowaniem częstochowskich prezentacji stał się finałowy wieczór oratoryjny, z udziałem kierowanych batutą Sławana Stuligroza „Poznańskich Słowików” i orkiestry filharmonii w Poznaniu. Przepięknie interpretowali oni „Ave verum” Mozarta i „Alleluja” z Haendelowskiego „Mesjasza” natomiast, wraz z solistami: Grażyną Flicinską — sopran, Mają Urbanek — mezzosopran, Krzysztofem Szymtem — tenor i Czesławem Galką — bas — Requiem Mozarta. Były to wykonania oddziałujące ogromną siłą wyrazu, charakteryzujące się precyzją, mistrzowskim wyważeniem temp i proporcji brzmieniowych, uwydatniające też — w wypadku Requiem — romantyczne rysy archaiczne. Po to przede wszystkim końcowe, wielkie przeżycie warto było do Częstochowy pojechać.

JANUSZ JANYST

Jak rozumieć klasykę

Program koncertu symfonicznego, który 21 października br. poprowadził szef artystyczny Filharmonii Łódzkiej — Tomasz Bugaj, obejmował trzy dzieła pochodzące z różnych epok, ale będące już dziś klasycznymi pozycjami światowego repertuaru koncertowego. Koncert rozpoczął uwer-tura do jednej z najdoskonalszych oper komi-cznych — mozartowskiego „Wesela Figara”.

Solista wieczoru symfonicznego był znakomity radziecki skrzypek średniego pokolenia — Oleg Krysa. Wykonał I Koncert skrzypcowy D-dur Sergiusza Prokofiewa. Muzyczny-estetyczna koncepcja tego dzieła jest w pewien sposób nowatorska w stosunku do tradycji. Kompozytor zestawia w nim fragmenty liryczne oraz typowe dla swojego stylu twórczego epizody o charakterze groteskowo-witalnym. Zarówno partia solowa jak i orkiestra mają tutaj równie odpowiedzialną rolę. W interpretacji, której słuchaliśmy, radziecki artysta w najbardziej przekonujący sposób wykonał fragmenty liryczne dzieła. W części pierwszej — Andantino dała się odczuć szczególna wrażliwość solisty na piękno dźwięku swojego instrumentu. Gdy chodzi o brzmienie orkiestry, to najbardziej wyraziście, ciekawie interpretacyjnie, były fragmenty o typowo prokofiewowskim, groteskowym charakterze. Bardzo celnie podkreślono w nich warstwę rytmiczną.

Oddziaływanie muzycznych idei Mozarta na spado-kobierców jego sztuki było tak silne, że także twórcy romantyczni chętnie sięgali do tradycji stylu mistrza. Świetnie udowodnił to słuchaczom Tomasz Bugaj, interpretując V Symfonię B-dur Franciszka Schuberta. Wspomniany utwór został napisany w 1816 roku przez zaledwie 19-letniego kompozy-

tora. Pomyślany był na kameralną obsadę orkiestrową, nie posiadającą trabek i kottów.

Charakterystycznymi cechami wszystkich czterech ogniw dzieła są: zwartość ich formy lekkość i wielka inwencja melodyczna. Pod batutą prowadzącego koncert dyrygenta widać artystyczną symfonię Schuberta była naprawdę interesująca. W pierwszej części — Allegro trudno było nie dosłuchać się gładkiego prowadzenia linii melodycznej przez instrumenty smyczkowe i dete drewniane. W drugiej części zaś — Andante o moto bez wątpienia najbardziej wyraziście brzmiały: flety ob-e i waltornie. Natomiast w smyczkach dąty się usłyszeć pewne nierówności intonacyjne oraz roz-wlekłości brzmieniowe. Równie ciekawie wykona-na była część trzecia — Menuet. Szczególnie in-teresujące było jego trio z rubasznym i jednym brzmieniem fagotu i oboju. W finale To-masz Bugaj szczególnie sugestywnie oddał lekkość i muzyczny humor zawarty w tym ogniwie dzieła. Najbardziej przekonująco brzmiały tu fragmen-ty grane przez całą orkiestrę. Z zadowoleniem trzeba przyznać że była to bardzo stylowa in-terpretacja, oddająca klasyczną z ducha koncepcję dzieła Schuberta.

Na zakończenie nastąpiła refleksja: prowadzący koncert Tomasz Bugaj zestawiał program w ten sposób, aby udowodnić słuchaczom, że termin „klasyka” w muzyce może być rozumiany bardzo szeroko. Właśnie za to należałoby dyrektorowi ar-tystycznemu naszej filharmonii słowa szczerego uznania.

PIOTR KUKIELKA

PESTKI DYNI

Jest ważne, czy ludzie uprawiający ze sobą seks kochają się 5 sekund, 5 minut, a godzin, 5 dni, 5 lat, 50 lat, całe życie; ważne jest to przede wszystkim dla nich samych. Mniej powinno obchodzić to innych, chyba że lekarzy, u których szukają pomocy albo ratunku, bowiem wydaje się im, że kochają się bądź za długo, bądź za krótko. Czasem z takiego uprawiania seksu — i nieistotnym jest czy trwało ono krótko, mgłnie nie oka, cholernie długo i czy był on małżeński, pozamałżeński, koleżeński, towarzyski, biurowy, przypadkowy, odwetowy, kolegowy, taksówkowy itd. — może wyniknąć ciąża.

Ciąża przydarza się wyłącznie prawdziwym kobietom, chociaż ja nie miałam nie przeciwko temu żeby na nią zapas — niezależnie od tego jak długo trwałby poprzedzający ją seks — i urodziłby nawet dwoje dzieci, chociaż podobnie jak Urban dzieci nie lubię. Ale lubię pieniądze — podobnie jak Klaskon; zdaje się wciąż na takiego szczęśliwca czeka grubsza forsza. I to w dolarach.

Nie wszystkie kobiety, które w ciąży popadły, są tym faktem zachwycone. Są takie, które kochają być mamusiami i takie, które wola się kochać — niezależnie od tego ile minut, godzin, dni czy lat to kochanie trwa — bez konieczności paradowania z brzuchem. Jest to indywidualna, najbardziej prywatna sprawa każdej z nich.

Świat nasz nie jest — stety czy niestety — jednolity ani kulturowo, ani religijnie, ani cywilizacyjnie, ani gospodarczo, ani politycznie. To trzymy. Naturalnie. Ale w wielu miejscach tego świata, z racji owej niespójności, wynikają dla ludzi konkretne uwarunkowania; szczególnie wiele i to przykrych ciąży na kobietach. Należą do nich między innymi kwestia decydowania o samej sobie; prawo do wolnej, niezależnej miłości; także prawo do przerywania ciąży, kiedy się jej nie chce...

Również prawo do przerywania tej ciąży w sposób jak najbardziej bezpieczny, humanitarny i zgodny z dzisiejszym stanem nauk medycznych.

Taka szansę dał kobietom Etienne Beaulieu, u-czony francuski, wynalazca specyfiku RU 486, który pozwala na pozbycie się ciąży właśnie w sposób bezpieczny skuteczny i kulturalny. Zain-teresowanych tym, jak takie pozbywanie może się odbywać niebezpiecznie nieskutecznie i nie-kulturalnie odsyłam do innych źródeł. Ja tu nie jestem od makabry i barbarzyństwa — ja tu je-stem od kultury. Od soraw CZŁOWIEKA.

A zatem pełnia szczęścia? Chciałoby się tu na-rysować znany na całym świecie gest! Pod jedno-czonym naciskiem międzynarodowej ciemnoty, bi-goterii, zaoferacji, którym przewodziła skutecznie amerykańska organizacja National Right to Life Committee francuska firma Roussel-Uclaf produ-kująca pigułki aborcyjne RU 486, zaniechała ich produkcji. Ponadpaństwowe racje ekonomiczne skopały ogólnoludzką rację moralną. Nie po raz pierwszy i nie ostatni.

Ta decyzja firmy wywołała oburzenie ludzi zdrowo myślących i zrozumiałe zadowolenie cie-mnoty. „Pogwałca ona kobiecą wolność i nie po-zwala kobietom wybierać nowego rozwiązania me-dycznego”. Kiedy to pojawia się pierwsze stopy, na których będzie się, jak w średniowieczu, spła-ła kobiety żywcem? — pytała Francuzki z ru-chu planowania rodziny. Rzecznik Kościoła i ra-dzin katolickich odpowiada: „Mam nadzieję, że decyzję o wycofaniu pigułek podjęto ze względów moralnych, a nie innych, związanych z emocjami i przemocą”. Rząd francuski nakazał firmie wzno-wienie produkcji w „interese zdrowia publicznego i w interesie kobiet”. Amerykański ruch zwolen-ników prawa do życia oświadczył: „Nie przedzie-my nad tym do porządku dziennego”. Rządy Fran-cji, Chin, Holandii, Brazylii, kilku innych krajów są zainteresowane produkcją RU 486. Naukowcy holenderscy wyprodukowali podobne specyfiki o identycznym działaniu... Ciekawa będzie ta walka bieli z czernią...

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



Rys. Sławomir Łuczyński

„ZWIAZEK PISARZÓW...”

„Literaci, publicyści, w ogóle ludzie kształcący i pielęgnujący duszę narodu, są — bardziej od innych żywiołów społecznych — powołani do stawiania jego życia drogowiskami, zapalania światła w ciemności światła i strzeżenia od zła. Pod natężeniem tej myśli i pod wpływem wypadków, wytwarzających trudne położenie, rozstrój i zamęt opinii, grono pisarzy polskich połączyło się w związek polityczny, bezpartyjny pod nazwą „Związek Pisarzy Oria Białego” z siedzibą w Warszawie.

Celem tego związku jest wszczęcie w społeczeństwo słowem i piśmem tej naczelnej zasady, że wszelkie czyny publiczne, wszelkie przedsięwzięcia, wszelkie instytucje, dotyczące ogółu winny być podejmowane i wykonywane z woli całego narodu, że żaden stan, żadna warstwa, żadna partia nie może przywłaszczać sobie prawa rządzenia ogółem, iż zmartwychwstać, odrodzić się, stworzyć swoją historię winien cały naród polski, a nie jakakolwiek jego część. Za „Gazetą Poranną” z 7.1.1919 r. „Świat Młodych” nr 133).

W SETNĄ ROCZNICĘ

Jedną z barwniejszych postaci okresu międzywojennego był bez wątpienia Tadeusz Pruszkowski — wybitny malarz, profesor i pierwszy rektor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, a także muzyk, śpiewak, sportowiec, automobilista, lotnik i... filmowiec.

W 1925 r., jako amator nakręcił film „Szczęśliwy wiośniak” (tł. „Szczęśliwy wiośniak” w „Kulturze”). W tym samym roku, w którym grał studenci profesora i przyjaciele — Teresa Roszkowska, Zofia Katarzyna-Pruszkowska, Janina Konarska-Sionimska, Feliks Topolski, który wraz z innym malarzem — Zygmuntem Jurkowskim uczestniczył przy planowaniu scenariusza — oraz Elias Karanek, jako niedoszły wiośniak (który urwał się ze sznura) i Jan Zamojski.

Jak utrzymuje Stefan Pruszkowski, który na łamach „Filmu” przypomniał postać wybitnego twórcy — oryginał filmu prawie na pewno spłonął w mieszkaniu profesora w czasie powstania warszawskiego. Sam profesor Pruszkowski został aresztowany 1. lipca 1942 r. w Warszawie i w parę godzin później zamordowany przez eskortujących go gestapowców.

W końcu października, w Ka-

zimierz Dolny, w setną rocznicę urodzin Tadeusza Pruszkowskiego odbyła się sesja naukowa poświęcona Jego pamięci, pamięci wielkiego twórcy, artysty i społecznika.

FALSZERZE

Ponad tysiąc osób padło ofiarą czwórki oszustów, którzy w Stanach Zjednoczonych sprzedawali fałszywe litografie Salvadora Dali, zbijając na tym 3 miliony dol. w ciągu dwóch lat. Czwórka oszustów podsyżwała się pod Galerię Barclay, jedną z najbardziej znanych na Madison Avenue na Manhattanie, a systemem działania był niezwykle prosty. Wieczorami dzwonił do swoich potencjalnych ofiar proponując im „złoty interes” (skąd my to znamy?!): sprzedaż litografii tego artysty z załączonym certyfikatem autentyczności, w cenie od 1300 do 6000 tys. dol. Jedynym warunkiem operacji miała być dyskrecja i pośpiech, bowiem jak twierdzili, liczba litografii była ograniczona. W rzeczywistości były to plakaty pokryte farbami przez początkującego malarza. Zdaniem policji, oszuści mieli nadzieję, że Salvador Dali, mający dziś 84 lata i żyjący w odosobnieniu, nie jest w stanie sprawdzić czy wszystkie dzieła podpisane jego nazwiskiem są autentyczne.

PODOBNE KŁOPOTY

Okazuje się, że nie tylko polskie teatry przeżywają kłopoty finansowe. Kłopoty podobnej natury zmusiły dyrekcję Wiedeńskiej Staatsoper do zmniejszenia do sześciu liczby premier zapowiadanych na nowy sezon artystyczny, choć bieżący repertuar tej sceny obejmował będzie 54 opery i 15 baletów. W sezonie 1988/89 w nowych inscenizacjach zaprezentowana zostanie m.in. „Elektra” Ryszarda Straussa. „Uprowadzenie z seraju” Mozarta i „Chowańszczyzna” Musorgskiego. Nawiazana zostanie też bliska współpraca z Volksoper, która pomoże racjonalnie wykorzystać koszty i pracownie rekwizytorskie. Szacuje się, że dzięki temu, w sezonie uda się zaoszczędzić ok. 9 mln marek.

TO JUŻ 35 LAT

Tyle już lat upłynęło od filmowego debiutu pierwszej gwiazdy polskiego kina — Barbary Polomskiej, a od lat 30 wiennej Teatrowi Powszechnemu w Łodzi. Z tej okazji Bohdan Gadowski przeprowadził rozmowę z wybitną aktorką, która po-wiedziała m.in.

Od dawna już przywykliśmy oczekiwać od reżysera jak najbardziej osobistego, a przez to nieraz i nowego „odczytania” utworu scenicznego, może zwłaszcza uświeconego tradycją. Czasem jednak idea i sens utworu wydają się raczej bezsporne.

PREMIERA W „POWSZECHNYM”

Co się komu śni...

Jak właśnie w wystawianym przez Teatr Powszechny „Śnie nocy letniej”. Już prawie trzy dziesięciolecia minęły od czasu Jana Kotła przenikających „Szkiców o Szekspirze” (cytowanych w teatralnym programie) i dziś trudno byłoby tu śmiało i odważnie sztuka o miłość przypisywać znów na modłę wiedeńskiej secesji i dekoracyjną feerię, byłoby to powrotem w utartą koleinę.

Bo przecież, moim zdaniem, jest to rzecz o pote-

dze erotycznej wyobraźni, tej samej, która sprawiła, iż biblijny Jakub spędził najupokorniejszą noc posłubną z podstawioną podstępnie niepokorną siostrą upragnioną Rachel. Przypadek Tytania (a może i każdego zakochanego) jest też takim miłośnym zaszczepieniem, zakochany bowiem — według Heinego — jest jak poeta, gdyż wyobraźnia kreuje przedmiot swej miłości i każdej chwili może nań znów spojrzeć trzeźwym okiem.

Jeśli nawet uznamy to za sedno szekspirowskiego „Śnu” zawsze pozostanie jeszcze ciekawość, jak to będzie przedstawione... Pojawienie się po podniesieniu kurtyn głównych postaci we współczesnym nam kostiumie, wcale tych oczekiwań nie przekreśla, sugeruje bowiem wieczną aktualność tematu, a wypowiedziane kwestie w szacownym, przysięgłymże Koźmianowskim przekładzie, dodatkowo obiecuje, że z takiego zestawienia współczesności z tradycją wyniknąć muszą sprawy ambitne. Raptiem dość nieoczekiwanie dale się słyszeć jakiegoś obcy ton, gdy miłośnicy wysuwają się na pierwszy plan, zaplatając w intrygę obis miode parę, jak i grupa ateistycznych rzemieślników, którzy spობia się do odegrania sztuki o Piramie i Tyzbe. Jedni i drudzy przez raptownie uśpoczenie

tekst przekładu, polegający na wprowadzeniu po części młodzieżowego, po części ulicznego słownictwa przy zastosowaniu też innej konwencji gry sceniczej, stają się jakby ludźmi z innej sztuki, co dotyczy też operetkowo-rewiowego świata leśnych duchów.

Jeśli pojawia się jakiś dystans umowności do zastosowanych sposobów, to przybiera postać parodystyczno-pastiszowa w stosunku do tradycyjnych interpretacji tej sztuki. W gonitwach i obłapiankach ułatnia się gdzieś za miłosnych namietności i uderk, pozostaje ucieleśniona komedia na zasadzie qui pro quo.

Rozumiem, że może ktoś nie lubi tej sztuki i nie znajduje w niej pola do refleksji nad relatywizmem miłosnych oczarowań, których współwzrostem bywało urok przyrody. Uznaję również, że nie trzeba na kłęczkach podchodzić do Szekspira czy kogokolwiek, a przy tym kasa nie jest dziś sorawą obojętną.

Ze znacznym powodzeniem mieści się w tych ramach jako Puk ROBERT ROZMUS. Dzisiejsza „fajna dziewczyna” bardzo sprawnie aktorsko i z sympatycznym komizmem wykreowała BARBARA SZCZESŃIAK (Hermia), dowcipnie zonglowała środ-

kami aktorskimi w roli Lizandra MIROSLAW SIEDLER, doświadczenie i instynkt aktorski pozwoliły TADEUSZOWI SABARZE uratować co nieco z szekspirowskiego Spodka, (tutaj Tytka)... Scenografia renomowanej plastyczki, zbyt chyba uległa wobec ogólnej koncepcji i podobnie podporządkowana scenografii nie zdołała umniejszyć czy stonować skali zbytich moim zdaniem odstępstw od szekspirowskiego „ducha”. Za to bardzo pięknie i suwerennie wkroczyła muzyka Czesława Niemena — to tajemniczo i niepokojąco, to sztywno i lirycznie.

No cóż. Odczytywać klasykę można różnie, wedle tego, co się komu śni i marzy...

JERZY KWIECIŃSKI

WILLIAM SHAKESPEARE: „Sen nocy letniej”. Przekład i adaptacja KRZYSZTOF BERNIŃSKI, muzyka — CZESŁAW NIEMEN, inscenizacja i reżyseria — CZESŁAW BARGIEŁOWSKI, scenografia — IWONA ZABOROWSKA, choreografia — JANINA NIESOBSKA. Premiera prasowa 12 listopada 1988 r.

Propozycje

Oto kilkanaście propozycji obejmujących najważniejsze i najciekawsze wydarzenia kulturalne, przygotowane przez popularne placówki państwowe i zakładowe. Jako, że Łódź mieni się stolicą filmu, więc na początek oferta Zakładowego Ośrodka Kultury „Prexer” (filii DDK „Śródmieście”). Do końca listopada trwają tu przeglądy: wiorowe — tradycyjnego i ambitnego science fiction z obrazami m.in. S. Kubickiego (godz. 17); irdowe — mistrzów kina światowego, z których warto wymienić A. Kurosawę (godz. 19); kina kontestującego, awangardowego, „młodych gniewnych” — w czwartki o godz. 18 — z nazwiskami R. Rosselino, J. L. Godarda, P. P. Pasoliniego, U. Gregorietiego. Listopadowa lista przebojów samki dzieła P. Morrisseya. Pozytyce te można obejrzeć na kopcach, wyposażonych z ambasady. Słowo wstępne przygotowują: dr R. Kluszczyński, A. Wichłński, W. Baranowski i W. Fedzin.

W drugiej połowie listopada rozpoczyna działalność czwarta z kolei filia ZDK „Poltex”. Patronat nad nowo powstałym Klubem Młodzieżowym przy ul. Ogrodowej przejął ZSMP. W programie widowiskowe teledyski z najnowszych list przebojów. Planowane są wystawy malarskie zakładowych artystów-amatorów. ZDK zapowiada dalsze pokazy widowisk „Obrazki łódzkie, czyli zabawa w re na fest”, którymi zainicjowano obchody 135-lecia „Marchlewskiego”. Piosenki królujące ongiś na łódzkich podwórkach przypominają fabryczną kapelę „Włókniana bracia” wespół z aktorami Teatru Powszechnego.

ŁDK zaprasza 25.XI o godz. 17 na Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. Natomiast do 8 do 11.XII będą mogli wykonać amatorsko-solista i zespoły kulturowe folklor, m.in. Meksyku, Wenezueli, Argentyny i Brazylii. W jury zasiadają przedstawiciele ambasad tych krajów. Dla zwycięzców II Łódzkiego Spotkań z Muzyką Latinoamerykańską „Fiesta” organizatorzy przewidzieli nagrody wartości 200 tys. zł. Natomiast w dniach od 16 do 18.XII odbędzie się II edycja Łódzkiego Przeglądu Teatrów Amatorskich „Łódź 88”, w czasie którego zobaczymy m.in. premierowe przedstawienie Studia Teatralnego „Ślup”, pantomimę z „Eskimo”, kabaret szkolny z „Kopra” i Teatru Poezji Spółdzielczego Domu Kultury w Pabianicach. Spektakle zostaną połączone z warsztatami z udziałem dyr. Teatru Nowego Jerzego Hutka, Zdzisława Hejduka, dyr. Teatru 77, krytyka Krzysztofa Sielickiego z redakcji „Teatru” i Lecha Siłwonia, prezesa ZG Towarzystwa Kultury Teatralnej.

Pałac Młodzieży im. J. Tuwima w grudniu będzie miejscem wojewódzkiego finału Ogólnopolskiego Konkursu Plastycznego „Koroneczka”. Zostaną ocenione nadesłane przez dzieci i młodzież grafiki, rysunki na szkło, stroje ludowe dla lalek, pajaki i makramy inspirowane sztuką ludową. Jak co roku przed świętami, na tradycyjny „choinkę” z przedstawieniem teatralnym, prezentami i poczęstunkiem zostanie zaproszonych 400 dzieci wiejskich i specjalnej troski. Impreza jest organizowana przy pomocy kuratorium. Komitetu Dziecka i TPD. Oprócz zabawek przekazywanych przez przemysł zabawkarski i rzemiosło organizatorzy liczą na przyłączenie się do akcji osób prywatnych, które mogą składać prezenty w Banku Darów Pałacu Młodzieży.

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

Weszmam w filmowy świat, poznałam znakomitych reżyserów: Wandę Jakubowską, Jerzego Kawalerowicza, Andrzeja Munka, Jana Rybkowskiego. Czuliśmy się przed kamerą coraz pewniej. Traktowałam te prace jak wielką przygodę... Na pytanie, który z filmów poprosił aktorów najwięcej przypałości? Barbara Polomska odpowiedziała: „Na pewno Sawa w „Warszawskiej Syrenie”. Zosia w „Eroice” i bohaterka polsko-czechosłowackiego filmu „Zadzwonić do mojej żony”. Ta rola uczyniła mnie aktorką bardzo popularną w Czechosłowacji, może bardziej niż w kraju... Byliśmy na festiwalu w Mar Del Plata. Do dziś zachowałam wiele zdjęć, reportaży i wspomnień z tej podróży. „Eroica” otrzymała nagrodę, a delegacja polska odniosła osobisty sukces... Komplementów mi nie szczędzono. Argentynczyści mają ogromny temperament i w specyficzny sposób wyrażają swoje uczucia. Na premierę filmu wchodziliśmy boczny wejściem, pod eskortą policji. Ale i tak podarł mój szal z koronki na drobne strzępy. Na pamiętkę...”

O swojej pracy, życiu, wyborze Teatru Powszechnego w Łodzi, aktorka mówi: „Zdecydowałam o tym moje życie osobiste, ale nie żałuję, gdyż spotkało mnie wiele dobrego ze strony

łódzkiej publiczności... Zagrałam w teatrze kilkadziesiąt bardzo różnych ról, od Elizy w „Pigmalionie” i Elizy w „My Fair Lady” poprzez cały rejestr postaci komediowych w sztukach Zapolskiej, Lope de Vegi, Baluckiego, Fredry — aż po Grochowiaka, Gombrowicza, Wyspiańskiego... Z ekranu zostałam wyparta przez młodsze aktorki. Zagrałam kilka epizodycznych ról, jednak żadna nie zasługiwa na uwagę. Przypadam się, że bardzo chętnie zagrałabym w filmie rolę kobiety dojrzalej. Kino jednak zapomniało o mnie. Na szczęście pozostał mi teatr i mogę żyć nie tylko przeszłością, lecz również teraźniejszością...”

DZIEKI PIERIESTROJCE

— Tak, gdyby nie było Gorbaczowa, nie byłoby mnie wśród was. Jeśli chodzi o „Blaganie” — weszło ono na ekrany, ale w bardzo wąskim zasięgu — miała ilość kopii wyświetlanych raczej na peryferiach. Film znali moi koledzy, ale nie widzowie. Teraz, po „Pokuć”, ponownie wszedł na ekrany, wzbudzając szeroka dyskusję. Zawinił biurokraci, o takiej właśnie działalności urzędników będę robić następny film.

„Pokuć” zacząłem realizować

w 1981 r., ukończyłem w 1984. Gotowy film przez dwa lata leżał na półce. Wszedł na ekrany dzięki zachodzącym u nas przemianom społecznym, dzięki pieriestrojce i głośności. Ale czy można z tego powodu mówić, że jako artysta nie istniałem do 1985 r.? Nie, byłoby to niesprawiedliwe i niepełne. Mój pierwszy film, „Osiołek Magdany”, zrealizowany przy udziale Reza Orzechidze, opowiadał o tym samym. O wolności jednostki. O władzy i człowieku. Tyle że na przykładzie chłopca i osiołka.

Pamiętam, jak wiałe chłodno przyleżył mój następny film — „Cudze dzieci”. Obwołano mnie „abstrakcyjnym humanistą”, a ja przecież tylko kontynuowałem swoje dzieło.

Tyrania nie jest — według mnie — przypisaną jedynie prominentom. Tyranem może być i mąż (zapytajcie kobiet) i kupiec. Także reżyser. Zło — jak i dobro — jest kategorią ponadnarodową... Andriej Bieliy powiedział: są ludzie stworzeni na podobieństwo Boga i na podobieństwo bydła, ale to rozróżnienie nie dotyczy narodów, tylko ludzi... (Tengiz Abuladze na spotkaniu z członkami klubu filmowego w Stambule, gdzie tuż po cenzurze nie pozwoliła wyświetlać „Blagania” — za tyg. „Film” nr 46).

Myśli

MONTESQUIEU

● Mówili: „To osobliwe, by cała filozofia sprowadzała się do tych trzech słów: Mam to w d...”

● Nie zawsze tylko przyroda i rozum rządzą ludźmi. Również czysty przypadek: okoliczności na pozór bez znaczenia oddziałują na nich z taką siłą i trwałością, że mogą wycisnąć piętno na całej naturze człowieka.

● Jesteśmy tak ślepi, że nie wiemy, kiedy się martwić, a kiedy cieszyć, oddajemy się prawie zawsze fałszywym radościom i smutom.

● ... z rozpustą jest jak z chciwością: gromadzenie skarbów pomnaża ich żądzę.

● Człowiek wyrzeka się swoich błędów najpóźniej jak może.

● W kraju, gdzie miłość stanowi najważniejszą sprawę, zazdrość jest największą namiętnością.

Wywoływanie wrażeń i treści

Rozmowa z malarką IZABELĄ MARIĄ TRELIŃSKĄ.

na wielu wystawach w kraju i za granicą.

— Czy mogłaby pani scharakteryzować swoje prace wystawione w Galerii POSK w Londynie? Czy wystawa miała swoją oficjalną nazwę?

— Wystawa moich prac w The POSK Gallery poświęcona była Czarnej Madonnie i miała tytuł „Madonna, panny, lalki” a w ogłoszeniu prasowym o wystawie dodałam kwiaty, bo kwiatów jednak było dużo. Madonny są dla mnie obrazami trudnymi do malowania, ale trudne tematy zawsze mnie pociągają. Temat madonny wymaga ogromnej koncentracji uwagi i pokory jednocześnie. Z chwila kiedy siadam do malowania madonny mam niesłychaną treść. Odwaga jest tworzą — strach paraliżuje. Madonny oczyszczają i uspokajają moją naturę.

— Czy lalki też powstają w takim napięciu i koncentracji twórczej?

— Najmocniejszym moim cyklem były lalki i tych lalek nie byłam pewna na Zachodzie. Są one bardzo swoiste i moje, ekspresyjne i pełne naboja dramatyzmu. Pokazuje w nich teatr ludzkich nocy, ludzkich zachowań, ludzkich twarzy i masek. Są one kolorowe i żywiołowe, ale jednocześnie smutne.

— Akwarela pani jest uderzeniem barw o skąpych rysunkach, wręcz zestawieniem płam o minimalizowanej kresce, walej linii, ale za to wybuch kolorami.

— Jestem osobą czującą kolor.

Wydział Sztuk Pięknych, który dał mi dwa zawody: artystyczny i pedagogiczny. Pracę magisterską zisałam na temat hapocingu Zaczęłam uprawiać akcje plastyczne, które są dla mnie budowaniem, konstruowaniem w przestrzeni. Stwarzałam różne sytuacje, w których widzi mógł włączyć się do owych zdarzeń i coś od siebie dodać coś zmienić. Próbuje rozwiązać w uczestnikach skłonność do refleksji, uaktywnić wyobraźnię i inwencje młodego człowieka Dlatego sięgałam w moich happeningsach po teksty Platona, E. Fromma, W. Gombrowicza, W. Taterkiewicza, czy G. Camilla.

— Akwarela i happening — połączenie jedna osobowości tak różnych form artystycznej wypowiedzi wydaje się być unikalnym zjawiskiem. W czym kryje się tajemnica tego mariażu?

— Interesuje mnie jedna chwila, autentyczna sytuacja, bo człowiek zmienia się w każdym momencie. W akwarceli spełniam całe indywidualne, wypowiadam się poprzez ekspresję. W akcjach plastycznych spełniam cele społeczne — dla budowania wspólnoty.

— Zorganizowanie wystawy jest przedsięwzięciem skomplikowanym

organizacyjnie, wymagającym czasu, pieniędzy, umiejętności i zaangażowania. Kto i jak pomógł pani?

— Wystawa była pomysłem pana mgr Jerzego Wyszczawca, mieszkającego stale w Londynie. Inspirowała stali się dwa moje obrazy, które na tyle spodobały mu się, że postanowił zorganizować wystawę

jednej strony nie jest to sympatyczne, z drugiej jest to konfrontacja, która odpowiada mi nawet jeśli jest krytyczna, bo wyciągać muszę wnioski w jaki sposób pracować dalej. Powiedziałam mi, że jest to jedna z ciekawszych wystaw zorganizowanych w Galerii POSK. Rzeczywiście było duże zainteresowanie. Uważam, że mogę mieć pełną satysfakcję.

— Z każdą wystawą związane są zdarzenia niezwykłe, ciekawe lub kłopotliwe. Czy i tym razem potwierdziła się ta reguła?

— Tak, któregoś dnia podszedł do mnie starszy pan, który powiedział, że w obrazie „Teatr lalek” namalowałam wspaniały portret jego znajomej. Ow pan, major J. Sochacki stwierdził, że oczy, nos, usta, szyja, fryzura, gest — wszystko to należy do pani Ireny Delmar, znanej w środowisku polskim osobistości, aktorki, prezesa Związku Artystów Scen Polskich w Londynie. Sama zainteresowana potwierdziła, że autentycznie jest to jej portret. Nigdy przedtem nie brałam w Londynie i nie widziałam pani I. Delmar. Namalowałam te postacie wernie, na odległość, korzystając z impulsów płynących z podświadomości. Ostatecznie obraz ten przeszedł w posiadanie Teatru Polskiego przy Exhibition Rd. Czy to wszystko nie jest niezwykłe?

— Gratuluję sukcesu i dziękuję za rozmowę.

WIKTOR ARAMOWICZ

Kronika

W DNIACH 7-9 grudnia br. odbędzie się w Katowicach II Kongres Kultury Języka Polskiego, organizowany przez Radę Krajową PRON, Polską Akademię Nauk, Narodową Radę Kultury i Uniwersytet Śląski. Będzie on wydarzeniem o dużej randze w życiu kulturalnym naszego kraju.

O najważniejszych założeniach społecznego programu upowszechniania kultury języka ojczystego — w przedmówieniu obrad Kongresu — poinformowano uczestników na konferencji prasowej, która odbyła się 17 bm. w siedzibie Rady Krajowej PRON w Warszawie.

Konferencję prowadził wicemarszałek Sejmu PRL przewodniczący Komisji Kultury RK PRON — prof. dr Jerzy Ożdowski.

Do omawianych na konferencji zagadnień powrócimy w naszym publikacjach.

Z OKAZJĄ 70-LECIA ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI, w Zespole Szkół Chemicznych im. Aleksandra Zawadzkiego w Łodzi odbyła się 11 bm. uroczysta sesja popularyzatorska nt. „Niepodległość Ojczyzny w literaturze polskiej w świetle historii”.

NA NARADZIE PARTYNJEGO AKTYWU KULTURALNEGO prof. dr Marian Orzechowski — członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — w swoim wystąpieniu powiedział m.in.: „Trzeba wyzwać się leków i obaw, że książki „nieprawyśniane” są w stanie nam zagrozić. Naprawdę nie jesteśmy aż tacy słabi. Partia, władza i jej przedstawiciele mogą być przedmiotem ocen krytycznych w literaturze, gdyż są nim w życiu. Trzeba skończyć z szablonością i monotonią”.

MAREK KOTERSKI, utalentowany reżyser z grona młodej generacji filmowców, tworca ambientnego „cyfry wewnętrznej”, kończy realizację komedii erotycznej pt. „Porno”.

W każdym przypadku — sukces ma ona już z góry zapewniony!

35-LETNIA POLKA TERESA ORLOWSKA, od 7 lat przebywająca w RFN (dawna mieszkanka Debicy) jest właścicielką osiadającą największe zyski w tym kraju wywozi reżyserując na kasetach magnetowidowych obrazy porno.

Roczny dochód prowadzonej przez nią firmy wynosi ok. 15 mln marek.

KOMITET OBCHODÓW 200-LECIA WIELKIEJ REWOLUCJI FRANCUSKIEJ zaprosił projekt zrekonstruowania, z imitującą sztukęnową twórczą, starej Bastyli. Stanelaby ona na placu Bastilii — dokładnie w tym samym miejscu, co historyczna budowla.

JOZEF HEN ukończył sztukę teatralną pt. „Justyni Justyni”. Jej akcja dzieje się w latach 1956-1970. Jak powiedział począwszy pisarz w jednym z wywiadów — „jest to rzecz bardzo współczesna. Podczas tych czterdziestu lat wiele się wydarzyło. Mam wrażenie, że jest to temat, ekscytujący”.

Wystawieniem utworu zainteresowanych jest Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie.

TEGOROCZNA NAGRODA POETYCKA IM. KAZIMIERZA ILLAKIEWICZOWY — za najlepszy debiut książkowy — otrzymał Janusz Drzewicki z Torunia za tomik wierszy „Ulica Reformacka” (Wydawnictwo Literackie).

W INSTYTUCIE POLSKIM W PARYŻU zorganizowano imprezę pod nazwą „Dni Witolda Gombrowicza”.

PRZEGLĄD FILMOWY ANDRZEJA WAJDY odbył się w Moskwie. Zaprezentowano publiczności 15 filmów twórcy „Popiołu i diamentu”.

Z tej okazji odbyły się liczne spotkania, goszczącego w stolicy ZSRR artysty z moskwanami.

MIEDZYNARODOWE SEMINARIUM NA TEMAT OBECNYCH TENDENCJI W SZTUCE ŚWIATOWEJ rozpoczęło się 21 bm. w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej.

Imprezie towarzyszą wystawy malarstwa, grafiki, rzeźby, książki artystycznej oraz pokazy filmów wideo.

PRYZNAWANA PRZEZ MIESIĘCZNIK „TEATR” doroczna nagroda im. Aleksandra Zelwerowicza przypadła Krystynie Jandzie i Igorowi Przegródkiemu.

POD HASŁEM „LITERATURA A EMIGRACJA” — odbyło się w Belgradzie międzynarodowe spotkanie literatów.

Omawiano na nim m.in. twórczość laureata Literackiej Nagrody Nobla — Czesława Miłosza.

LESŁAW BARTELSKI złożył w Wydawnictwie Literackim w Krakowie maszynopis drugiej części „Pielni Niepodległości” (książki uznanej za dzieło przez czytelników i krytykę za jedną z najbardziej znaczących w dorobku tego pisarza).

Jeśli tylko moce (poligraficzne) dopiszą — to powinna ukazać się ona w roku 1990.

W RAMACH OBCHODÓW 70-LECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI PRZEZ POLSKĘ, w Szkole Podstawowej Nr 33 im. Stefana Kopcińskiego w Łodzi, zorganizowana została wystawa „Orzeł w ekslibrisie” (z kolekcji Mirosława Zbigniewa Wojałskiego).

W MIEJSKIEJ BIBLIOTECIE PUBLICZNEJ IM. LUDWIKA WARYŃSKIEGO, sesja naukowa poświęcona 70. rocznicy odzyskania niepodległości, zainaugurowana została 21 XI br. w województwie łódzkim XXII Dekada Książki Społeczno-Politycznej „Człowiek-Swiat-Polityka”.

Podczas sesji doc. dr Z. Michalski mówił o drogach do niepodległości, dr K. Rzymowski — o literaturze wobec Polski. Odrodzenia i Kępa — o bibliotekach w pierwszych latach niepodległości.

Sesji towarzyszyła wystawa pn. „Polska Odrodzenia”.

MUZEUM MIASTA PABIANIC przygotowało bogaty program imprez dla uczczenia 70. rocznicy odzyskania niepodległości.

W salach wystawowych czynna jest bardzo ciekawa ekspozycja, prezentująca udział pabianian w walce o niepodległość Polskę. Zorganizowano również wieczór literacko-muzyczny poświęcony

złoty — pn. „Bóg ci zapłać za Ojczyznę”. Odbyło się też interesujące spotkanie dyskusyjne, z udziałem doc. dr hab. Jerzego Holzera i dr hab. Andrzeja Friszke, nt. koncepcji niepodległości Polski.

Opracował: JAK

Na szczęśliwej wyspie komunizmu

WŁODZIMIERZ TIENDRIAKOW

Słepa Temida zakpiła w sposób zaiste wyrafowany, powierając Chruszczowowi rozprawienie się ze Stalinem. Sędzią kasa stał się człowiek, którego Stalin uważał za blazna.

Stalina widziałem zaledwie raz w życiu — 7 listopada 1945 r., przechodząc pośród niezliczonego tłumu na Placu Czerwonym obok Mauzoleum. Pamiętam, że zaskoczył mnie jego niewielki wzrost — stał wciśnięty w trybunę po samą czapkę z twardym otokiem — i zwiędły gest niedołężnej starczej ręki, który obudził wulkaniczny ryk ogólnopolskiego zachwytu placu. Ja, rzecz jasna, nie mniej ogłupiały, wrzeszczałem razem ze wszystkimi...

Chruszczowa zaś widziałem i słyszałem wiele razy, z daleka, a także dostatecznie blisko, chociaż osobiście nie rozmawiałem z nim i uścisnąć jego dłoń, niestety, nie było mi dane.

Jedno spotkanie warto jest doprawdy tego, by o nim opowiedzieć. Miałem wówczas zaszczyt spędzić dzień w komunizmie. Tak tak, w tym natrętnie obciążonym, krzykliwie wysławianym komunizmie, do którego nikt ze zdrowo myślących obywateli naszego kraju już od dawien dawna dostać się nie spodziewa.

1.

15 lipca 1960 roku. Zatelefonowano z zarządu Związku Pisarzy:

— Proszę wstąpić jutro w ciągu dnia. Ważna sprawa.

Ponieważ Związek Pisarzy, trzeba oddać mu sprawiedliwość, nie obciążał mnie zbyt ważnymi, posłuszenie polecał na ulicę Worowskiego. Wręczono mi kopertę z oświadczeniem, że wyrażam zgodę na glosowanie w sprawie, której nie chciałem podpisać. W kopercie znajdowały się dwa listy: jeden do zarządu Związku, drugi do...
W zarządzeniu figurowało, że towarzysze Tenkow W. F. z małżonką przesyłają do przybycia na spotkanie kierownictwa partii i rządu z działaczkami nauki i kultury, którego początek przewidziany jest na godzinę 9 rano. Na odwrocie umieszczono schemat trasy: z sąsiedztwa Kaszyrskiego na sto dwudziestym kilometrze skręcić w stronę sowchozu Siemionowskiego.

— Zarezerwować wam miejsce w samochodzie? — zapytano.

Chciałem pozostać niezależny.

— Mam swój samochód.

Jeździłem „Moskwicem”, który wiele już przeżył, mój mój więcej dwa razy do roku — pod wpływem szczególnego natchnienia, bądź przy wyjątkowej okazji, w rodzaju przejazdu technicznego. Spotkanie z kierownictwem rządu to również zdarzenie z gatunku niecodziennych. Dałem sobie słowo umyć go i tym razem.

Ale słowa nie dotrzymałem: poprzedniego dnia wróciłem w nocy, a rano podniosłem się, kiedy strzałki zegara minęły ósmą. Gdzie tu myśleć o myciu samochodu, skoro trzeba pędzić na spotkanie karku, by — jeśli nawet wypadnie się spóźnić — pozostać w granicach przyzwoitości.

Wbiłem się w jedyny jasny garnitur, razem z żoną pośpiesznie umiściliśmy się w nieumyłym „Moskwicu” i puściliśmy się przez Moskwę, ku szosie Kaszyrskiej.

Co nagle — to po diable jak się pośpieszysz — ludzi rozmieszcza. Pozostaje w stałym niezgodzie z tymi, jak też innymi, równie mądrymi przestrogi i dlatego przy wyjeździe poza rogatkę strażniczą siedział mi opona. Zrzuciłem więc swoją jasną, skuteczną, gorącą, nieczystą, chłodną sukmanę i, kładąc ołowisty samochód, rządową pobulankę siebie samego i niczemu nie winną żonę, wziętem się w słonecznym skwarze za zmianę ubłoconego koła. A obok płynęły po szosie, śliskim nienagannym polerunkiem, czarne „Zity” i monumentalne „Czajki” — jeszcze nie opatrzone nowinkami tych lat — spieszne, rzecz jasna, tam, dokąd im było pilno.

Wreszcie koło tkwi na swoim miejscu, bieżnik zamknięty, ręce w pośpiechu wytarte w sierce — ruszamy! Wyciskałem z mojego nieumytego wszystkiego, co mógł z siebie dać, nie narzucając uważnie przyglądałem się znakom drogowym, wyskakiwałem na lewą stronę, trzymając w pogotowiu zaproszenie na glosowanie papiere. Jeżeli milicja mnie zatrzymała...

ma od razu wsunąć pod nos rozbrajający dokument: patrzcie, nie do teściowej w gościnę spieszę, nie należy mnie ganić, lecz chwalić za gorliwość. Szosa była obstawiona przez milicję, niemalże co kilometr stały stanowiska, ale widocznie jawna arogancja, z jaką naruszałem przepisy, pozwalała im domyślać się posiadania trzymanego w pogotowiu glosowanego papierka, dlatego też odprowadzały mnie jedynie karcące spojrzenia. Dopiero wówczas, kiedy wykonałem coś całkiem niedopuszczalnego — przed szlabanem kolejowym ominąłem lewą stroną czarne limuzyny i beceremonialnie stanąłem bok w bok z „Czajką” — podszedł do mnie przedstawiciel milicji z pagonami podpułkownika i pełnym smutku karcącym spojrzeniem. Nie poprosił nawet o prawo jazdy, nawet nie zapytał, dokąd tak pędzę, nawet glosowany bilecik, niestety, nie zdał się na nic. Podpułkownik powiedział jedynie z wyrzutem:

— Tak nie wolno. Może pan spowodować kolizję. Niedobrze.

I uzyskał odpowiedź w lepszej części mojej duszy, zmuszając mnie do szczerzego wstydu. Nadszedł gwałtowny nieumytego, ale starałem się poskromić zuchwałość. Nieoczekiwanie stwierdziłem, że szosa wokół mnie jest pustą, a z przodu telepie się jedynie rozklekotana ciężarówka. Ani czarnych limuzyn, ani też dumnych „Czajek” ze złocymi ogonami. Zrozumiałem, że w nadgorliwości miałem chroniony zakazem zakręt, wskazany na odwrotnej stronie zaproszenia. Musiałem zawrócić... Na poboczu — standardowa cegła, wzbraniająca wjazd bez zezwolenia, nitka asfaltu, biegnąca poprzez pole ku rozróżnionej iglastej kępie. Nasz „Moskwicz” znalazł się w kolejce samochodów, oczekujących przed czteremsetnym nieprzeniknionym płotem, wymalowanym standardową wojskową zielenią.

Zuchowaci żołnierze z błędnymi otokami i naszywkami przyjęli uśmiechem pojawienie się po śliskich „Zitach” i „Czajkach” mojego nieumytego. Przez opuszczoną szybę uścisnąłem bystrą uwagę na stronie:

— Patrz, przywaciarz przyjechał!

Okazałem przygotowane zaproszenie, w odpowiedzi zasłutowano z przesadną uprzejmością. Wjechałem pod osłonę sosnowego lasu, rozglądając się ze zdziwieniem w poszukiwaniu miejsca, w którym można by przycupnąć. Wziątka asfaltowa ścieżka na szerokość jednego samochodu przywiodła do asfaltowego skrawka. W naszym kierunku ruszył młody człowiek.

Wysoki, barczysty, o płynnych ruchach nie szedł, lecz

sunał po ziemi. Ciemny garnitur, przylegający do szerokiej piersi i wąskiej talii tylko na zgięciach łokci skupiał się w niewielkie, prawie melodyjne fałdki. Głowa jeszcze bardziej kędzierzawa niż u Puszkina i Wasilija Zacharczenki, twarz o prawidłowych rysach, naznaczona męstwem, zdolna wyrażać jedynie szczerą zyczliwość. Swą silną dłoń w odpowiedzi na zaniechanie rękawie z wysuwającym się oślepiającym paskiem mankietu położył bez drgania na klamce dawno nie mytych drzwi, otworzył je z rozmachem i zagrział w kierunku mojej żony:

— Dzień dobry. Serdecznie witamy. Proszyma.

I żona, zmieszana jego rycerskością, usłużną dwornością, wydołała się z nieumytego „Moskwicza” na święty asfalt. Witający silnie trzasnął drzwiami i niedbale machnął ręką w moją stronę:

— A ty jedź! Jedź dalej!

No i masz sobie!...

Nawiasem mówiąc, moja osoba zawsze nie wiedzieć czemu, wywołuje niedowierzanie wśród odzwierciadlonych i kelników. Odzwierciadla się nie wpuścić mnie za próg, kelnierzy zaś z góry uprzedzają, że piwo w ich lokalu kosztuje drożej niż w kiosku naprzeciw.

Jednakże nieporozumienie od razu zostało wyjaśnione, witał się rozróżniał się w poczuć winy, niemniej kategorięcznie polecił jechać dalej. Żona, dopiero co stąpająca po ziemi obiecanej, znów wsiadła do samochodu i ruszyliśmy wąską drożką w głąb lasu.

Las skończył się nieoczekiwanie. Wyjechaliśmy poza bramę, mijając wojskowych z niebieskimi naszywkami i znaleźliśmy się w polu pod oslepiającą niebieskim niebem, w okrutnym skwarze. Po obydwu stronach drogi, na poboczach, gęsto stały samochody. Zrozumiałem, że przekroczyłem granicę, za którą panuje duch gościnności i zyczliwości i ponownie dostałem się w miejsce, podległe wilczym prawom, gdzie trzeba szarpać, nie tracąc okazji.

„Zity” i „Czajki”, „Czajki” i „Zity” polyskujące czarnym lakierem, umytymi szybami pływające wypolerowanym nikiem. Obok każdego samochodu rozwał się na słońcu szofer. Wszyscy oni, jak i ich samochody, wyglądały jednakowo — standardowo tłusci, czerwoni od gorąca, leśni. Nawet z dala od nich czułem pogardę, z jaką patrzyli na dziwnego typu, który przeniknął do tego ośniewającego towarzystwa na zjeżdżonym i do nieprzyzwoitości niechlujnym „moskwiczku”.

Przybyły ich dostojną pogardą, wciąż jechałem i jechałem, spoglądając w rozróżnieniu i bez jakiegokolwiek nadziei, czy nie otworzy się w śliskich rzędach szczelina, w którą

mógłbym się wcisnąć. Ale nie, nie otworzyła się. Przejechałem już dobry kilometr, osiągnąwszy koniec zwartych samochodowych szeregów, ale czyste pole nie odkryło się przede mną. Wtedy zawróciłem i postawiłem mojego nieumytego w miejscu, na które zasługiwałem — na głębokich tyłach wspólnego obozowiska.

Zamknąłem samochód i wymieniłem z żoną spojrzenia:

— Idziemy?

— Idziemy.

I posłaliśmy paleni przez słońce, mijając powtórnie blyszczące szeregi, odprowadzając wzgardliwymi spojrzeniami wielmożnych szoferów. Słońce, piekące w wściekłą siłą, spojrzenia, jasny garnitur, w którym można by i zimą spacerować bez palta, rozpały mnie z każdym krokiem coraz bardziej. Najpierw po cichu, później coraz głośniejsze, kłapałem, kłnął wszystko na świecie — jasny dzień, bezchmurne niebo, sytych żołdaków na poboczu, pomysł spotkania w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. Pot ściekał po plecach pod jasną marynarką i chciało się pić...

Droga przed nami przecinała niewielki parów, a za mostem o lekkich poręczach majaczyła już brama w zielonym płocie i żołnierze, stojący obok niej. Jeszcze trochę... Ależ chce się pić!

Zupełnie nieoczekiwanie, wprost spod mostku wyskoczył nieczym wańka-wstańka człowiek w słomkowym kapeluszu. Niedowierząco zastygł w postawie zasadniczej i spytał tenorikiem:

— Państwo dokąd?

— Jak to — dokąd? — zdziwilem się. — Tutaj! — kiwnąłem na bramę.

Wyjaśnienie niezbyt wyczerpujące, ale na więcej nie było mnie już stać. Jednakże...

— Proszę! — słomkowy kapelusz w stanie gotowości skrył się pod most.

Do bramy pozostało mniej więcej piętnaście kroków. Kiedy nagle odczułem chłód pod swoją narznaną marynarką.

— Słuchaj, a zaproszenie?

Zaproszenie zostało w samochodzie przy wywietrzniku. Wojskowi zasłutowali, wysłuchali mnie ze współczuciem i poruszyli oficerskimi pagonami:

— Nie możemy.

— Zrozumcie, że tylko idiota będzie pchał się tutaj bez zaproszenia. Mam je — wierzęcie mi. Jeśli przyjdzie nam tu paść tam i z powrotem w tym skwarze — zdechniemy.

— Wierzymy. Współczujemy, ale nie możemy.

Widziałem, że mi wierzą i doskonale ich rozumiałem — wpuścić mnie, dopóki nie zamacham przed nimi świstkiem na glosowanym papierze, oznaczającym popełnienie przestępstwa najcięższe z możliwych, oznacza potwierdzenie bezużyteczności i bezsensowności swojego i-

stnienia. Stałem więc przed mundurowymi żałośnie zagniony, spocony, zamęczony i rozważałem, czy nie płunąć na cały ten pomysł, nie uskutecznić rajdu pod palącym słońcem i nie skierować swojego nieumytego nosem prosto do domu... Trzeba przyznać, mundurowi byli równi chłopcy, współczuli.

Wtem jeden z nich spojrział w bok, machnął ręką i zawołał wadozo:

— Podejdz tutaj!

Stanęła przed nami stara „Pobieda”, chyba jeszcze dziesięć lat młodsza w tym miejscu niż mój „Moskwicz”, także dawno nie myta, pokryta kurzem. Za kierownicą siedział ponuro wielkonosy człowiek o jawnie żydowskim wyglądzie.

— Zabierzesz tych towarzyszy, podwieziesz do samochodu i przywieziesz z powrotem. Jasne?!

— Kardan mi nawala...

— Powiedziałem: zawieziesz towarzyszy tam i z powrotem! Jasne?!

— Wsiadajcie, proszę.

Przepełnieni wdzięcznością wsiadliśmy do dusznej, zakurzonej, cuchnącej czymś kwadry „Pobiedy”. Ledwo ruszyliśmy z miejsca nosaty zaczął się gderliwie skarżyć:

— Kardan mi nawala... Na jednej zawieszce jeżdżę... Do garażu się nie dowlokę...

Słuchaliśmy, milcząc w poczuciu winy, ale jednak jechał, obok ustawionych w szeregi parady samochodów, obok leniwie spoczywających szoferów. Zaproszenie społało z wywietrznika i, zanim je podniosłem „Pobieda” z nosatym kierowcą znikła bez śladu.

I znów my, spaleni przez słońce, a obok, obok... Ależ chce się pić! Zaproszeniem próbuję chronić narzany czerep. Nie kłnę już nikogo, nie awanturowuję się, kłpię wewnątrz i obawiam się wybuchu. W końcu płącące się nośi donoszą nas do mostku z poręczami — teraz już blisko!

Spod mostku rzeźwiutko wyskakuje człowiek w słomkowym kapeluszu — taki mądry Konik Płowy, na życzenie gotowy!

— Państwo dokąd?

— Szlag mnie trafił!

— No co, nie widzisz? Drugi raz już przechodzimy! I za co ci pieniądze płacą?!

Ramiona Konika Płowego opadły, opuścił ręce, pomarszczona twarz wydłużyla się z niepokojem.

— Ale dlaczego się obrażacie? — wyspiewał cienkim tenorkiem z żalosną bezbronnością: — Przecież ja jestem w pracy.

I dał nura pod most.

Po raz drugi dzisiaj poczułem wyrzuty sumienia: no, bo, czy on jest w rzeczy samej winien, że musi zarabiać na chleb, pełniąc taką dziwną służbę — pod mostem? A po za tym jestem tu gościem u dostojnych gospodarzy, ja —

pan, mogę go więc łatwo po pańsku kręgać...

Ale dalszych refleksji snuć już nie ma kiedy, zbliżyliśmy się bowiem do otwartej bramy. Zamachałem czarodziejskim papierkiem — sezamie, otwórz się! — salutując mi z szacunkiem i przekraczamy zakazaną linię.

Od razu ogarnia nas błogosławiony cień. Szum szpilkowych galezi nad głową i chłodne, żywiczne, łagodne muskające powietrze, inny świat. Chce mi się pić, umieram z pragnienia...

Zaledwie wypowiedziałem w myśl te słowa, od razu, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zjawili się przede mną strumyk, szemrzący pośród drzew, z w nim — tonący nożkami — stół, spod którego wyglądały szyby butelek: borżomu, essentuki, citro — do wyboru. Nad stołem pochyla się dorodna, rumiana i uśmiechnięta dziewczyna w sztywno wykreślonym kokoszniku i nalewa wodę, pobrzekując cienkim pokrytym mgłą szkłem, za którym miotają się bąbelki.

Rzuciłem się w tym kierunku, stając za plecami jeszcze jednego spragnionego, gotowego, z dobrze znaną walecznością, wykopać tych, co wypychają się bez kolejki. Ale baśniowa panna już wyciąga do mnie napełniony kielich i uśmiecha się przepięknie.

Zimna woda, przesiąknięta świeżością krynicznej strumienia.

— O, dziękuję!... Poproszę jeszcze, jeśli można...

— Proszę.

Nowy, pokryty mgłą, kielich, i nowy uśmiech.

— Dziękuję...

— Życzy pan sobie jeszcze?

— Dziękuję, wystarczy.

Sięgam do kieszeni po drobne. Spoglądają na mnie z pełnym pobażaniem, ale wyrozumiałym uśmiechem — oto i prostaczek.

Wtedy pojąłem, gdzie się znalazłem. Jakże tam drobne! Tutaj wszystko jest bezpłatne — zwyczajne powietrze, orzeźwiająca wilgoć, dobroć rumianej dziewczyny w kokoszniku i szemranie strumienia.

2.

W głębokim dzieciństwie, jeszcze w wieku przedszkolnym, usłyszałem frazę: „Komunizm na horyzoncie!” Horyzont, jak wiadomo, to linia, która przebiega w naszej wyobraźni, ale nie w rzeczywistości. To linia, która niezmienne się oddala, jeśli się do niej zbliżać. Zbliżaliśmy do komunizmu, a on oddalał się za horyzont. A czym właściwie jest ten — komunizm? Jak powinien wyglądać?

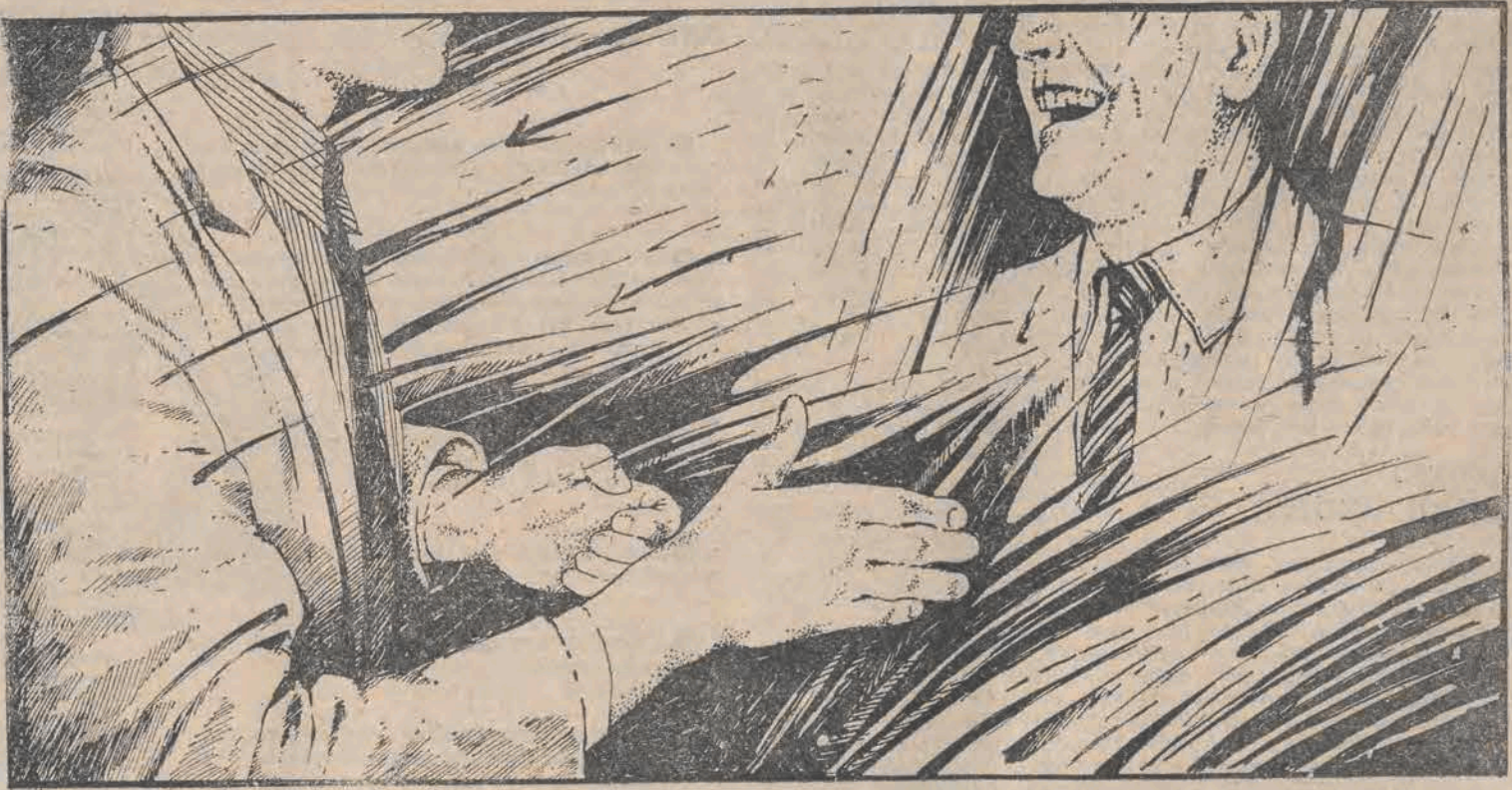
Zawsze żyliśmy biednie — źle odżywiali, brzydko ubrali. Kielki w sklepach i komunalne wielorodzinne, duszne do utraty tchu, mieszkanka stanowiły normę naszego bytu i dlatego upragniony komunizm był niczym tłusty kasek, którym z nawiązką obdzielili można wszystkich — jedz, ja już nie chcę!

Karol Marks wysmiewał takie konsumpcyjne rozumowanie, nazywając je komunizmem-izy. Rzucił światu frazę: „Od każdego według zdolności, każdemu według potrzeb”. Brzmi podejrzanie biego i mgliste. I nie ma nikogo, kto potrafiłby rozsądniej wskazać sedno komunizmu. Następcy ograniczali się tylko do zapewnienia o jego rychłym nadejściu: „Na horyzoncie!”

Czy wypada się dziwić, że niedoświadczona większość ocenia komunizm na podstawie znamion zewnętrznych, jawnie dostrzegalnych oznak: jeżeli pieniądza są w użyciu — nie ma go, wymarzonego komunizmu, a gdy będą po trzykroć przeklecie i zapomniane — jego triumf stanie się faktem. Nie zażądano ode mnie zapłaty za wodę mineralną, nie pobiorą jej i za uroczysty obiad, który czeka mnie bez wątpienia. Sakiewka w mojej kieszeni — to w dniu dzisiejszym zupełnie zbędna rzecz.

C.D.N.

Przekład:
MALGORZATA
URBAŃSKA



Rys. Janusz Szymański-Głanc

I wiecie co? Miałam Nowy Rok, i styczni, i luty, a Jan Duch jak nie ma azylu, tak nie ma! Idzie siódmy miesiąc, odkąd z Georgią przybyli do Belgii. Wiele zmian w nich, choć na zewnątrz nie się nie zmieniło. Czekają na azyl, coraz mniej wierząc, że kiedykolwiek zostanie im przyznany. Istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli posiedzą tu dłużej, i potem zostaną odesłani do Polski, krajowa policja zacznie ich cisnąć jak ostatnią cytrynę z rynku: co robili przez tyle czasu za granicą, za jakie pieniądze żyli, jakie cyfry podpisywali, komu przyrzekli współpracę? Rany boskie! Na samą myśl o tym bałaganie Jan Duch dostaje drgawki. Tu jedni go jebali, tam drudzy tylko czekają na tę przyjemność. Niech to wszystko cholera weźmie!

Pracował jakiś czas w fabryce Leylanda pod Brukselą, wytrębiał się na spawacza. W tym czasie Jerzy Giedroyc odrzucił mu tom opowiadań, powieści i wiersze.

— „Nie ma pan do mnie szczęścia, jako do wydawcy” — pisał mu stary książę pan, tłumacząc swoje decyzje odmowne jakimiś bliżej nieokreślonymi względami.

Ja miałem więcej szczęścia. Wydrukował mi kilka wierszy i opowiadanie „Żywi”, na stronę, któremu w 1965 roku Jerzy Putrament wrócił z wolnością z cenzury. Guccio Herling — Grudziński przysłał mi ładny list, chwaliący „Żywych”. Był to komplement, ponieważ facet jest klinicznie czystym stylistą. Taki parnasista, a spodobały mu się moje brudy językowe, prasa mowa więzienna! Thank you, Gustaw, grazie, danke und merci — ale co mi z tego? Ile takich opowiadań mogę w życiu napisać? Jeszcze pięć, dziesięć? W całym życiu? A jeśli trzeba codziennie. Są jednak chłopcy, którzy tej potrzeby nie rozumieją.

Na przykład poeta Marlin. Nie tylko poeta, ale i krytyk, jeden z filarów „Kultury” oraz „Instytutu Literackiego” w Paryżu. Opowiedział mi o nim Duch. Znamy działalność Marlina, jego wypowiedzi polityczne, jego nieprzejednaną wobec totalizmu postawę humanisty. Marlin, wspaniały człowiek.

Ale oto na drugi dzień po przyjęciu u pani Karmańskiej przyszedł do mnie Janek Duch i powiedział:

— Stary, fascynująca sprawa. Wiesz coś o losach Marlina, o jego życiu prywatnym? — Zupełnie nie. Tyle tylko, że mieszka w pałacu na wyspie Capri, a może na Sardinii. — Nigdy się nie zastanawiałem, w jaki sposób stał się właścicielem pałacu na Capri?

Wzruszyłem ramionami. Mnie to nie interesuje. Jakiego Capri, jakiego pałacu. Facet pisze nieźle, chociaż dla mnie nudno, ale głowa w porządku. Znaczący, z nosem.

— Pewien gość opowiedział mi o nim na przyjęciu. Wiem, że nie można brać poważnie wszystkiego, co ci ludzie opowiadają...

— Mnie powiedzieli o Miłoszu, że śpiewa sówce.

— Bardzo pięknie! — cieszy się Duch. — Mnie powiedzieli to samo, z pełnym przekonaniem, na serio. Ale to byli starzy działacze, sfrustrowani, zgniewani przez życie. Natomiast historię Marlina opowiedział mi ktoś, kto go zna osobiście i kto nie ma powodu, żeby mu czegośkolwiek zazdrościć, czy się mścić za własny brak sukcesu. Posłuchaj. Marlin miał dwadzieścia lat, kiedy jako lewicujący młody poeta polski, pochodzenia żydowskiego, znalazł się w Związku Radzieckim. Spotkało go to, co było udziałem tysięcy jego pobratymców: wsadzili go do kiccia, a potem do łagru. Odpukał w sumie dwa lata, nikomu nie życząc takich dwóch lat — Janek przypauzował, żeby mi lepiej do głowy weszła cała groza bytowania Marlina w łagrze.

— Znam jego książkę o tym, Jasu — powiedziałem. — I uważam, że jest słaba. Tam było gorzej niż on to przedstawia. Jego własne działanie było gorsze.

— Tego nie możesz mu zarzucić, bo nie potrafisz udowodnić — powiedział Duch.

— Lepiej znam życie i ludzi, niż Marlin — powiedziałem — i znam Marlinów lepiej niż on przypuszcza.

— Otóż kiedy wyszedł z łagru, wstąpił do wojska. Z Andersem przeszedł kampanię aż do Włoch i tam został zdemobilizowany. Wojsko to nie łagier, ale też nie bał. Marlin opowiedział sobie wtedy...

— Powiedział sobie wtedy — przerwałem — opowiedział sobie: nigdy więcej! I zaczął swoją prywatną grę ze światem... o własne życie.

— Właśnie to chciałem powiedzieć — rzekł Duch. — A najlepsza szansa na wygrana ze światem pojawia się wtedy, kiedy zaczynamy mieć do świata stosunek pozytywny, do świata tak zwanych wartości, cokolwiek by w danej epoce znaczyły...

— Czy Marlin mógłby zostać wilkiem w wilczym świecie?

— Oczywiście, ale nikt mu posady wilka nie zaproponował. Pomyśl, gdyby zamiast łagru usadził go na uniwersytecie i otwarto wszystkie drzwi do władzy nad umysłami, miałbyśmy jeszcze jednego Schaffa.

— Albo Jerzego Urbana.

— Co za różnica — powiedział Duch. — Ale, gdyby ciocia miała wąsy... to by był Stalin. Stuchaj dalej, Marlin we Włoszech, w powojennym rozgardiaszu, zagubiony. Przypadkowo poznał słynnego pisarza, nazwiskiem Corneli. Ten pisarz, bracie, to wielki artysta, bogacz i pederasta. Marlin zostaje sekretarzem tego faceta.

— Dupcia w robocie.

— A co? — wzruszył ramionami Duch. — Lepiej dawać stółczy elegancji panu, niż biatym w łagrze, żeby bronił przed okrutnymi urkami. Zresztą zwykle bywa tak, że to młodziak kiszkuje.

— Marlin nie zaaprobowałby twojego języka.

— Pewnie. Ucieka w czystość, to reakcja na tamto, co przeżył podczas dwóch lat w terrorze.

— Prawidłowość psychologiczna — powiedziałem.

— Stary hrabia miał kilka domów, między innymi ten pałac na Capri. W nim znajdowała się biblioteka, oceniona na wiele tysięcy do-

larów, a pamiętaj, że był to rok zakończenia wojny.

— Ile to warte dzisiaj?

— Upływ czasu wzmacnia pozycję białych kraków. Podobno pięć milionów dolarów. Ale oprócz biblioteki arystokrata miał córkę, która mogłaby wystąpić w konkursie na miss świata brzydoty. Jakies pokurcze, przypominające czarownicę z „Królowy Śnieżki” Disneya. Corneli poenił młodych, może raczej młodego, bo pania miała już po czterdziestce, i w ten sposób zapewnił sobie legalizację stosunku z Marlinem. Kochali się przez kilka lat w trójkę, podczas tych lat wielki człowiek wprowadził Marliną skutecznie w swój świat: wydawnictwa, redakcje, konferencje międzynarodowe, sympozjony... wszystko to stało przed Marlinem otworem, i trzeba przyznać, że umiał wykorzystać szansę. Dziś jest w komitetach redakcyjnych kilku nadętych miesięczników europejskich, konsultantem wydawnictw, filarem paryskiej „Kultury”. Ale przede wszystkim jest człowiekiem wolnym i niezależnym. Corneli zmarł, potem zmarła jego córka. Dzieci nie było. Marlin jest panem na włościach, panem całą głębią, z wysokości nadmorskiej skały, na której stoi pałac, ocenia świat. Nocą, kiedy znika blask fał, Marlin wychodzi na taras, rozumiesz, czy może być wspanialsza sytuacja: skała, on, kosmos... Cóż mu tam świat z jego matryni troskami! I pisze nocami. Na przykład opierdolił w jednym z esejów Tomasza Manna, i to ostro. Czuje się wyższy, mądrzejszy. Wiesz, kiedy człowiek czuje się wyższy i mądrzejszy? Kiedy mu nic nie zagraża. Przynajmniej teoretycznie. Owoż także opierdolił Ilę Erenburga, któremu wypomina koniunkturalizm...

— A czy Erenburg dawał komuś dupy? Stąd sława?

— Znaczący, według Marlina, dawał mózgu, a to jeszcze gorzej.

— Stary — powiedziałem — po co mi to opowiesz? Przecież wystarczy poczytać tego faceta, żeby widzieć naiwność, zakłamanie i strach.

Aby do wiosny!



Przecież to psychologiczny transwestyta: jest czymś, czym nie jest, a jest.

— Jest, jaki jest. Nie takie zakłamanie na tych słowach się opiera.

— Brzmiały inaczej: jam jest, który jest.

— Otóż to. Ale powiada sam, nieszczerze: „uważam za upiorny nonsens naszych czasów próby sądenia człowieka według uczynków, jakich dopuścił się w warunkach nieludzkich”. Takie pięknie żetony: „nasze czasy”, „warunki nieludzkie”. Kiedy zaczęły się nasze czasy? Czy są nasze w ogóle? I kiedy zaczynają się nieludzkie, a kiedy się kończą? Ciepło w dupę Marlinowi; ludzkie czasy. A jak mroz...

— Wszystkie czasy to nie nasze czasy, każde warunki, w których znajduję się ludzie, są warunkami ludzkimi — powiedziałem — Marlin za mało dostał w dupę w tym łagrze. Chciał rewolucji, to ją miał. O co chodzi?

— Ale się przestraszył, jak mało kto — powiedział Duch. — A opowiedziałem ci to dlatego, że od tego człowieka zależy moja i twoja kariera literacka na emigracji, a kto wie, może i azyl. Facio ma niebawem rozgałęzienia.

— On nam nie zaszkodzi, Janek — powiedziałem z przekonaniem. — On się za bardzo boi. Ten człowiek jest po prostu esencją strachu. Z tego zrobił sobie profesję.

— Dzwonił do mnie, kiedy zszedłem ze statku w La Spezia — powiedział Duch. — Proponował spotkanie, ale potem, kiedy znalazłem się w Rzymie, zadzwonił do Zahorskiego, że musi odwołać. Z powodu jakiegoś nagłego zebrańia w redakcji włoskiego miesięcznika.

— Nie zaproponował innego terminu?

— Nie.

— Widzisz, Janek, byłeś w Rzymie przez tyle czasu. W Polsce wydałeś sporo tomików wierszy, znali cię ludzie, i ten wół też o tobie słyszał. Mógł któregoś dnia sam się zjawić w twoim nędznym hotelu, zabrać was z Georgią na kolację, dać trochę lirów, coś do poczytania... Ja bym tak zrobił. Gdybym był na jego miejscu.

— Nigdy byś nie był na jego miejscu. Ni-

gdy nie ożeniłbyś się z tak brzydką dziewczyną dla forsy. I nie dawałbyś zadu staremu kretynowi.

— No, raczej nie — przyznałem — bo gdyby tak miało być, to miałem już wiele szans, które odrzuciłem.

— Ale płaci czynsz za to miejsce, Jasu. Marlin płaci całe życie, walcząc z totalitaryzmem perfumowanymi słowami i zdaniem na fiszbankach, wszystko po to, żeby zatrzeć, zaćmiennić drogę, którą doszedł do niezależności i spokoju. Rozumiesz, łagry nie służyły kultu-

wacji i przedłużaniu życia, ale też przedłużaniu życia nie służy to, że chłop rucha chłopca. Obie sytuacje zaprzeczają instynktowi życia, i obie są samobójcze w konsekwencji. Marlin, posiadając starca, gniołąc go i sapiąc nad nim oraz składając nasienie w jego hemoroidalnej odbytnicy zaprzeczal życiu tak samo mocno, jak strażnik łagrowy, tłukący pałką więźnia do umientu. Wiesz to?

Duch śmiał się głośno, pewnie wyobraził sobie stosunek Marlina z Cornelim, przerywany szaleńciami inteligentną rozmową. O nieludzkich czasach i prawach człowieka...

— Posłuchaj, Jasu — powiedziałem mu jeszcze. — Ten człowiek jest półproduktem. On zna życie, świat i siebie z drugiej lub trzeciej ręki. On czyta, rozumiesz, to jest cały jego kontakt ze światem. Owszem, łagry... To było jak sen. Jakby kure skotłował pędzący samochód, a ona wstaje, otrząsa się i mówi: diabł nie kogut... Janek, ten pedzio jest dzieckiem, któremu udało się wyskoczyć z płonącego domu, z przerażeniem, ale bez poparzeń. I wiesz, kiedy by stanął przed tobą, albo przede mną... On wie, że każdy z nas przejrzałby go na wylot, nie mogłbyś niczego ukryć. Stałby przed nami nagi, biedny, przestraszony. Stary, taki stwor boi się sity, boi się męskości, boi się odwagi. Myśli, że tchórzostwo mu oddala śmierć. Na Erenburga nakrzyczy, na Manna... Ale gdyby ktoś wsadził mu nóż do ręki i po-

— Uwierz — zapewnilem.

— Posłaliśmy pewnego razu do dentysty — zaczął jakby niechętnie — było to dość dawno, nie wspominałem ci o tym. Dentysta, nazwiskiem Felix, był z pochodzenia Polakiem, pochodził ze Śląska. Bardzo sympatyczny, starszawy gość, no, może po pięćdziesiątce. Wysoce, w miarę przystojny, ale taki raczej uczciwiek z wyglądu. Początkowo, kiedy dukał jej w zębach, Georgia myślała, że to po prostu dentysta, wyrobnik, jakich wielu. Ale wkrótce okazało się, że gość jest właścicielem tej kliniki, ale nie tylko, jeszcze miał dwie kliniki, w tym jedną dla bogaczy w ekskluzywnej dzielnicy. Był też posiadaczem wspaniałej willi, a dokoła białe szczyty, jak na filmie. No, oczywiście, Georgia natychmiast zaczęła być sympatyczna dla Felixa, i natychmiast zaczęła ogrywać swoją kartę, że mąż słynny poeta, że pisał, wydawał i żył jak artysta, a ona, oczywiście, znakomita malarka, chwiliowo w kłopotach. To szalenie podzielało na Felixa, który z natury był uczulony pozytywnie na wyższe życie, artyści mu imponowali. Był nie tancerką, bracie, bo się nadział na jedną taką. Przyjechała Mazowska do Belgii, i jak to zwykle bywa, ktoś zawsze daje nura. Felix poznał tancerkę, przepisał się z nią, był wtedy wdowcem, samotny, bez dzieci. Tytan pracy. Tyle forsy, a spalał się w pracy, po sześćnastu godzin na dobę. Nie mógł inaczej. Stara śląska szkoła, rozumiesz. Otóż jak tancerka zobaczyła jego wózek, jego pieprzone kliniki, jego samochody, jego konto w banku, człowieku! Dała mu tak, że się żadna belgijska krowa równać nie może... Zresztą, wiesz, jakie ciało ma taka tancerka...

— Wiem — potwierdziłem z uznaniem. — Raz żyłem pół roku z jedną z Mazowszą właścicielką, potem posłała w nocne lokale w Niemczech i w Szwajcarii, potem opisała swoje przygody w „Przekroju”, to była znakomita dziewczyna. A później kochałem się w balerynie z Teatru Wielkiego, zatrzymywała takśówkę podnosząc nogę w bok na wysokość głowy. Nie było tak-siarza, żeby nie stanął.

— No i co?

— Wsiadaliśmy i jechaliśmy.

— Ale co się z nią stało, kretynie!

— To była moja ostatnia dziewczyna w Polsce. Może się jeszcze spotkamy, a może nie. Wiedziała, że odchodzę na zawsze. Zostawiłem u niej w domu maszynkę i pedzel do golenia, powiedziałem: kochanie, mężczyzna, który zostawia te przybory, zawsze wraca... Ale wiedziała, że to nieprawda. Już jeden zostawił takie rzeczy i wyjechał do Szwecji. Miała doświadczenie. Mów o Georgii.

— No więc Georgia z tym Felixem. Ale tancerka z Mazowszą była problemem. Bo wiesz, ona dała nogę, za jego namową pewnie, musiała przecież mieć jakieś gwarancje, no i oie-nił się z nią, zaraz urodziła dziecko, i o, tej pory tylko leżała na szeslongu, zadzierając osą, rzadko dawała mu włożyc, głównie przebywała w tym szwajcarskim chaletcie. Jak Felix poznał trochę lepiej Georgię, po kilku spotkaniach, to się w niej zakochał na zabój. Zresztą był tak ponuro osamotniony, że i mnie a-praszał na obiady, na kolacje, do lokali nocnych. Wielki patriota, z tych, co to uważają, że Conrad był stuprocentowym Polakiem, tylko dla kaprysu pisał w innym języku.

— I Kopernik Polak, i Chopin Polak... I ja, panocku.

— Dokładnie, i Stosch też, znaczący, Stososz.

— Więc się podpierał?

— Nieustannie. Właściwie każda rozmowa to było umacnianie tożsamości. On istniał przez jakieś symbole, przez jakichś ludzi, o których nie miał pojęcia, poza dźwiękiem ich nazwisk, taki był pusty w środku, tak mało wart dla siebie. Wzieliśmy się oboje z Georgią za niego, poczuł się lepiej, i tu zaczęły się kłopoty. Poczytał jej jeden ze swoich samochodów, nowego Peugeot 504, biały, brawozwa skóra w środku, i jechaliśmy z Georgią do Paryża, do Amsterdamu, do Luksemburga...

— Mówiła mi, że ma kogoś, kto pochodzi z Luksemburga, jakiś księżę, czy coś. Może to była fantazja.

— Nie, bracie. W tym sęk. Ona miała tego faceta. I ma go nadal. Gość szaleje za nią. Jest bogaty, jak krezus. To Porsche podjeżdża, to Ferrari, to znów Lamborghini Miura, cała stajnia tych puszek na szpulkach. A Felix też zakochany. Więc tak: ona bierze wóz od Felixa, daje mu i ja wypierdalam na parę dni, to tu, to tam, raz nawet, jak nie miałem już co robić, to zniechęca odwiedziłem Giedroycia, i dostałem sztukę mięsa na obiad, twardą jak pasek klinowy, a tymczasem Georgia śmiga ze swoim Luksemburczykiem w inne rejony Europy. Potem wysłała kartki z podróży i zakłada pozdrowienia ode mnie. Muszę się kryć, bo jakby mnie zobaczył tłukącego się po Brukseli samotnie... No i w końcu rozbiłem mu ten samochód, i musiałem go zakitrać, żeby nie zobaczył na ulicy uraka, po trzech dniach wrócił, pojechał do niego urakiem i opowiedział, że to jej wina. Był z tego powodu szczęśliwy. Dał jej natychmiast drugi wóz.

— Po co ona go robi w konia, mając innego?

— Trzyma go w odwodzie. A nuż z tamtym nic nie wyjdzie, to wtedy zawsze Felix może rozejść się z żoną i Georgia wejdzie w dobry układ. Nie jest to, co prawda, ekstra klasa, ale zawsze lepszy rydz niż nic.

— A ty jej pomagasz w niecnym dziele alfonsiaku, Marlinie...

— Tak. Mam jedną słabość: strasznie lubię jeździć samochodem po Europie — powiedział z niewinnym uśmiechem.

C.D.N.



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia – podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

24 listopada — PAWEŁ TOMASZEWSKI —
godzina 10—15.

1 grudnia — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — go-
dzina 10—15.

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU
Z DNIA 17 LISTOPADA 1988 R.

Z ciężkim sercem pełniły te nasze dyżury, że względu na ogrom ludzkich bolączek, którym niełatwo zaradzić. Oprócz jednak powszechnie znanych trudności, jak np. z brakiem mieszkań, co wynika po części z warunków tzw. obiektywnych, (oby przejściowych) najwięcej ludzi dręczą i oburza sytuacje zawińione przez ludzką podłość i głupotę, a takich spraw jest niemało. Dla przykładu.

Syn wprowadza żonę do rodzicielskiego domu, a raczej gospodarstwa hodowli roślin i wkrótce pod namową żony wypędza rodziców. Ujciec wegetuje w zimnej komórze przylgając się przez oświetlone okna swojej wili biesiadom urządzanym przez syna i synową, matka zamieszkuje gdzieś katem u znajomych. Po latach prawowania się, młodzi dostają wreszcie eksmisję, ale praktycznie niewykonalną wcześniej niż za trzy lata, kiedy to mają dostać mieszkanie, a przez ten czas ani myślą wypuścić starego ojca pod dach. Nie uprawiane gospodarstwo zresztą niszczy, ale stary ciągle płaci podatki. Sytuacja przeciąga się i, jak to się mówi, „nie ma siły”, żeby prawo mogło zostać wyegzekwowane.

Ze względu na konieczność pewnych uszcisleń nie podaję jeszcze dokładniejszych danych dotyczących tej ponurej sprawy, której nie wolno zostawić w tym stanie.

Budzi też pewne podejrzenie sprawa małżeństwa w gminie Aleksandrów, które otrzymało z Państwowego Funduszu Ziemi działkę budowlaną. Ludzie ci zaadaptowali sobie na cele mieszkalne budynek gospodarski, ale chcieliby się posuwać na stałe, czego nie mogą uczynić przed uzyskaniem prawa własności do działki. Otóż od dwóch lat Urząd Gospodarki Gruntami Rolnymi w Aleksandrowie zwleka z decyzją, mimo iż wydana w lipcu br. nowelizacja jednoznacznie reguluje te sprawy. Wspomniane małżeństwo i dziesiątki podobnych czekają cierpliwie, a ceny metra kwadrato-

wego rosną nieustannie, o czym wie doskonale kierownik wspomnianego urzędu. Dlaczego więc zwleka? Podobno jedni dostają decyzję niemal od ręki a inni muszą czekać latami. Dlaczego?

Pani Goryszewska z ul. Narutowicza 74, osoba niepełnosprawna, mieszka w lokalu tzw. „kolchozowym” i stara się od siedmiu lat o zamianę zajmowanych tu dwóch pokoi na samodzielne w nowych blokach, ale obawia się, że tegoroczny termin nie będzie znów dotrzymany, jak poprzednie. Sprawa wydaje się obiektywnie nie najtrudniejsza, ponieważ chodzi o zamianę, nie zaś o obdarowanie kogoś mieszkaniowym prezentem, ale, jak twierdzi nasza rozmówczyni, żadna z właściwych w tej sprawie instytucji nie okazuje po prostu zainteresowania jej losem.

Panu Marianowi Tkaczowi raczej nie potrafimy pomóc w jego staraniach o telefon czynionych od 11 lat. Mieszka on na Broniewskiego 56, a w pobliżu dostają telefony ludzie, którzy czekali od niego znacznie krócej, mimo iż nie należą do kategorii pracowniczych specjalnie uprzywilejowanych w tym względzie. Otóż, jak wiemy z doświadczenia, telefon otrzymuje się bez względu na czas wyczekiwania, lecz „gdy przyjdzie na to pora” (z przyczyn technicznych). Najlepiej przestać wierzyć, że się człowiek telefonu kiedykolwiek doczeka, a tu, ni stąd, ni zowąd, mila niespodzianka...

Podobnie prosta sprawa z panem S. M. z Belchatowa, członkiem spółdzielni mieszkaniowej, który nabył od niej domek do wykończenia, po kimś, kto wówczas zrezygnował. Moim zdaniem wszystko dzieło w pana sprawie zależy od tego, czy przepisy spółdzielcze wymagają wspólnej decyzji obojga małżonków, a przepisy chyba nie trudno panu sprawdzić.

Jeden z Czytelników, podobno w porozumieniu z innymi rodzicami, wyraża niepokój z powodu skierowania uczniów klas maturalnych do mającego się odbyć spisu powszechnego.

Uważa on, że skoro w tych klasach nie urządzi się wycieczek, żeby nie zabierać młodzieży cennego czasu potrzebnego na naukę, to tym bardziej nie należy jej odrywać na okres w sumie (wraz ze szkoleniem) nawet i kilkunastu dni. Czy nie lepiej angażować do takich, płatnych zresztą, prac, studentów lub np. emerytów? Ale oczywiście, masowy nabór na zasadzie odkomenderowania uczniów przez dyrekcje szkół jest organizacyjnie najwygodniejszy. Rodzą się też, moim zdaniem, dwa pytania. Czy jest to sprawa, w której ministerstwo może narzucić szkołom rygorystyczny obowiązek uczestniczenia uczniów w spisie i czy rodzice ze względu na określone predyspozycje dzieci, mają prawo nie zgodzić się na jego udział w akcji spisowej. Wyobraźmy sobie wrażliwego chłopca lub tym bardziej dziewczynę przeprowadzającą spis w pijackiej melinie!

Pan Henryk Filipczak od dłuższego czasu obserwuje, jak z jezdni placu wokół pomnika Marchlewskiego znikają kamienne kostki bruku, których część wala się po całym placu, a czasem służy wyrostkom do niebezpiecznych zabaw. Ponadto nasz rozmówca wypowiada się za ograniczeniem palenia tytoniu w Teatrze Wielkim do jednego tylko bufetu.

O remoncie nieczynnej od maja poczty na rogu Zaolziańskiej i Cieszyńskiej informuje odpowiednia wywiódka, poza tym jednak nic nie wskazuje, by jakiegokolwiek prace remontowe były w toku — informują nas mieszkańcy pobliskiego rejonu.

Pani pielęgniarzka z przychodni przy ul. Myśliwskiej prosi nas o sprostowanie, że mianowicie po odejściu pani doktor Robakiewicz przychodnia potrzebuje dziecięcego stomatologa, a nie pediatry.

Mieszkańcy pierwszego bloku nowego osiedla przy ul. Małachowskiego skarżą się na Ozorkowską Spółdzielnię Mieszkaniową, że ciągle nie mają ani suszarni, ani pralni, a system centralnego ogrzewania często wyrządza im przykre niespodzianki z powodu przełączników automatycznych, co sprawia, iż nieraz już temperatura w mieszkaniach zimą spadała nagle o 10 stopni. Ponadto dom jest nie otykowany, a otoczenie nie zagospodarowane i nie uprzątnięte. Słowem — brzydko, niebezpiecznie i w dodatku nie-tanie.

Panią z ul. Zielonej 8 prosilibyśmy raczej o zwizję list opisujący sytuację, zbyt zawiłą żeby ją zrozumieć do końca w telefonicznej rozmowie.

JERZY KWIECIŃSKI

Pragnienie niewielkie

JOANNA OLCZAK

na tym, że nie umiemy doceniać własnych — naszych łódzkich — pomysłów i dokonań. Przytłaczająca bliskość Warszawy, która dawno już zatraciła casus stolicy jeżeli chodzi o dobra kulturalne, wbiła Łódź w kompleks niższości, zamiast odwrotnie — poprzeczka nie jest ustawiona wysoko. Nie chce mówić o przeszkakiwaniu jej, ale może by tak dorównać.

Kultura nasza w ogóle ledwo dyszy, wydaje się jednak, że nadchodzi moment decydujący, mówiąc prosto: COS musi się zmienić, albo na dobre, albo na jeszcze gorsze. Wydaje się, że Łódź zaczyna pulsować szybszym rytmem, w Piwnicy Teatralnej na Zamenhofa zobaczyć można artystów ze stolicy (a jednak!). Królikiewicz z Michem usłuchali ofertę swe teatralne usługi. Teatr Studyjny, miewmy nadzieję, nabiera oddechu, przed nowym sezonem. Wreszcie, ba! mała rzecz a cieszy, CIK uruchomił kawiarnię, w której co stanowi w Łodzi ewenement, bezpiecznie i przyjemnym wnętrzu można napić się herbaty.

Na mapie kulturalnej kraju Łódź

jednak nie istnieje, kojarzy się ją przede wszystkim z należąca już do historii, dwukrotna dyrekcja Dejmką, nie mówiąc o tych, którym kojarzy się jedynie z Tuwimem, czy „Ziemią obiecaną”. Integracja środowiska artystycznego ogranicza się do spotkań towarzyskich, nie ma mowy o wspólnych dokonaniach. Konstruktorywnych działaniach wspólnych wystawach, akcjach, a chociażby skandalach. Dawno, dawno minęły te czasy — jak mawiał Witkacy. Teraz teatry

minęła bezpowrotnie i oto dowiem się, co ciekawego wydarzyło się w ostatnim miesiącu, że może zaprezentowana zostanie ostatnia premiera teatralna lub filmowa, nie z zamian na jaki kolor Edith Piaf pomalowane miała paznokcie na koncercie 5 września, mogą zoba-

czyć jej ranne pantofle czy inne, równie intymne i intrygujące przedmioty lub, że folklorystyczny zespół z Wiśniowej Góry powrócił właśnie z tournée po Włoszech. A w te nader ważne informacje wpleciona zostaje krótka, pobieżna, odczytana z „Kalejdoskopu” wiadomość, iż niejaki Paweł Nowicki, dyrektor Teatru Studyjnego otrzymał nagrodę za „pobudzenie życia kulturalnego w naszym mieście... Toż to na kpinę zakrawa, nie żebym była przeciwko rozwijaniu amatorskiego ruchu kulturalnego, ale przecież jakaś hierarchia musi być zachowana. Za każdym razem wesele w tym podstęp, ale do pierwszego kwietnia daleko, a redaktor zachowuje kamienną twarz.

Każdy, kto obejrzy szacowny tap skądinąd Magazyn ma świetne prawo, co więcej jest to zgodne z logiką, sądzić, że nie się nie dzieje i w ośle szkoda sobie głowę zawracać. A przecież te pół godziny raz na miesiąc to naprawdę na tyle mało, żeby zrobić program żywy, bieżący informacjami (niepram się jednak przy tym), omyślać, rozmawiać z twórcami: reżyserami, aktorami, plastykami, muzykami, recenzjami ze spektakli, filmów wernisarzy i koncertów. Pokazując to, co u nas ciekawe i godne uwagi. Wydaje się, że to pragnienie tak niewielkie, a jednak...

Wszystko to jest wstępem do wyrażenia mojej refleksji, która narodziła się po obejrzeniu ostatniego wydania telewizyjnego Łódzkiego Magazynu Kulturalnego. Program ten bowiem wywołuje we mnie nieodmiennie uczucie zażenowania, oglądam go więc regularnie i zawsze z nadzieją, że zła passa

A może do kina?



W tym tygodniu proponujemy obejrzenie bułgarskiego dramatu psychologiczno-kryminalnego pt. „Człowiek na jezdni” w reżyserii Dazco Bojadżijewa.

Jest to historia skomplikowanej śledztwa w sprawie śmierci człowieka potrąconego przez ciężarówkę na szosie, a jedynym świadkiem wydarzenia znikła w tajemniczych okolicznościach. Dodatkowym walorem filmu — jeżeli ktoś to lubi i cení — jest to, iż prowadzone śledztwo staje się także tłem dla ukazania codziennego życia Bułgarów.

W rolach głównych występują: Todor Kolew, Nikola Sotirov, Anton Radiczew i Werginia Zachariewa.

Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

▲ 1300 tytułów, ponad 250 nagród (w tym pierwszy polski „Oscar” za „Tango” Z. Rybczyńskiego) to 40-letni dorobek Studia Młodych Form Filmowych „Se-Ma-For” w Łodzi. Wszystko zaczęło się od filmu Z. Wasilewskiego „Za króla Krakusa”, a spointowane niejako w 40-lecie istnienia studia sukcesem filmu „Przyjaciel wesołego diabła” — J. Łukaszczyka. Z okazji jubileuszu odbyły się uroczystości z udziałem docelowych gości, były wyróżnienia Nagrody im. Z. Wasilewskiego za najlepsze filmy dla dzieci, przyznane Janowi Petryszynowi z SF w Bielsku-Białej za film „Chłopiec i ptak” oraz Pawłowi Nowosławskiemu z SFA w Krakowie za „Siedmiomilowe buty”. Gratulujemy nagrodzonym i odznaczonym, a jubilatów pozdrawiamy w imieniu młodszej i starszej widowni.

▲ ICAVE to Międzynarodowa Koalicja przeciwko Przemocy w Różnicach. Ta organizacja pdała ostatnio analizie 1300 filmów z 60 krajów, w tym 18 tytułów z Polski, wyprodukowanych w latach 1947, 1967 i 1987. Stwierdzono nasilającą się falę gwałtów i przemocy w filmie, Z produkcji ubiegłorocznej na „czarną listę”, obejmująca filmy o szczególnym nasileniu okrucieństwa, wpisano 220 tytułów, w tym „Prywatne śledztwo” Wojciecha Wojska z Polski.

♦ Kinematografia kirgiska podejmuje jedno z największych w swojej historii przedsięwzięć — nakręcenie ośmioodcinkowego serialu o Dzyngis Chanie z jednoczesną realizacją czteroodcinkowego filmu kinowego. Serial powstaje we współpracy z kinematografią amerykańską, a reżyserem jest Tołomusz Okiejew (ten od „Czerwonego jabłka” i „Potomka białego lamparta”). Zdjęcia kręcone będą w Mongolii, Chinach, Kirgizji i w Azji Środkowej.

♦ Po latach milczenia wokół twórczości Andrzeja Tarkowskiego, na ekrany kin w Związku Radzieckim wszedł jego ostatni film zreali-

zowany w Szwecji pt. „Ofiara”. W tym też czasie odbyła się premiera pełnej wersji „Andrieja Rublowa”. Warto przy tej okazji odnotować, że Związek Filmowców wraz z Towarzystwem Filozoficznym ZSRR powołał do życia Towarzystwo Badania Spuścizny A. A. Tarkowskiego.

♦ Coraz więcej informacji napływa o filmowej wersji „Dziadów” wg. Adama Mickiewicza, którą podjął Tadeusz Konwicki. Dziś pragniemy odnotować kolejną informację, że rolę Poety w „Lawie” (tak brzmieć będzie tytuł filmu) powierzono Gustawowi Holoubkowi.

♦ Andrzej Wajda przygotowuje się do realizacji filmu o Januszu Korczaku.

♦ Telly Savalas, słynny „inspektor Kojak” uczestniczy w kręceniu filmu „Nocty patrol”, do którego zdjęcia nagrywane są na ulicach Paryża.

▲ Spośród 39 wytwórni filmowych w Związku Radzieckim, 20 produkuje filmy fabularne. Filmów fabularnych wyprodukowano w r. 1983 o raz 118 na potrzeby telewizji. Rocznie kina ra dzieckie (a jest ich 4800 stałych i 153 tys. innych placówek wyświetlających filmy — w domach kultury kinach ruchomych itp.) odwiedza ok. 4 miliardów widzów, czyli każdy z mieszkańców ZSRR bývá w kinie 14 razy w roku. Wzrasta także ilość magnetowidów, oblicza się że jest ich już w ZSRR ok. 500 tysięcy.



POLSKIE LINIE LOTNICZE

LOT

KRAJOWA PAŃSTWOWA KOMUNIKACJA
SAMOCHODOWA

POLSKIE LINIE LOTNICZE LOT

U R U C H A M I A J A

CODZIENNE

▲ AUTOBUSOWE POŁĄCZENIE EXPRESSOWE ▲

na trasie

Łódź — Międzynarodowy Port Lotniczy Okęcie w Warszawie.

- * Odjazdy autobusów z Dworca Łódź — Fabryczna o godz. 4.00 i 11.00.
- * Odjazdy z Portu Lotniczego Okęcie, godz. 8.00 i 21.00.

Autobusy z dworca autobusowego Łódź-Fabryczna będą odprawiane ze stowiska nr 9 (podstawienie 30 minut przed odjazdem). Koszt przejazdu 1.800 zł. Przewóz bagażu bezpłatny.

Bilety do portu i z powrotem nabywać można w Biurze Rezerwacji i Sprzedaży PLL LOT Łódź, ul. Piotrkowska 122.

W miarę wolnych miejsc bilet na przejazd będzie można nabyć u kierowcy. Serdecznie zapraszamy.

3267/K

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

W SPRAWIE LOSU LUDNOŚCI GETTA ŁÓDZKIEGO

W numerze 44 „Odgłosów” z 29.X. 1988 r. w związku z fragmentem mojej książki poświęconej gettu łódzkiemu, wypowiada się W. Afelt o osobie Mordechaja Rumkowskiego. Nie zamierzam wszczynać sporu na ten temat, tym bardziej, że, jak się wydaje, W. Afelt zabiera głos w sprawach mało sobie znanych, o czym świadczy następujący fragment jego listu:

„Nie bardzo wiem, na jakiej podstawie A. Mostowicz pisze, że „z getta łódzkiego pozostało przecież przy życiu kilkanaście tysięcy Żydów” skoro 12500 ukradających się do wyzwolenia Łodzi J. Poznanski podaje na niecałe 800? Czyżby chodziło o jakieś grupy wywiezione z getta, których los się jednak nie doznał, a jeśli tak, to jakie grupy i dokąd wywiezione?”

Wyjaśniam:

Owych 800 osób Niemcy pozostawili na terenie getta dla celów porządkowych. Chodziło o zabezpieczenie dobytku pozostawionego w mieszkaniach i resortach. I ta grupa wyzwolona została z chwilą wkroczenia do Łodzi wojsk radzieckich. Z getta do Oświęcimia wywieziono około 67–68 tysięcy ludzi. To, że wywieziono ich do Oświęcimia, a nie do Chelmina, było dla wielu tysięcy ratunkiem. Początkowo istniał plan likwidacji całego getta w komorach gazowych Chelmina. Był to projekt Himmlera, któremu przeciwstawił się Goering, chcąc wykorzystać część ludności żydowskiej do pracy w Niemczech.

W Oświęcimiu, podczas selekcji, ocalała od gazu co najmniej połowa wysiedlonych, tak, jak ja właśnie. To, że taka liczba Żydów ocalała z selekcji Mengelego było nie tylko wynikiem zapotrzebowania Niemców na ręce do pracy. Było także wynikiem faktu, że w getcie łódzkim po wszystkich deportacjach, wywózkach, epidemiach i głodzie pozostali przy życiu tylko ci, którzy nadawali się do jakiejś pracy. W Chelminie nie ocalałby oczywiście nikt.

Z owych, powiedzmy trzydziestu tysięcy, którzy przeszli przez oświęcimską selekcję, duża część zginęła w innych obozach, podczas ewakuacji czy nawet bombardowań. Ocalała z łódzkiego getta, jak to napisałem, kilkanaście tysięcy Żydów. Potwierdza to wszystkie dane mi badani. Istnieje w Nowym Jorku organizacja o nazwie Komitet Żydów Ocalałych z Getta Łódzkiego. Według danych tej organizacji z 1984 roku, z Żydów łódzkich (to znaczy z getta łódzkiego) przeżyło dwadzieścia tysięcy ludzi. Cyfra ta wydaje mi się raczej zaniżona niż zawyżona, gdyż rozproszony powojennie uratowanych z masakr Żydów uniemożliwiało ustalenie dokładnych liczb. Faktem jest, że Żydzi łódzcy, chociażby w Izraelu, stanowią największy odsetek wśród tych, którzy ocalili z holocaustu. Można by zaryzykować twierdzenie, że z łódzkiego getta ocalało tylu Żydów, ilu z wszystkich pozostałych na terenie Polski, gett. Straszliwa to statystyka, ale skoro istnieją wątpliwości...

ARNOLD MOSTOWICZ

LISTÓW W SPRAWIE METOD PEDAGOGICZNYCH STOSOWANYCH W XXIX LO CIĄG DALSZY

W „Odgłosach” drukowaliśmy materiały dotyczące XXIX Liceum Ogólnokształcącego.

Jak dotąd władze oświatowe nie zajęły w tej sprawie stanowiska, publikujemy więc obszerniejsze fragmenty niektórych listów, jakie nadeszły do redakcji.

Z przykrym zdziwieniem przeczytałam list grupy byłych i aktualnych uczniów pani prof. Elżbiety Frydrych, w którym starają się przedstawić pana dyrektora w pięknych barwach i przy okazji na siłę wybielić postać. (...)

W liście skierowanym do „Odgłosów” wspomniana grupa młodzieży absolutnie nie ustosunkowała się do zarzutów matki Agnieszki i matki „Ewy”, a zarzuty te były bardzo poważne i mocno obciążały zarówno pana dyrektora jak i panią profesor. Nie przypuszczam, aby kilkoletnie z moich młodszych kolegów chciał znaleźć się w sytuacji Agnieszki i „Ewy” (...)

Z „Ewą” chodziłam do jednej klasy i wielokrotnie widziałam, jak starała się przezwyciężyć swoją chorobę i ile wysiłku kosztowało ją dobre przygotowanie się do matury.

Znałam również Agnieszkę, aczkolwiek była w innej klasie młodszej. Nie przedstawiała sobą okazu zdrowia. W klasie maturalnej wystąpiła groźba utraty wzroku. Agnieszka musiała zdawać sobie sprawę, że jej życie i przyszłość rysują się w jakiejś ciemnych barwach. Może nad tym dramatem koleżanki zastanawia się mój młodszy koleś, autorzy listu, a zwłaszcza zapobiegliwa koleżanka, która była pupilką pana dyrektora i pani prof. Frydrych, (fakt powszechnie znany). Jestem absolutnie przekonana, że chorej „Ewie” i Agnieszce wyrządzone straszliwe krzywdy i wady oświatowe powinny te krzywdy rekompensować. Tego wymaga elementarna sprawiedliwość.

A teraz o mnie i o pani prof. Frydrych. I NA MNIE WYMUSZONO RYZYKONACIE ZE ZDAWANIA MATURY, uczyniła to wyżej wymieniona profesorka Jaka była uczennicą? Może o tym zaświadczyć moje świadectwo z klasy czwartej. Otrzymałam cztery oceny dostateczne, pozostałe stopnie były dobre. A więc taka kiepska uczennica nie byłam.

Mama prowadzi prywatny zakład, w którym ciężko pracuje. Tata nie żyje.

Do półrocznej klasy maturalnej nie miałam problemów z PNOS-em u pani prof. Frydrych (uczyła naszą klasę tylko tego przedmiotu), ale w drugim okresie (2,5 miesiąca) nagle pani profesor zasowywała mnie ocenami niedostatecznymi, podobnie jak Agnieszka (ta sama metoda). Nie pomagały długie godziny uczenia się, nie przespane noce, wbijanie podręcznika na pamięć (pani wymagała głównie opanowania pamięciowego); im lepiej opanowałam materiał, tym było gorzej. W pewnym momencie byłam zdeorientowana, skąd i dlaczego ta nagła zmiana stosunku pani profesor do mnie? Stojącowa uświadomiłam sobie, Dobiło mnie oświadczenie pani prof. Frydrych, która z złym spokojem powiedziała mi, że na koniec roku postawi mi dwójkę z PNOS-u i będzie powtarzała czwartą klasę...

I oto rozwiązanie znalazło się i była to „propozycja nie do odrzucenia”, jeżeli zrezygnuję z matury, to otrzymam trójkę z PNOS-u i świadectwo ukończenia liceum. Znałam „stanowczość” pani prof. Frydrych, rachunek był więc prosty.

Interwencja u pana dyrektora wykluczona, egzamin tzw. komisyjny nie wchodził w rachubę, bo wynik był do przewidzenia, o ocenie decydowała pani Frydrych. Cóż, wybrałam rezygnację. Złożyłam pisemne oświadczenie w dyrekcji, poszłam do pani profesor i powiedziałam jej o powyższym. Uśmiechnęła się i od tej pory stawiała mi w dzienniku oceny dostateczne na koniec roku. W tym momencie była bardzo sympatyczna.

Wreszcie uświadomiłam sobie, jaka ja byłam niedomyślna. Przecież trzeba było znacznie wcześniej poprosić panią profesor o „wiadomą pomoc”. Wówczas miałabym maturę z głowy.

Straciłam rok, to dużo. Nadal jednak istniała szansa spokojnego zdania matury w następnym roku, gdybym chciała być operatywna. No tak, ale ja jestem trochę ambitna i moja godność mi na to nie pozwoliła. (...)

Przez rok pracowałam w zakładzie mojej mamy. Po długich godzinach pracy powtarzałam materiał do matury. Byłam bardzo zmęczona i koncentrowałam się głównie na PNOS-ie i historii (tych egzaminów najbardziej się bałam), na inne przedmioty nie miałam już wiele siły.

Do egzaminu dojrzałości przystąpiłam w bieżącym roku zdecydowanie słabiej przygotowana niż w roku poprzednim.

Pracę pisemną z języka polskiego i historii pisałam w jednej sali z Agnieszka. Na obu egzaminach siedziałam przy tym samym stoliku w bliskiej odległości od stołu Komisji. (...) Agnieszka często wycierała oczy. Nie, nie płakała, łzały jak to chore, zmęczone oczy. Nim przystąpiła do egzaminu, przeżyła przecież gehennę. Mimo to znalazła w sobie aż tyle siły, aby do tego egzaminu przystąpić. Podziwiam ją, mnie nie byłoby na to stać.

Na ustnym egzaminie z PNOS-u wyciągnęłam pytanie, o ironio losu: „Rola moralności w życiu społeczeństwa”. Temat znałam, starałam się więc, mimo ogromnej tremy, referować go. (...) W końcu pani profesor przestała dłużyć szpilki w zębach (autentyczne). Końcówce lodowate spojrzenie i... nareszcie po egzaminie. (...)

Podobna atmosfera panowała na egzaminie z historii. Tutaj także egzaminowała mnie pani Frydrych. W trakcie mojej odpowiedzi pani profesor głośno oświadczyła, iż „zdręmniałaby się”. Koleżanka „Ewa” usłyszała jeszcze ciekawsze powiedzenie „... kończ, bo w domu na mnie czeka pies, który może mi się zesz...”!

Uważam, że zaistniał właściwy czas, zwłaszcza dziś, aby sprawiedliwości stało się zadość i wierzę, że ona w pełni zwycięży i wynagrodzi krzywdę Agnieszki, i „Ewy” i wielu innym, a także panu profesorowi, który jako koronny świadek został ze szkoły usunięty. Pani profesor Elżbieta Frydrych wydarzenia te powinny unocznic całę zło, jakie wyrządziła młodzieży, pedagogom i szkole.

Podobna atmosfera panowała na egzaminie z historii. Tutaj także egzaminowała mnie pani Frydrych. W trakcie mojej odpowiedzi pani profesor głośno oświadczyła, iż „zdręmniałaby się”. Koleżanka „Ewa” usłyszała jeszcze ciekawsze powiedzenie „... kończ, bo w domu na mnie czeka pies, który może mi się zesz...”!

(nazwisko i imię znane redakcji).

Absolwenci i uczniowie XXIX LO; autorzy listu opublikowanego w 40 numerze „Odgłosów” starają się za wszelką cenę postawić prof. Krzysztofa Jakubca i prof. Elżbietę Frydrych w bardzo pozytywnym świetle. Skłonna jestem sądzić, że większość z nich, to uczniowie klasy IVb — prowadzonej przez dwa lata przez pana Jakubca, a potem przez panią Frydrych.

Autorzy listu piszą: „Pani prof. Frydrych jest zwolenniczką nie- co innych metod wychowania”. Czy te „inne metody” to mowienie uczniom, że „lepiej byłoby kamienie ciosać, niż was uczyć”? Ciekawi mnie, czy kl. IVb choć raz usłyszała, że są głuszy od nas pani profesor? My usłyszeliśmy, mimo że nie byliśmy zia klasą.

Nasze klópoty z historią rozpoczęły się od chwili, kiedy w połowie trzeciej klasy zaczęła nas uczyć p. prof. Frydrych. Pani profesor za wszelką cenę „starała się udowodnić, że poprzedni nauczyciele niczego nas nie nauczyli.”

Nie zaprzeczam i nie neguję faktu, że działalność p. prof. Jakubca jest wszechstronna. Wspaniałym jest harcerzem. Powinien być osobą przede wszystkim bezstronną i sprawiedliwą. Dlaczego jednak pozwolił, aby niektórzy uczniowie z kl. IVb już w marcu br. głośno chwalić się, że wszyscy w ich klasie zostaną dopuszczeni do matury bez żadnych problemów; w naszej klasie toczyły się w tym samym czasie ostre „boje” o każdą pozytywną ocenę?

Dlaczego pan dyrektor pozwolił, aby pani Frydrych mówiła nam, że: „wy zobaczycie maturę jak...” (znane powiedzenie: jak świnia niebo). Czy takie gorzkie i ostre słowa słyszała klasa IVb? Na pewno nie!

Pisząc o pani Frydrych, autorzy listu powiedzieli, że nauczyła ich „samodzielności, sprawiedliwości i zaradności życiowej”. Odnoszę przykre wrażenie, że ta sprawiedliwość jest bardzo fałszywa, a zaradność życiowa dotyczyła dobrego „ustawienia” się w XXIX LO.

ABSOLWENTKA XXIX LO.
(imie i nazwisko znane redakcji)

(...) Trzydziestu (chyba przypadkowych) uczniów i absolwentów ujawnia świetlane postacie; wyszczególniając wszelkie zaślugi zaatakowanych pedagogów. Co najmniej śmieszne. Bo czy znajdzie się trzydziestka takich, którzy zaryzykują maturą i ujawnia prawdę? (...)

Szkolę dla nas, i chyba dla idealistów z XXIX LO jest to, że wyjaśnienia do redakcji nie wysłał Samorząd Uczniowski. Jeżeli dyrekcja zaryzykowała zbierać sobie „publikę” wśród młodzieży, to czemu nie postawiono sprawy jawnie, oficjalnie? Przecież wszyscy wiedzą, że praca nauczycieli oceniana jest w sferze etyki zawodowej i trudno udowodnić „świństewka”, bo koszt tego są niewspółmierne do satysfakcji.

W liście do redakcji postawa nauczycielki wobec uczniów okrzestiona jest dość enigmatycznie, podczas gdy wiadomo pow-metodyki „nauczania pokrywa patologiczną pseudodyscypliną i złościwością.

Nie wiemy i nie chcemy oceniać, na ile dyrektor sankcjonuje antywychowawcze metody Pani F. Należy mniemać, iż listy pisał uczniowie z klasy mat-fiz., którzy w roku 87/88 zrobili maturę. Była to klasa emocjonalnie związana z dyrektorem i wychowawczynią poprzez harcerstwo. Należałoby zbadać opinie klas humanistycznych na temat całej sprawy. (...)

M.M.

ZAJŚCIE NA KRAŃCÓWCE

Podczas dyżuru reporterskiego 6 października 1988 r. zadzwoniła do nas jedna z Czytelniczek — zastrzegły sobie nazwisko i adres do wiadomości redakcji — przedstawiła zajście, jakie miało miejsce 3.X. 1988 r. na przystanku krańcowym (albo początkującym, jak kto woli) przy ul. Obywatelskiej. Chodziło o to, że do autobusu linii 55 (numer wozu 4597) wsiadły dwie starsze panie, jedna pomogła drugiej zająć miejsce w fotelu i chciała wysiąść w chwili, gdy autobus miał odjechać. Wówczas, jak donosiła nasza Czytelniczka, kierowca obrzucił starszą panią brzydkim epitetem, wypuścił ją z wozu i odjechał.

Informacja o zajściu ukazała się w „Odgłosach” nr 42, z datą 15.X. 1988 r.

11 listopada zgłosił się do redakcji kierowca autobusu. Stwierdził, iż informacja podana przez Czytelniczkę była niegodna z prawdą, a jej ogłoszenie w „Odgłosach” przysporzyło mu kłopotów, naraziło na straty i przykrości. Następnie kierowca przedstawił własną wersję zdarzenia. Publikujemy ją na jego prośbę, nie pomijając zwrotów drastycznych.

Otóż owego dnia, gdy z krańcówki odjechał autobus, jego miejsce zajął nasz kierowca ze swoim wozem i zabrał się do spożywania posiłku, na który miał zgodnie z przepisami 15 minut czasu. Ponieważ punkt ten wyznaczono na posiłki dla kierowców niedawno, ludzie się denerwowali, ktoś nawet podszedł, obejrzał zamknięty autobus i wrócił na przystanek. Kierowca skończył spokojnie posiłek, podjechał pod przystanek, otworzył drzwi i pasażerowie wsiadli. Kierowca spojrzął w lusterko zewnętrzne, czy ktoś nie biegnie do autobusu, zamknął drzwi i

chciał odjechać. Wtedy rozległ się krzyk kobiety, która chciała wysiąść. Kierowca ponownie otworzył wszystkie drzwi, kobieta wysiadła i po zamknięciu drzwi autobus ruszył. Wówczas jeden z pasażerów, mężczyzna w podeszłym wieku, zaczął wykrzykiwać uwagi krytyczne pod adresem MPK, nazywając kierowców nymusami, którzy najpierw stoją i stoją, a potem się śpię-sza. Powiedział dosłownie:

— Ja się tym skurwysynom dobiore do skóry. Zrobię porządek z tym burdelem.

Starszy pan zlorzezył przez kilka resztańków, zapisywał coś, a gdy wysiadł, także coś zapisywał. Reszta pasażerów milczała.

Kierowca był mocno zdenerwowany. Nie pomyślał, że ktoś zechce wysiąść na początkującym przystanku, bo to się raczej nie zdarza. Nikt nie poprosił go, że chce wysiąść. Było to o tyle niebezpieczne, że mógł tę kobietę przytrzasnąć drzwiami i wyrzucić jej krzywdę. Słyszac okrzyki wznoszone przez pasażera zdenerwowanego się jeszcze bardziej i powiedział, także dosłownie: — Kurwa mać, co za wsiadanie i wysiadanie!

Jak z tego widać, nie był to epitet skierowany pod adresem starszej pani. Telefon podczas dyżuru reporterskiego funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Zawierzyliśmy Czytelniczkę, nie zamierzając obrażać kierowcy, który ma prawo przedstawić własną wersję zajścia. Aby więc sprawę wyjaśnić do końca, prosimy Czytelniczkę, która podała nam informacje o zdarzeniu na krańcówce przy Obywatelskiej, o kontakt z redakcją. Nie wymieniamy jej nazwiska ani nazwiska kierowcy. Szczegółowość, w środkach masowej komunikacji, dobre obyczaje już dość dawno umarły, o czym świadczy zacytowane wyżej zwroty i wyrażenia.

RYSZARD BINKOWSKI

KTO ZNISZCZYŁ MOJĄ WYKŁADZINĘ?

Na początku września 1988 roku będąc w Berlinie Zachodnim kupiłem wykładową dywanową 3,5x5 m i PCV 2x2 m. Towar tam raczej pospolity, u nas nie do zdobycia nawet w sklepach „Pewexu”. Po udanych zakupach, nie bez przygód, udało mi się wreszcie odnaleźć w tym ogromnym mieście miejsce, z którego to moje „cudo” odprowadziłem przez celników, zwalone i do- kładnie (pod nadzorem pracownika stacji wysyłkowej) opakowane ruszyło do Polski. Ja również. Było to 2 września 1988 r.

Od tego czasu minęły 4 tygodnie. W Hartwigu o przesyłce nie wiedzieli. Przedsiębiorstwo Spedycji Krajowej podobnie. Z garści sprzecznych informacji wynikało jedno — jeżeli natych-miast nie ruszę, by odnieść przesyłkę gdzieś w Polsce, to być może nie ujrze jej już nigdy.

Z Łodzi do Rzepina pożyczonym samochodem na komercyjnej benzynie dojechałem w miarę szybko. Tu był pierwszy ślad — paczka była, ale kilka dni wcześniej pojechała dalej. Uprzejma pani podała mi numer wagonu, który powinien być w Krotoszynie. W Krotoszynie wagonu nie było. Pojechał do Łodzi.

Następnego dnia, jako jeden z pierwszych przekroczyłem progi biura Hartwig w Łodzi. Przed biurkiem miarowo, cicho, kiwał taksówką bagażowej. Chwila niepewności i radość, kiedy okazało się, że jest mój wymarzony, jasniuteńki, delikatnie nakrapiany. Szybko wszystkie formalności celne i do magazynu. To co zobaczyłem...

Spisano protokół reklamacyjny — „... dziurzy w obu wykładowych, liczne przetarcia, czarne zacieki i zabrudzenia na całej powierzchni wykładowej dywanowej, zagniecioną na kani i podziurawioną wykładową PCV, przesyłka bezprawnie otwarta w trakcie transportu i niewłaściwie przepakowana...”. W protokole sugeruje się jakoby „stopień zniszczenia wskazywał na długotrwały okres użytkowania”, wspomina się też o złym sposobie opakowania, itd. itp. Ani słowa, ani wzmianki o winie przewoźnika.

W majestacie prawa przedsiębiorstwo, które podejmuje się dostarczyć naszą własność do domu, najpierw ją niszczy, potem zaś każe czekać pół roku na wynik postępowania reklamacyjnego i gdy to zostanie uznane, oddaje równowartość towaru przeliczając wartość dolara na złotówki po kursie państwowym. Tym najniższym z kilkunastu oficjalnych, który tak się ma do kursu realnego (cena kupna bonu w banku) jak w przybliżeniu 1:4. Pytam się więc, gdzie jest reszta moich pieniędzy? Gdzie są winni takiego stanu rzeczy i kto wymyślił takie prawo?

TOMASZ LEWIŃSKI

DLA KOGO PAPIEROSY?

W Pałacu Młodzieży im. Juliana Tuwima w Łodzi mieści się kawiarnia: dla niepalących!!! Ale wybór w bufecie papierosów jest taki jak w żadnym kiosku „Ruchu” — 12 gatunków! Niech młodzież ma wybór (instruktorzy i rodzice nie są, mam nadzieję, głównymi adresatami usług Pałacu).

W tejże kawiarni lemoniade, oranżady i inne zimne płyny pije się z butelek. Na prośbę o szklankę, usłyszałem w odpowiedzi: „u nas do napojów szklankę się nie podaje”. Dzieci nie mają wyboru — muszą uczyć się od starszych braku kultury i złego wychowania.

J.J.

REDAKCJA — CZYTELNICZY

JANUSZ CHMIELEWSKI, Łódź. Andrzej Makowiecki przebywa teraz gdzieś w rejonie równika w pobliżu Afryki. List panna przekazała nam żona A. Makowieckiego. Z powodu nieobecności, nie może się z panem skomunikować.

JAN WIŚNIEWSKI, Łódź. Z wielu rzymskich mądrości korzystamy do dziś. Jedną z nich głosi, że o gustach nie należy dyskutować. Komuś podoba się matka, innemu córka, a jeszcze innemu — ciotka. Podobnie jest z literaturą: różni ludzie lubią różne gatunki literatury. Z różnych przyczyn powodów. Czasami człowiek ma ochotę na wstrząsający dramat, a czasami chciałby się pośmiać. Mimo wszystko, żeby chcieć coś powiedzieć o dziele literackim, trzeba mieć coś więcej do powiedzenia niż parę dowcipów. Z powyżej przedstawionych powodów z nadesłanego przez pana listu nie skorzystam.

REDAKTOR DYŻURNY

Ubezpieczenia na życie

to doskonała forma długoterminowego docelowego oszczędzania



Każdy wybrać może najbardziej odpowiedni wariant ubezpieczenia, zależnie od sytuacji rodzinnej i własnych zainteresowań.

* DOŻYWOTNIE UBEZPIECZENIE NA WYPADEK ŚMIERCI —

przeznaczone dla osób dorosłych. Umówiona suma ubezpieczenia płatna w razie śmierci — składka zależna od wieku ubezpieczonego, od okresu płatności oraz stanu zdrowia.

* MIESZANE UBEZPIECZENIE NA WYPADEK ŚMIERCI I DOŻYCIA.

Suma ubezpieczenia płatna po dożyciu umówionego wieku lub w każdym przypadku w razie wcześniejszej śmierci. Składka zależna od wieku wstępu ubezpieczonego oraz od stanu zdrowia.

* UBEZPIECZENIA ZAOPATRZENIA DZIECI (POSAGOWE)

Suma ubezpieczenia płatna do rąk dziecka po jego dojściu do pełnoletności, jako jednorazowe świadczenie (posag) lub w formie renty stypendialnej.

— występuje kilka wariantów ubezpieczenia w zależności od tego czy ubezpieczenie zawierają: ojciec, matka, czy oboje rodzice, względnie czy ubezpieczenie pragną zawrzeć inne osoby, aby w tej formie ubezpieczyć dziecko.

Wstępując do Inspektoratu PZU lub w kontakcie z pośrednikiem ubezpieczeniowym możesz wybrać najbardziej korzystny dla dziecka wariant ubezpieczenia.

UWAGA!

— Ze względu na długoterminowość ubezpieczeń na życie, mając na uwadze zmianę wartości pieniądza, wszystkie świadczenia wypłacane zgodnie z zawartą umową, ulegałyby podwyższeniu sum: o 25—30 proc. rocznie, w zależności od rodzaju i wariantu ubezpieczenia.

PAMIĘTAJ ŻE:

- ubezpieczenie na życie w PAŃSTWOWYM ZAKŁADZIE UBEZPIECZEŃ to zaopatrzenie rodziny lub ułatwienie życiowego startu dziecka.
- czym młodszy wiek dziecka i ubezpieczonego tym wyższe świadczenie, przy znacznie niższej składce.

PAŃSTWOWY ZAKŁAD
UBEZPIECZEŃ
ODDZIAŁ WOJEWÓDZKI
W ŁODZI

2960/K

POLONIT

ZAKŁADY USZCZELNIEŃ I WYROBÓW

AZBESTOWYCH

„P O L O N I T”

ul. Rewolucji 1905 r. nr 52
90-213 Łódź

Telefony: Centrala 32-50-14 do 19
Dział Techniczno-Produkcyjny 33-51-82
Telex: 886773 azbe pl

O F E R U J A

BEZAZBESTOWE
SZNURY TERMOIZOLACYJNE CSA

z ciętych włókien szklanych,
w oplocie z jedwabiu szklanego.

Dane techniczne:

- produkowane średnice ϕ 30 i ϕ 40 mm
- odporność termiczna do 450 st. C.
- współczynnik przewodzenia ciepła: ok. 0,07 W/mK. 3265/K

Instytut Innowacyjno-Wdrożeniowy

INCOM

Spółka z o.o. (j.g.u.), 90-047 Łódź, pl. Zwycięstwa 13
tel. 74-24-28, 74-30-38

O F E R U J E:

- * FILTRY SZCZELINOWE do studni głębinowych z rur PCW, o średnicach ϕ 160, ϕ 225, ϕ 280, ϕ 315

oraz

U S Ł U G I

w zakresie:

- * REKONSTRUKCJI STUDNI GŁĘBINOWYCH
- * BADAŃ STUDNI (badanie wydajności, sonda telewizyjna)
- * BADAŃ WODY, OPERATÓW WODNO-PRAWNYCH
- * ODWIERTÓW NOWYCH OTWORÓW
- * GEOLOGII INŻYNIERSKIEJ.

3266/K

Czy przyjmiesz zakład o swoje życie? WESTA chętnie podejmie to ryzyko!

„DROGA ŻYCIA” to rzeczywiście ubezpieczenie życia, bo inne ubezpieczenie jest dla rodziny tylko zyskiem z twojej śmierci.

„DROGA ŻYCIA” pozwala osobie chorej lub poszkodowanej otrzymać pieniądze wtedy, kiedy mogą mu być najbardziej potrzebne.

„DROGA ŻYCIA” może pomóc rodzinie przy często katastrofalnej porażce, która towarzyszy poniższym problemom medycznym takim jak:

- zawał mięśnia sercowego
- wylew krwi do mózgu
- stwierdzenie nowotworu złośliwego
- stwierdzenie zespołu braku odporności
- postępująca choroba martwicza np. Burger
- transplantacja organów
- usunięcie jednego z organów podwójnych (nerki, płuca, oka)
- usunięcie części organów płciowych (w wieku do 50 lat)
- amputacja co najmniej jednej kończyny.

Ubezpieczenie zawiera się na okres 5, 10, 15, 20 i 25-letni po uzyskaniu informacji ankietowej i zapewnieniu, że przyjęte do ubezpieczenia ryzyka jeszcze nie zaszyły.

Ubezpieczenie obejmuje dwa świadczenia:

- 1) świadczenie płatne ubezpieczonemu, gdy zajdą wyżej wymienione zdarzenia określone w umowie ubezpieczeniowej — 50 proc. sumy ubezpieczenia,
- 2) świadczenia płatne uprawnionemu — to znaczy gdy w okresie ubezpieczenia ubezpieczony umrze — druga część sumy ubezpieczenia.

NIE ZWLEKAJ, POMYŚL O PRZYSZŁOŚCI SWOJEJ I SWOICH BLISKICH!

Prawa autorskie ubezpieczenia zastrzeżone. Blisze informacje otrzymasz w przedstawicielstwach „WESTY”:

- Rawa Mazowiecka, ul. Polna 8, tel. 44-26
- Sieradz, ul. Polna 17/13, tel. 54-99
- Bełchatów, osiedle Tysiąclecia, blok 7 m. 54, tel. 48-69-05
- Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

CZECZAMY NA CIEBIE!

3264/K



Przedwojenny „Express”, chociaż miał w tytule „Ilustrowany” mało zamieszczał ilustracji. U góry pierwszej strony — głowy zagranicznych i krajowych mężów stanu, polityków, z dwu-, trzywierszową informacją, kto zajął wewnątrz gazety od czasu do czasu mniej statyczne zdjęcia sportowców o światowej sławie, przeważnie bokserów (Carpentier, Dempsey, Tunney, Schmelling), ewentualnie pozujały w świetle jupiterów divy filmowe, jakies zabytke architektoniczne stolic europejskich. Aktualne zdjęcie z życia Łodzi dawało tyle, co kot napłakał. Chyba, że miała miejsce jakaś specjalna gala lub wydarzyło się coś mroźnego krew w żyłach.

Dostawca lokalnych fotografii dla „Expressu” i naszej porannej „Republiki” był Michał Śpiewak, postać barwna, wtopiona w koloryt ówczesnego miasta. Był właśnie dostawcą, a nie pracownikiem, jakby to się dziś nazywało — etatowym. Nie miał urlopow, nie przysługiwało mu prawo do korzystania z usług Ubezpieczalni Społecznej. Fotografie wykonywał na własne ryzyko, własnym aparatem, za ciemnię służył mu kąpielowy we wspólnym mieszkaniu, odbitki fotograficzne kąpał w wysłużonej wannie.

Bogate wydawnictwo, zatrudniające tylko w samych redakcjach kilkadziesiąt osób, nie mogło się jakoś zdobyć na stałą pensję dla pana Michała. Tak samo zresztą jak dla dwójki reporterów — Ireny Weiss i mnie. Języczna sytuacja była jeszcze gorsza niż nasza. Bo gdy ja i Weissowa mieliśmy lepsze okresy, gdy z wypisywanych codziennie kawałków uzbierało się coś pod koniec miesiąca, pan Michał miewał okresy zle i bardzo zle.

Traktowano go w redakcji jak natręta, wybrzydzonego na wszystko, szkanowano biednego fotoreportera, zamiast mu pomóc jakąś radą, wskazówkami.

Najgorzej było z podziałami. Śpiewak słabo władał polskim, prosił więc kolejno kogoś z nas o zredagowanie tekstu pod fotografię.

Z zamierzchłej przeszłości.

„Pan redaktor to taki dziwela?”

— Tylko niech to będzie a la coś — nalegał. — Pan redaktor Polak to taki dziwela, nie go się nie spodoba.

Gdy jego konkurent Koss, też wolny strzelec, coraz częściej odwiedzał gabinet redaktora, pan Michał wpadał w furę.

— Un nie ma prawa fotografować! Niech najpierw pokaże papierów!

W codziennym walce o kawałek chleba potrafił być dokuczliwy. Bezustannie nachodził redaktora Polaka, a gdy ten bezceremonialnie wyrzucał go za drzwi, płakał i przytłoczony niepowodzeniem, z poczuciem wyrządzonej mu krzywdy, włożył się na miasto szukać innych, ciekawszych tematów. Wysoki, o sepm nosie, zgarbiony, z długimi, wykręconymi reumatyzmem palcami, szczerbami na kciokach, zawsze był pierwszy tam, gdzie coś się wydarzyło. Jak to robił, nikt nie wiedział. Nie miał przecież żadnych kontaktów, do nikogo nie telefonował, z nikim się nie spotykał, wiodł życie odludka, a jednak psim swędem trafiał gdzie i kiedy trzeba.

— Pan mi da podpisu pod te katastrofe tramwajową. I niech pan napisze, że kogoś przejechało na śmierć.

— Przecież nie było ofiar w ludziach.

— Co pana szkodzi napisać, że byli? Dla pana to jeszcze dwa słowa, a dla mnie kilka złotych.

Podobny był z twarzy do cesarza Abisynii, Hajle Sellasiego. Duże, migdałowe oczy, wschodnie rysy, smutny, zamysłony wzrok. Tylko gdy skronie Negusa Negestiego, Króla Królów, zobliła złota korona, pan Michał dzwigał cierniową...

Bywało, że los uśmiechał się do niego. To runął dom na Batutach, grzebiąc pod zwalami gruzu kilkanaście osób, to tego samego dnia facet zarządził w pijanym widzie kochankę, a pastwą płomieni padł dom mieszkalny i kilkadziesiąt rodzin zostało bez dachu nad głową. Do gazety szło wtedy kilka zdjęć i poczytywał fotoreporter promieniał. W takich chwilach zapominał o codziennych kłopotach, troska spływała mu z twarzy, z natury mało-mówny, ożywał się.

— Niech panowie nie myślą, że ja zawsze byłem taki szmon-dak — zwierzał się. — Jak mój tata prowadził interesu na Nowowiejskiej, to bieda nie chadzała w pierogi naszego domu. Nie martwiłem się o mule. Nosilem eleganckich ubranek, chodziłem na dąsingu i wyglądałem jak młody, jak młody... — zmarszczył na czoło świadcząc, że uporczywie szuka właściwego określenia. I wreszcie je znalazł: — Wyglądałem jak ten młody dyndak!

Znikoma wierszówka nie starczała mi na życie. Dorabiałem układaniem krzyżówek do dwóch wydawanych przez nas tygodników: „Co Tydzień Powieść” i „Panorama”. Kiedyś pan Michał zastał mnie przy tej twórczej pracy. Popatrzył na moziłnie wypełniane kratki.

— A rebusa nie możesz pan dać zamiast te krzyżówki?

— Rebus wymaga rysunku, a ja nie potrafię rysować.

— Po co zaraz rysować?

Usiadł przy sąsiednim biurku i coś nagryzmolił na kartce papieru.

— Tu pan masz ode mnie gratis rebusa. To dla kobiet. Ale mezczyznym też będzie zadawanie.

Na kartelusku widniały tajemnicze litery i cyfry. 3 Maj PPP 100 100 100.

— Co to jest? Trzeci maj... Nie rozumiem...

— Us, taki mądry przyje, chodź do prawdziwej szkoły i nie rozumie. Trzeci maj trze-pa trze-stol!

Rebusu oczywiście nie dałem (kto by mi to wtedy puścił?), ale sprzedawałem go kolegom i zapamiętałem do dziś.

Moja konkurentka, zgrabna, ponętna, kipiąca życiem, Irena Weiss, postanowiła rozwieść się ze swym mężem, Antkiem, zahukany, mikrym, mało atrakcyjnym depeszowcem „Republiki”.

Pierwszy z ta nowina przybiegił Śpiewak.

— Państwo już wie?

— Co się stało?

— Jak to co? Weiss się rozchodzi z Weissowem. Una mówi, że między nimi jest za duża różnica co do płci!

Nikt tak pięknie nie kochał języka jak on. Dopiero po dwudziestu latach spotkałem człowieka, który o głowie przerósł pana Michała, chociaż wzrostem sięgałby mu zaledwie do ramienia. Ale to historia osadzona w innych realiach, zresztą już napisanym o tym w „Odciskach”.

ADAM OCHOCKI

NR 48 (1600), 27 LISTOPADA 1988 R.

1 Lewym okiem Z arbuzem nad głową

Nie wiem, czy jest to autentyczna potrzeba młodzieży, czyli ludzi pomiędzy czternastym a trzydziestym rokiem życia, czy też to my, stare konie, tak wymówiliśmy sobie i im, że najważniejszym elementem otaczającego nas świata, wręcz otaczającego nas powietrza, jest piosenka w jej najbardziej ekstremistycznej — nowoczesnym, kształcie. Piosenka jest tak strasznie ważna, wciąż, wszędzie, zawsze, że nawet krótki kwadrans Teleexpressu nie może się bez niej obyć i biedni redaktorzy muszą czytać swe teksty w oszalałym tempie, takim, że poszczególne słowa uchodzą uwagi, jak szprychy w szybko obracającym się rowerowym kole. Muszą tak czytać po to, żeby zmieścić w swoim ekspresie jakże poważnego, a nawet jakby trochę złego, Marka Siemrockiego z jego hitami. Bez tych hitów młodzież nie wytrzymałaby piętnastu minut najważniejszych wiadomości ze świata.

Piosenki wypełniają 70 procent wszystkich czterech programów Polskiego Radia. Większa część z nich to właśnie te piosenki młodzieżowe, słuchane i w ogóle nadające się do słuchania wyłącznie przez młodzież, która upodobała sobie w halasie, ryku i szczekaniu metalem.

Teksty są tam tylko zupełnie blahym pretekstem. Tekstów się przecież nie słyszy, więc mogą być jakieś Mogą być, i są, nie tylko byle jakie, ale wręcz zenujaco prymitywne. Do pisania tekstów zabiera się każdy śpiewający zespół, bo to przecież podnosi im znakomicie zaikowe tantemy i dlatego słyszy się potem na przykład takie potworki, jak:

„Zakazany owoc ciągle krąży mi nad głową zakazany owoc marzeń ciemnych tabu”

Obraz owocu, na przykład arbuz, krążącego nad głową jest fatalny, a co to w ogóle jest: „owoc marzeń ciemnych tabu”? Co to, na Boga, jest?

To przecież są słowa piosenki, która zyskała wysoka lokatę w stałym plebiscycie Polskiego Radia. Czy naprawdę śpiewane słowa absolutnie się nie liczą i można tam pozwolić sobie na każdy wyglup? Co to jest:

„Agata, Agata na głowie salata a w głowie ta ta ta ta”

Przykładów można by przytaczać mnóstwo, ale ich nie notowałem, ale i takich na szczęście nie zostają. Na szczęście dla nas, a na pohybel oświecenia, ona powinna być właśnie zapamiętywalna i taką nuci się potem przez długie dziesiątki lat.

Tekściarze dawno już zauważyli, że bardzo łatwo jest napisać tekst, używając zamiast dwóch logicznych słów dużej ich ilości, jak największej. Na przykład: zamiast powiedzieć „ja wiem” (dwa słowa) — śpiewa się w piosence: „wierzę, że ja wiem” (cztery słowa). Wierzę, że ja wiem, to jest dobre, słowo daję wszystko ja” (dziesięć słów). Zamiast: „kocham cię” piosenkarz śpiewa: „muszę ci powiedzieć żebyś nie wiem co, ale muszę i żebyś mi uwierz, bo przecież nie mogę nie wierzyć, że naprawdę moja miła kocham ja cie”. Mnożnik może tu być dowolny, a czym większy, tym większe leżą tantiemy.

Najmieszniejsze jest przy tym, że to wszystko bierze się ze zwierzęcej wprost powaga. Redaktor zapytuje śpiewaczkę lub śpiewaka: „Jakie piosenki najchętniej śpiewasz?” (do śpiewaków mówi się zawsze per

ty, nie wiem dlaczego), a artysta odpowiada skromnie: „Najchętniej kreuję siebie w piosenkach z pogranicza metafizyki i dzisiejszej rzeczywistości, kiedy jestem pewna że moja osobowość wyrażam najpełniej” — i coś dalej w tym guście. Nikt nie śpiewa, każdy „służy ludziom swym śpiewem”, „daje ludziom wytchnienie w tych ciężkich czasach”, „pozwala ludziom oderwać się od nie wiem czego, no i o-czywiście kreuje własną osobowość”. Zadanie tych wypowiedzi jest już tak ogromne, że ciągle z lekkim oczekiwaniem nastąpi ogłaszające pęknięcie nadętego balona.

Oczywiście, jak w każdym innym czasie, mamy i teraz dużo pięknych piosenek, śpiewanych melodyjnych, nie pozabawionych wdzięku i dowcipu. Nie wiem dlaczego, że właśnie piosenki słyszy się rzadziej i prawie nigdy nie wchodzi one do pierwszej dziesiątki w cotygodniowych plebiscytach radiostłuchaczy. Słysz się je rzadziej, ale będzie się ich słuchać za dziesięć, dwadzieścia i pięćdziesiąt lat, tak jak dziś z przyjemnością słuchamy przebojów sprzed pół wieku.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Reklama

Jestem u znajomych. Nie wielki pokój z oknem, które wychodzi na podwórko — „studnię”. Na ścianie rozkwita grzyb, tworzy nawet dość ciekawą kompozycję. Włączony pęk elektryczny stoi na parapecie okna, by nie sięgnęło go baraszkujące po dywanio dziecko. Siedzący, trochę rozmawiamy, trochę wpatrujemy się w telewizję. I nagle wszelką rozmowę przerywa telewizyjna reklama najnowszych komputerów. Nie powiem, dość interesująca i zabawna. Po krótkiej chwili następna.

Dopijam herbatę, zegniam się z gospodarzami i wychodzę. Na klatce schodowej czuję charakterystyczny zapach uryny. Ze ścian całymi płatami odpadają tynk i pozostawia po sobie jakby zarysowane na mapie nowe lądy. Piętro niżej brak światła i w ciemności potykam się o bełkotającego coś pijanego człowieka. Próbuje go podnieść, ale on mówi, bym się odpięrdolił. Przeskakuję więc jeszcze kilka stopni i wychodzę na podwórko. W takich miejscach zawsze wydaje mi się, że ściany za chwilę zleją w dół.

Pada deszcz. Jestem na ulicy, brudne, mokre papierozy porzuciły się tu i ówdzie całymi stadami. Latarnie palą się tylko niektóre, jest ciemno i pusto, życie w mieście zamiera wraz z zamknięciem sklepów. Gdzieś tam tylko zgłębione pod parasolami przebiegają ostatnie postacie. Po bramach stoją grupki pijanych chłopców, lepiej nie wpaść im w oko, w kilku potrafią być niebezpieczni. Przed jedną z bram przewrócony kontener, śmieć rozsypany się na pół ulicy. Jakaś stara, ubrana w łachmany opadła grzebień w tej kupie odpadków. Od czasu do czasu podnosi coś i wkłada do przewieszzonej przez ramię szmacianej torby.

Przejeżdżający mercedes z dziury w asfalcie wyrzuca na chodnik strumień wody i znikają w ciemnej perspektywie ulicy mrugając na pożegnanie czerwonymi światłami jakby zupełnie z innego świata.

Na autobus czekam około dwudziestu minut. Wreszcie podjeżdża, wsładam. Na przegubie guma przecieka i woda leje się prawie ciurkiem. Tworze ludzi zmęczone, bez wyraźnego widać przedwczesne rysy starości. Nie brak także na jednym z miejsc pijanego śpiącego mężczyzny. Na szczęście nie mieszkam daleko. Na moim osiedlu część latarni wygaszona. W domu zrzucam z siebie przemoczony płaszcz i po chwili włączam telewizor. Na ekranie uśmiechnięta panienka puka w klawiaturę komputera i miłym głosem oznajmia, że tylko firma taka to i taka posiada najlepsze komputery, oczywiście po najniższych cenach.

Czy my przypadkiem od czasu do czasu nie próbujemy podłączyć silników odrzutowych do rozpadającego się dwupłata? A może właśnie tak trzeba, może w tym szaleństwie jest metoda? Bo jeśli komputery są przyszłością i cały świat od paru już lat idzie w tym kierunku, to i my musimy. Może jakimś przedziwnym zarządzeniem losu i komputerów okaze się, że nasze opóźnienie w stosunku do krajów Europy Zachodniej, najpierw zmniejszy się, a potem w ogóle przestanie istnieć. Ale wszystko to jest ciągle „może”, a od reklam komputerowych i samych komputerów jak na razie nie przeszkadza. Fakt jest, że przynajmniej niektóre reklamy mamy na poziomie europejskim. Lepsze to niż nic.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

3 Pod prąd Z wizytą

Legenda głosi, że król Kazimierz, Wielki zwanym, miał zmierzając czasem przebrać się w ubogie szaty i zmyliwszy strażę, z zamku wawelskiego cichcem się wymykać, po wsiach chodzić i z kmiotkami gadać, aby tym lepsza była jego wiedza o tym, co się w państwie dzieje i jak przez prosty lud królewskie rzędy są odbierane.

Legenda nie powstaje z niczego, w każdej tkwi jakieś ziarno — jeśli nawet nie prawdziwe, to przynajmniej tego, co ludzie za prawdę uważają by chcieli. Dowodzi to niezbicie, że już przed wiekami odczuwano potrzebę bezpośredniego dialogu między rządzącymi a rządzo-nymi, czego odbiciem jest właśnie owa opowieść o mądrym i szlachetnym królu Kazimierzu. Nawiasem mówiąc, opowieść wysnuta — zdaje się — wcale nie w XIV wieku, a trochę później, ale i tak nie zmienia to stanu rzeczy. Przy okazji — wdzięczny byłbym historykom za oświecenie mnie i czytelników, kiedy.

Kazimierzowe tradycje, choć legendarne, żyją do dzisiaj. I

może nawet dopiero dzisiaj znalazły najodpowiedniejszy grunt do prawdziwego rozkwitu, bo — jak donoszą przedkaskawie — przedstawiciele najwyższych władz naszego kraju raz po raz spotykają się z prostymi ludźmi — a to w jakiejś fabryce, a to gdzieś na wiejskiej drodze. Ba, zdarza się, że sam generał Wojciech Jaru-zelski wpadnie do kogoś nieproszony na herbatę — tyle że nie w przebraniu i bez obstawy, a — w asyście ekipy telewizyjnej. Ale mniejsza o te szczegóły. Ważne jest samo zjawisko. Co ciekawsze, znane nie tylko u nas, lecz również na przykład w Wielkiej Brytanii. Wiadomo bowiem, że Margaret Thatcher robi czasem zakupy i u siebie, choć nie ma pewności, czy i wtedy najbardziej interesują ją suszone grzyby i miód.

Czego nasi przywódcy oczekują po takich wizytach w „terenie” (często podkreśla się, że — niezapowiedzianych), trudno właściwie powiedzieć. Nie sądzę, iż chcieliby w ten sposób poznać — jak mawia pewien mój znajomy — prawdziwy obraz życia w Polsce, gdyż znaną o prawdę podobnie skądinąd. A jeśli nie znają, to gószcząc wśród „ludu” i tak nie mają chyba na to większych szans. Za mało czasu, za dużo dystansu. I to dystansu z obu stron.

Gdyby to do mnie wybrał się kiedyś generał Wojciech Jaru-zelski, czy premier Mieczysław F. Rakowski, na pewno nie opowiadałby mi o kulisach rozmów z Czechosłowacją i NRD na temat konieczności podjęcia wspólnych działań w kierunku ochrony środowiska, ani ja jemu — jak udał mi się ostatni handlowy wypad do Stambułu. Przypuszczam że spotkanie takie — obojętne czy w domu, czy przy redakcyjnym biurku — upłynęłoby raczej „w atmosferze wzajemnego zrozumienia”, a pożytek z niego dla obu stron byłby wątpliwy. Chyba, że północnokoreańskim zwycięzcom wmurowalibyśmy sobie potem tablicę pamiątkową i pokazywał ją wycieczkom.

Kilkanaście lat temu miałem okazję w jednym z łódzkich przedsiębiorstw obserwować przygotowania do wizyty — nie I sekretarza, czy premiera — a — jakiegoś wiceministra tylko. Co się tam działo? Co chwila ze zdumienia przecierałem oczy. Najogólniej mówiąc, dyrektorki chodzą o to, aby dostojny gość zobaczył wcale nie to, co jest, a co być powinno. I obiektywnie musimy przyznać, że to się udało.

Czy dziś jest inaczej? Wątpię. Każdy przed ważnym gościem chce się pokazać z jak najlepszej strony. Kiedy do mnie przyjeżdża czasem rodzin-ka z Ameryki, to też stawiam na stół szynkę i baleron, choć na co dzień żywię się głównie kaszanka „z blachy” i pastetowa-wa. Poza tym, chociaż zmienił się przywódcy, to dyrektorzy pozostają na ogół wciąż ci sami lub tacy sami. I dobrze wiedzą, co robić, aby gość do-wiedział się tylko to, co chce usłyszeć, a oni pozostali dalej na swoich stanowiskach. Inna rzecz, że pojawiają się inni „odmienicy”.

Do redakcji przychodzą całe sterty uroczystych zaproszeń na różne jubileusze, otwarcia, akademie, sympozja... Większość z nich wklejamy do pamiątkowego albumu i na tym się kończy, bo przyjmując wszystkie, nie mielibyśmy już ani chwili czasu na to, co w zawodzie dziennikarskim najważniejsza, czyli na pisanie. Zdarza się jednak, że nasza decyzja, iż sam lub ktoś z zespołu powinien jednak pójść tu czy tam. Dodaje przy tym zwykle:

— Nie musisz z tego nic pisać. Chodź tylko o to, abyś tam był.

No cóż, pańskie oko konia tupa.

JÓZEF RETMAN

ODGŁOSY 15

To powiedziawszy Dago wstał od stołu i to samo musiał uczynić książę Nitry. Porą była już późna, zapadła noc i Czesłoch odprowadził Svatopluka do jego namiotu.

— Czy wierzysz, Piastunie, w jego przysięgi? — zwróciła się Eponja do Dagona. — Ostrzegam cię, panie, że to urodzony zdrajca.

— Tak myślę — skinął głową Piastun. — Ale prawdą jest, że jeśli czuję obawę przed Visulanami, to jeszcze większą obawę odczuwam przed Wielką Morawą. Niech jeden wściekły pies rzuci się kiedyś na drugiego wściekłego psa.

Sprawdziły się słowa Eponji. Oto po niedługim czasie Svatopluk wspomagany przez Bawarów i margrabiego Karlomana wkroczył do Wielkiej Morawy, zdołał sobie zjednać zwolenników, schwycił swojego stryja, Rostislava i wydal go z Frankom na oślepienie oraz niewolę w klasztorze frankijskim. Następnie, tak jak to mu przepowiedział Dago, stał się niemal niewolnikiem Franków. Dlatego, gdy wraz z Karlomanem w końcu zdobył gród Dowa, nagle zdradził swego opiekuna, Karlomana, i wszystkie swoje siły zwrócił przeciw niemu i Bawarczykom, wypędzając Karlomana z Morawy i kraju Bohemów. Potem przez kilka lat ze Svatoplukiem był się cesarz Ludwik Teutoński, aż w końcu musiał, zmęczony chorobą i niepewnościami w wojnie, zawrzeć ze Svatoplukiem pokój. Znal bowiem Svatopluk sztukę rządzenia i wiedział, że przysięgi i przymierza bywają jak liście na drzewie. Dopóty żyją, dopóki odżywiane są przez płynące przez pień soki wzajemnych korzyści. Gdy soki przestają krążyć — przysięgi i przymierza stają się podobne do uschniętych liści, które wiatr porывa.

Złamał swoją przysięgę margrabia Karloman, gdy obiecał pomoc Svatoplukowi, bo ta pomoc okazała się potem niewola. Złamał więc Svatopluk przysięgę wobec Karlomana i przegnał go z Wielkiej Morawy. Łamanie przysięg przez władców było wtedy tak zwykłą sprawą, jak łamanie pątków na ognie. Dlatego tak ochoczo złożył Svatopluk przysięgę Piastunowi, nawet nie zastanawiając się, czy ją kiedykolwiek dotrzyma. Nie wierzył Dago w przysięgę Svatopluka, albowiem uczyła sztuka rządzenia, że tylko głupiec buduje swą władzę na przysięgach i przymierzach z innymi, a nie na własnej sile. Pozwolił jednak Svatoplukowi odjechać wolno w stronę Wrocławia i Bawarii, a nawet dał mu kilku Lestków do ochrony, gdyż bardzo pragnął rozpaść ogień na południu. Napisano w „Księdze Grzmotów i Byskawic”, że nie parzy ogień w cudzym domu; bywa, że na cudzym ogniu można upiec własną pieczeń.

Tego samego dnia Eponja powiadomiła Dagona, że oto może uczynić go długowiecznym, dopełnił się bowiem czas jego oczekiwania. Zgodnie z wyrażonym przez nią życzeniem wziął Dago z sobą tylko trzydziestu Lestków i młodego żrebaka. Prowadzony przez kapłankę ruszył ze swoim oddziałem w kierunku południowo-wschodnim, ku rysującym się w oddali wzgórzom, które zwano Sokolimi Górami. Były to wzgórza chyba z dziesięć, porośnięte karłowatymi wiśniami i wątlami sosenkami, słabo trzymającymi się skalnego podłoża, które raz po raz obnażało swą biel, ukazując skaliste zbocza, rumowiska głazów, ostre iglice kamienne. Jadąc przez wąskie doliny, gdzie stare buki i dęby zaczynały gubić liście, widzieli w zbożach gród czarne wejście do jaskini, prowadzących kto wie jak głęboko i kryjących kto wie jak straszliwe stworzy. Dzień był słoneczny i bezwietrzny, lecz chłodny — okolicie zalegała cisza przerywana jedynie krzykiem orłów i sokółów. Kolujących nad posuwającymi się jeźdźcami Lestkom Dagona zdawało się, że owe ogromne ptaki chcą ich wypłoszyć ze swoich siedzib lub swymi przenikliwymi głosami odstraszyć od dalszej drogi. Tylko Eponja zdawała się nie zwracać żadnej uwagi na krzyk ptaków i przez całą drogę bezgłośnie poruszała wargami, zapewne do jej tylko znanym bogom modłać się o długowieczność dla Dagona.

Około południa stanęli u stóp wysokiej góry tak samo jak inne, bielejącej wapiennymi skalami wśród pośłonek zieleni porastających ją traw i krzewów. Eponja wskazała żołnierzom rowowisko wielkich głazów i rozkazała zacząć je odrzucać na bok.

— Należeraj suchych galezi

na ognisko — poleciała Dagonowi.

A kiedy to uczynił, wydała następne polecenie:

— Utnij głowę żrebakowi.

Odrąbał Dago swym Tyrfin-giem łeb żrebaka, a wówczas żołnierze zobaczyli pod rumowiskiem głazów otwór, wiodący w głąb góry. Zanurzyła się w nim Eponja i po chwili wróciła niosąc dwie smolne galezie-pochodnie. Skrzesano ogień i zapalono je.

— Odejdźcie stąd, bo to co zobaczycie napelni was przerażeniem — powiedziała Eponja do żołnierzy Dagona. — Ty zaś, Piastunie weź z sobą uciętą głowę żrebaka oraz wiązkę suchych galezi i pójdź za mną w korytarz podziemny. Pamiętaj jednak, że jeśli zobaczysz coś strasznego, nie wolno ci krzyknąć, gdyż nie zostaniesz długowiecznym.

Po chwili z czarnego otworu jaskini zaczęły powoli wypływać weże tak duże i grube jak mskie ramię. Przerazili się żołnierze Dagona, chwycili za

cia kotła była już pełna wody, rozkazała Dagonowi, aby postawił kocioł nad ogniem i wrzucił do niego głowę żrebaka.

— Dokładaj do ognia, aby woda zagotowała się — powiedziała.

Zrzuciła z siebie brokatowy płaszcz i tylko w białej tunice przyklekła przy ogniu, kładąc mu się po kilkanaście razy. Następnie z jakiejś jej tylko znanej szczeliny skalnej wyjęła małą glinianą miseczkę, napelniła ją już prawie wrzącą w kotle wodą, nasypała do miseczki ziół, które natychmiast rozpuściły się.

— Wypij — podała miseczkę Dagonowi.

Napój pachniał przedziwnie, miał smak gorzki, ale przyjemny. Pociął Dago jak od tego napoju zaczyna mu się lekko kręcić w głowie, ciepło wypłynęło z jego ciała.

— Rozbierz się — znowu wystąpił jej głos, spotęgowany echem w głębi pieczary.

Zrzucił z siebie odzież i nagi usiadł przy kotle, dorzucając

chwę. Spłeceni z sobą trwali tak na stojąco i nieruchomo, ponieważ Dago nie odczuwał potrzeby powiększania rozkoszy przez zwykłe w takich chwilach ruchy. Wielka słodycz przenikała jego ciało. Odnosił wrażenie, że złączony z Eponją odbiera od niej jakąś ogromną moc, która dociera do każdego mięśnia w jego muskułach. Jednocześnie świat wokół niego zaczął powoli wirować, a kiedy rozkosz stała się ogromną, aż krzyknął z zachwytu i omdlał. Gdyby nie podtrzymały go ramiona kapłanki, byłby runął na skaliste podłoże jaskini. Ona jednak powoli i delikatnie ułożyła go na ostrych skalach, podkładając mu pod głowę zwinięty biały płaszcz Lestka. Z jej tylko znanej szczeliny wyjęła lśniącą chustę i wytarła swoje ciało, łuste od ciała Dagona i pachnące czarowanym rosółem z łba młodego żrebaka. Z innego schowka wyjęła nóż i na moment przyklekła przy Dagonie. Spoglądała na jego piękną i

do Rudy, Sieradzy i Gniazda. Z dumą myślał o sobie, że oto stał się długowiecznym i będzie żył sto albo więcej lat, stając się wielkim władcą, poszerzając granice swego kraju i umacniając jego potęgę.

W drodze do Gniazda odważył się go zapytać jeden z Lestków, którzy towarzyszyli mu aż do Jaskini Wężów:

— Po co, nasz panie, byłeś między wężami?

— Po nieśmiertelność — odpowiedział Dago.

Uwierzył mu ów Lestek, gdyż sam na własne oczy widział jak kapłanka Ludzi Skrzydlatych wprowadziła go do mrocznej jaskini, z której wypływały setki wężów. I tak wieść o tym, że Piastun jest nieśmiertelny rozeszła się wśród innych Lestków, a także znalazła posłuch i u ludu, lubi on bowiem wierzyć we wszystko, co wydaje się niezwykłe.

— Herimie — radośnie zawołał w Gnieździe, witając swego kanclerza. — Oto pokonałem Ludzi Skrzydlatych i w strasz-

ków. Powiadomili oni Piastuna, że na Mazowii zbuntowali się przeciw Zyflce kilkunastu saurumackich żołnierzy, na ich czele stanął graf Fulko, zdobyli gród Raciąż, a następnie zaproszonoł Zyflce ugodę. Oto graf Fulko miał wziąć za żonę Zyflkę i wraz z nią panować na Mazowii. Zyflka i Fulko zapraszają go więc na swoje wesela do Plocka, gdzie już razem oddadzą się mu znowu w jego piastowanie.

— To zasadzka, panie — ostrzegał Spicimir. — Nie wierzyj chyba w ucciwe zamiary Zyflki i zdrajcy Fulki. W Plocku spróbują cię zabić, aby uczynić Kira twoim następcą i rządzić w jego imieniu.

— Wezmę ze sobą stu najwaleczniejszych Lestków — zdecydował Dagon. — Jeśli stchorzę, przestaną się mnie lękać i stracę Mazowię. Muszę być na ich weselu i wziąć ich w swoje piastowanie.

Herim również odradzał Dagonowi podróż do Plocka, zdawał sobie jednak sprawę, że władca nie ma w takich razach wyboru. Jeśli okaże lęk i słabość, wieść o tym rozejdzie się między innymi możnymi i każdy zechce samodzielnosci. Po Mazowii odpadnie Witlandia, potem może Poznań lub Kruśzwic, nikt bowiem nie zechce słuchać lekliwego i słabego człowieka. Tak jak wojownik wezwany do walki musi do niej stanąć w pełnym rynsztunku, tak i władca, którego poddani proszą o wzięcie w piastowanie nie może im tego odmówić, jeśli nie chce okazać słabości.

Z końcem miesiąca Październik ruszył więc Dago do Plocka, prowadząc stu pięćdziesięciu Lestków, najlepszych i najwaleczniejszych. Przy boku Dagona jechał Herim, któremu Dago ufał mimo skrywanej miłości do Zyflki. Liczył Dago, że to właśnie Herim będzie potrafił odwieść Zyflkę od zdrady, jeśli taką z Fulką zamierzała dokonać.

Plock nie był dużym grodem i dwór Zyflki nie miał zbyt wielu pomieszczeń. Lestkowie rozłożyli się więc obozem na łące koło podgrodzia, tam też stanął namiot dla Piastuna. Ale czy władca może mieszkać w namiocie koło podgrodzia, gdy we dworze, we wspaniałych komnatach przebywa jego poddany? Musiał więc Dago przyjąć zaproszenie Zyflki i wraz z dwudziestoma Lestkami wprowadzić się do przygotowanych dla niego i Herima kilku komnat. W dzień zaślubin Zyflki i Fulki zasiadł Dago na tronie w paradyjnej sali. Tron jego otoczyło dziesięciu Lestków, a jego boku stał Herim. Kłęknięta przed nim Zyflka i uczynił to sumo Fulko, każde z nich kładło swoje dionie w dłonie Dagona, a on ich okrywał połą swojego płaszcza i mówił, że bierze ich w swoje piastowanie.

Zyflka miała pełniejsze kształty. Ubrana w stroj Dzikię Kobietę, ze złotą przepaską na czarnych włosach i ze srebrną tarczą w ręku — wydawała się jeszcze piękniejszą niż dawniej i bardziej godną pożądaną. Lecz Dago nie pojął tej kobiety.

Fulko miał na sobie pozłacany pancerz i biały płaszcz. Kłękając przed Dagonem zdjął z głowy swój hełm z pawimi piórami, aby władcy okazać cześć i szacunek. Uśmiechał się bez przerwy jak gdyby dając do zrozumienia, że nie czuje do Piastuna żadnej urazy, zapominał nawet o tym, co stało się u bram Sieradzy. Lecz ciała Zyflki i Fulki, ich oczy przemawiały nienawistą.

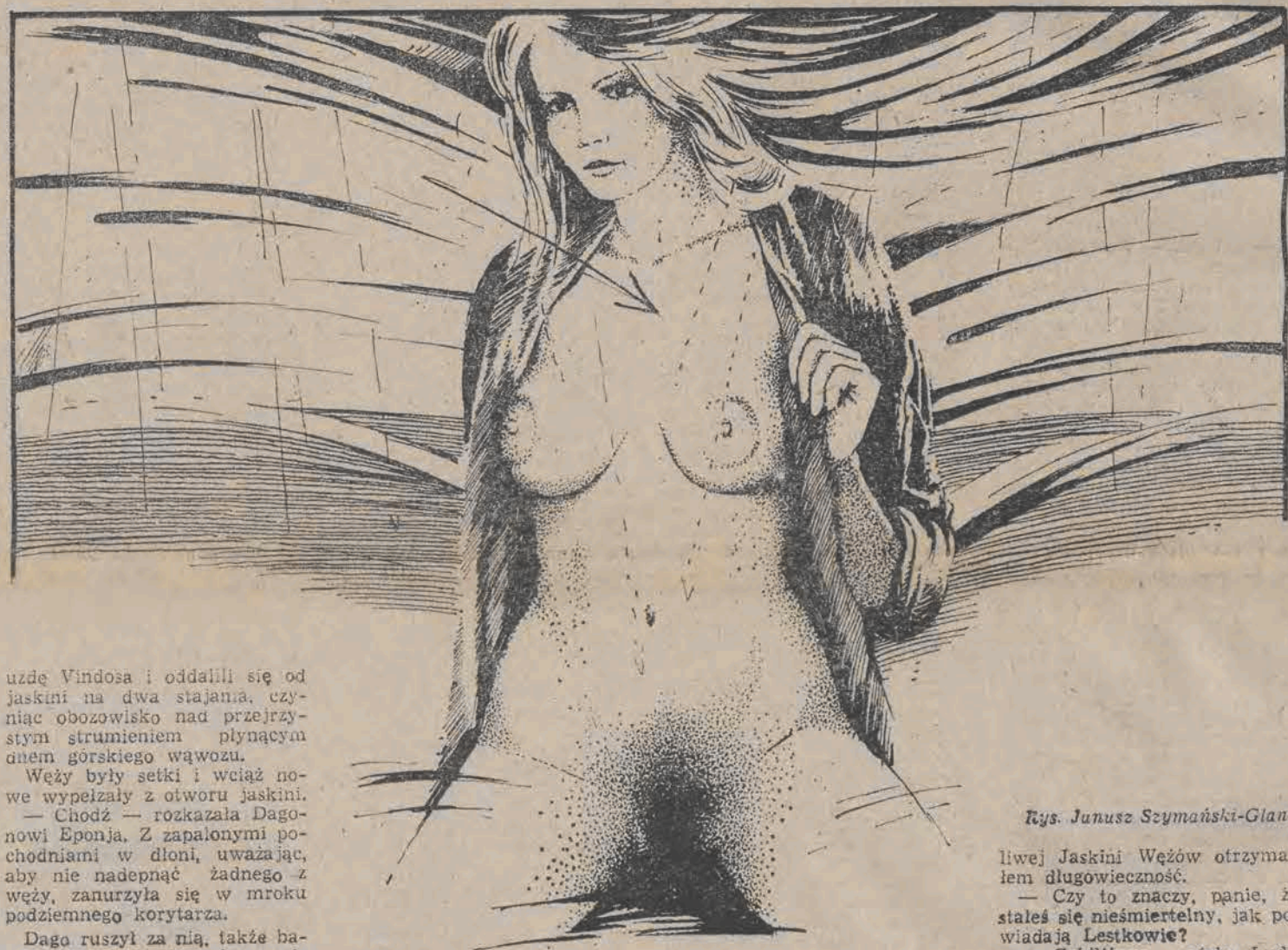
Po ceremonii piastowania Dago wrócił do swej komnaty i kazał przy jej drzwiach bez przerwy strażować czterem Lestkom. Pragnął odpocząć przed nocną uczcą weselną, do której przygotowywano się we dworze. Na tej uczcie mogło dojść do zdrady i dlatego zapewnił sobie Dago prawo do otoczenia się dziesięcioma Lestkami. Tyłe samo uzbrojonych żołnierzy miała pozwolenie wprowadzić do sali Zyflka. Gościom, zaproszonym na ucztę weselną przez Zyflkę i Fulkę nie dano prawa przybycia z mieczem i włócznią, a tylko co najwyżej z nożami u pasa, aby mieli czym kroić mięso.

Tak zapewnił sobie Dagon bezpieczeństwo podczas uczty, a przecież kładąc się dla odpoczynku na łożu wysłanym skórąmi łosia, nie czuł się bezpieczny.

C.D.N

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

liwej Jaskini Wężów otrzymał długowieczność.

— Czy to znaczy, panie, że stałeś się nieśmiertelny, jak powiadał Lestkowie?

— Zabiliśmy wielu Ludzi Skrzydlatych, którzy otrzymali długowieczność, co znaczy, że byli śmiertelni. Nie wiem więc jak rozumieć to, że się stało długowiecznym. Być może tę sprawę należy pojmnować w swoisty sposób: jeśli nie trafił mnie wroga strzała, nie otruje jakiś zła kobieta, nie ugodzi czyjś miecz, bogowie pozwolą mi żyć dłużej niż innym.

Spicimir zaprowadził Dagona do pomieszczeń, które w Gnieździe zajmowała jego niewidoma żona i pokazał mu małego Lestka. Dziecko chowało się zdrowo i liczyło już kilka miesięcy. Nie okazał jednak Piastun, aby ucieczył go widok dziecka. Wieczorem pijąc piwo ze Spicimirem, powiedział mu:

— Po co władcy mają dzieci? Czemu tak bardzo zabiegają o swoich następców? Pragnę panować długie lata i gdy przyjdzie czas, aby przekazać Lestkowi władzę, będzie on już starcem. A czy starcowi można oddać prawo do rządzenia państwem? Pomyśl, Spicimirze, jak mój Lestek będzie mnie przez całe życie nienawidził, spiskował przeciw mnie, buntował się, dybał na moje życie. Kto wie, czy własne dzieci nie są zawsze największym wrogiem każdego władcy.

— Wiem o tym, panie — odpowiedział Spicimir. — Naprawdę ten stanie się twoim następcą, komu nadasz własne imię: Dago. Ja jednak będę strzegł i młodego Lestka, ponieważ nie tylko ty, ale i on, tworzyście jedność naszego państwa.

W połowie miesiąca zwanego Październik przybyło do Zyflki trzech saurumackich wojowni-

drzewa do ogniska i słuchając jak woda zaczyna się gotować, a wraz z nią gotuje się łeb żrebaka. Oszłołomiony napojem nie wiedział, czy trwało to długo czy krótko. Zabrał mu jednak suchych galezi i ogień pod kotłem powoli wygasł. Stygł także ów przedziwny rosół w kotle.

Eponja znowu zanuciła swoją dziwną pieśń. Następnie nasypała do kotła jakichś sproszkowanych ziół, a sprawdziwszy dionią, że woda w kotle jest już zaledwie letnia, rozkazała Dagonowi, aby wlał do niego

— Dokładnie umyj tiustą wodą swoje ciało. Twarz, ramiona, uda — mówiła.

Wkrótce całe ciało Dagona oblepił tiustacz z ugotowanego łba żrebaka. Wtedy dała mu do wypicia słodkawej cieczy z małej miseczki glinianej i nagle jego członok nabrzmiał mocno i zaczął sterzczeć.

Eponja wygasła wszystkie kaganki. Ponięły tylko dwie pochodnie i pieczarę wypełniał mrok. Widział jednak Dago, że Eponja zrzuciła z siebie białą tunikę i naga stanęła obok wielkiego glazu.

— Wyjdź z kotła i weź mnie — szepnęła.

Ociekając tiustą wodą i pełen bolesnego pożądania wyszedł Dago z kotła i zbliżył się do Eponji. Ona zaś lewą nogę postawiła na skale tak, aby miał dobry dostęp do jej kroczka. Wyciągnęła ku niemu ramiona, przycisnęła go do swego brzucha i ogromnych piersi, dionią wpychając jego członka w po-

jak gdyby martwą twarz, białe długie włosy i czuła do niego miłość, choć mogła teraz bez trudu pomóc upadek Ludzi Skrzydlatych. Lecz nie wolno było właśnie jej zabijać człowieka, który miał być długowiecznym. Wstała więc, natężyła wszystkie swoje mięśnie i przewróciła brązowy kocioł, zalewając tiustym rosółem jeszcze żarzący się popiół na pale-nisku. Narzuciła białą tunikę, wyjęła z uchwyty jedną z pochodni i odszukała sobie tylko znane inne tajemne wyjście z jaskini po drugiej stronie góry. I tak oto odeszła Eponja — nie wiadomo dokąd. Opowiada się, że w drodze do Visulan napadł na nią niedźwiedź i rozszarpał jej ciało...

Opowiada się również, że Dago Piastun obudził się z powodu chłodu, który mroził mu plecy w wilgotnej jaskini. Pochodnia ledwie się tliła i nie-mał po omacku odnalazł swoje ubranie, miecz i tarczę oraz drogą, jaką przybył z Eponją. Gdy wyszedł — słońce już zachodziło, a to co przeżył, mogło się wydawać tylko snem. Ale jego ciało wciąż było łuste od kapieli w brązowym kotle, a u wejścia do jaskini leżał martwy żrebak z odciętą głową. Co jakiś czas doznawał zawrotów głowy i kroczył jak o-jany. Wreszcie usłyszał ludzkie głosy i zobaczył nad górskim potokiem obozujących Lestków. W milczeniu wskoczył na siedło Vindosa i prowadząc oddział żołnierzy ruszył w powrotną drogę do Czesłocha, a później